slizg

PAŹDZIERNIK 10/130

www.slizg.com.pl

BORIXON
ZACIERA RĘCE

SOKÓŁ & KORAS
PROSTO NA KUBĘ

ANTYPOLICYJNY RANKING

5BORO TOUR
INWAZJA JANKESÓW

PAŹDZIERNIK 10/130
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
CENA 6,90 PLN
(w tym 7 % VAT)
ISSN 1425-1760

Whoever you are

Whatever you do

Wherever you live

There is no limits

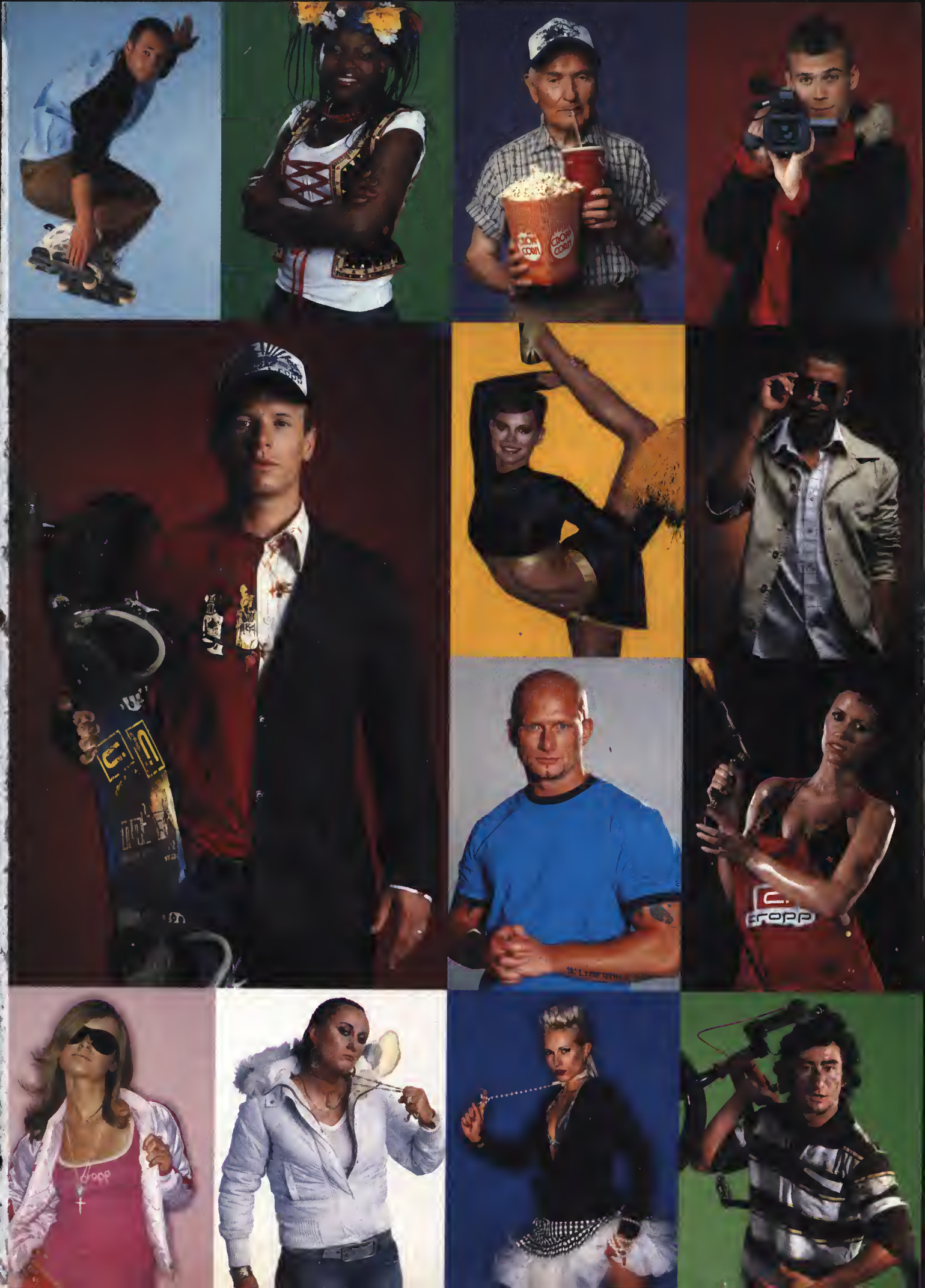

* PEČATE KOLEKCIJE * LIMITO

WWW.SHOP.MA

ANE SERIE * PROMOCJE *

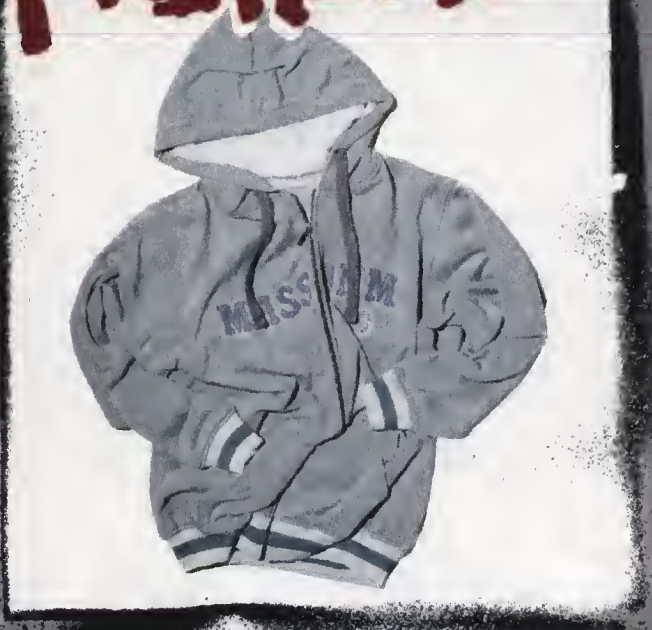

MASSDNM.COM

www.shop.massdnm.com

W numerze 10/130

BAZAR	08
FAT JOE	13
HIP-HOP KEMP	14
PROSTO NA KUBĘ	16
OBIE TRICE	20
BORIXON	21
THE ROOTS	22
10 HITÓW ANTYPOLICYJNYCH	23
RICK ROSS	24
T.I.	25
RED & SPINACHE	26
BODY COUNT	28
TALIB KWELI	29
ANDRZEJ ZEŃCZEWSKI (DAAB)	30
DINAL	32
DJ SHADOW & CUT CHEMIST	33
TOTAL HAŁAS (m.in. J ZONE, BASEMENT JAXX, KILLA KELA, ŻUSTO)	34
SPIKE LEE	40
KUBA BĄCZKOWSKI	42
NOWA TWARZ SK8	44
DESKOROLKOWY RAPORT Z WROCŁAWIA	46
MISTRZOSTWA POLSKI DIRT MTBMX	50
RECENZJE SKATE	52
FINGERBOARD	52
SKIMBOARD W DĘBKACH	54
5 BORO TOUR	56
JEŻ JERZY	58
RECENZJE:	
- KULTURALNE	64
- MUZYCZNE	66
GRAFFITI	72
DESER: BEYONCE & KELIS	78
STRONA RETRO	82

W(Y)STĘPNIAK

W październikowym numerze SLG okładkowym tematem została wybrana wizyta chłopaków z Prosto na Kubie. Niby nic wielkiego, mógłby ktoś rzec, ale sprawą zajęła się nawet "Gazeta Wyborcza". Tylko na naszych łamach Sokół wyjaśnia, jak było naprawdę, odsłaniając kulisy swej działalności na "Wyspie jak wulkan gorącej". Do tego dołączamy ekskluzywny fotoreportaż z Kuby. Oczywiście, oprócz tego mamy dla Was mnóstwo innych materiałów, ale o tym już przekonacie się czytając ten numer "Ślizgu".

No, to czytajcie.

GRB

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze
i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa
14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

p.o. redaktor naczelny: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)

Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Foto okładka: Wojtek Antonów

Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Estragon, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-o

Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)

Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:

„Ślizg"
ul. Szara 10A, lok. 216
00-420 Warszawa

tel. 022 635 84 10 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu.

Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

nollie flip nosegrind 180 out_milton keynes portrait: atiba sequnce: burnett

Justin Eldridge

get psyched like us
skate like us

get psyched in justin's first shoe, the theory

éS and chocolate skateboards are proud to celebrate Justin's pro shoe release with a limited-edition sock monkey board specially made to match all four Theory colorways.

esfootwear.com

FLINTESENCJA
Ursynów

Pokój od góry do dołu zajebany płytami. Ciężkie drzwi założone kiedyś przez matkę po tym, jak złapałem schizę, że mi te płyty wyniosą, tak jak kiedyś wynieśli rower. Zawalony gratami korytarz, na którym sąsiad podłączał się na lewo do prądu, póki dało się tak jeszcze robić. Córki sąsiadów się pożeniły, ze ślubu jednej niedawno wróciłem i jak obwieścił gościom ksiądz po przeliczeniu zawartości tacy, starczy na dziesięć mszy w intencji związku, więc powinien być on szczęśliwy.

Klatka, na której zwykle wali trawą, i „potagowane" ściany. Porysowana kluczami winda, w której żadnej wlepce oprócz tej Bez Cenzury nie udało się utrzymać dłużej niż dwie doby. Wyjście z klatki zastawione furami tak, że ciężko zjechać z wózkiem. Poniżej wejścia, w suterenie też mieszkają ludzie – ci, którzy nie płacą czynszu – z braku hajsu albo z kombinatorstwa. Na podwórku ucięte przy ziemi krzaki, jakieś drzewka, regularnie koszony, za to nigdy nie podlewany trawnik i plac zabaw ogołocony z części drabinek. Do niedawna był kosz. Grało się, patrzyło, jak duży Piotrek ładował do niego piłkę i zakładał błoki. Teraz kosza nie ma – lokatorom było za głośno, obijały się poparkowane mimo zakazu wjazdu wozy. Piotra też nie ma, choć ostatnio na chwilę wrócił z Londynu. Są za to ci młodzi goście, którzy biegali po boisku, gdy je zwalnialiśmy. Później biegali wypalać dziury w styropianie do ocieplania budynków, jeszcze później wypalali chuj wie co, ostatnio widuję jednego z nich, jak biega w garniaku, czyli nie jest najgorzej.

Jest też Michał, dobry i dobrze opłacany grafik. Kiedyś ponoć jeden z naszych raperów rzucił się do niego z nożem i to w tym samym czasie, kiedy w wywiadach mówił o swojej religijności. Nie wiem, nie oceniam. Co więcej, nie rozumiem. Wielu rzeczy. Np. tego, jak uśmiechnięty chłopak, z którym na łące za blokiem graliśmy w baseball, zmienił się w groźnego, jęczącego rapera...

Zanim przejdę ulicę, mijam jeszcze Arka. Ostatnio gorzej sypia, bo w jednym z mieszkań w nowym domu, wstawionym w wolne miejsce tak, że lokatorzy obok nie mają ani słońca, ani prywatności, zamieszkała kochliwa para. Dziewczyna lubi krzyczeć. „No Sleep Till Natolin". W drodze do metra nudy. Po drodze spotykam często Krzyśka. Siedział przede mną w ławce, ten z gatunku ludzi, którzy we wszystkich sportach są dobrzy, choć do żadnego nie mają warunków. Krzysiek jest teraz opuchniętym skurczybykiem. Rodzice zabierają mu pensję, żeby nie pił.

Klatka, na której zwykle wali trawą, i „potagowane" ściany. Porysowana kluczami winda, w której żadnej wlepce oprócz tej Bez Cenzury nie udało się utrzymać dłużej niż dwie doby.

Po lewej parking z betonem kruszącym się od nadmiaru piasku, gdzie kabrioletem zajeżdża często Lerek. Zawsze podrapany, jakby wrócił z wojny. Zawsze też sympatyczny. Po prawej osiedlowa Żabka, w której zamienili miejscami lodówkę Coli z lodówką z browarami, żeby nie trzeba było przepychać się przez cały sklep. I lasek dla wyczynowców, tych, co lubią ćpać na przeciwko komisariatu. Często są w nim występy dla paroosobowej publiczności. Wysoka, kurwa jej mać, kultura. Jest lasek, będzie dżungla, bo obok na super drogim terenie, zamierzają wybudować komunalne bloki.

Zejście do metra jest przy skrzyżowaniu z KEN-em, dwusieczną całego Ursynowa. Po lewej Kabaty, francuskie i portugalskie knajpy, kółko brydżowe, rodzice, których stać na kupowanie synom koszulek Prosto, place zabaw pozamykane dla dzieci z zewnątrz tak, by te odchuchane nie zaraziły się od innych byciem plebsem. Po prawej Imielin. Jedyne na Ursynowie kino. Kiedy byliśmy na drugich „Piratach z Karaibów", obok nas na ramieniu ziomka zasnął nachlany, zaszczany dzieciak. Ocknął się pod koniec. Kiedy wychodziliśmy z kina, toił już kolejny browar. Tanie chińskie żarcie przyprawione kłótniami i bluzgami. Byłem tam po ślubie sąsiadki. Czerwoni kolesie na zewnątrz robili flaszkę pod stołem, typ wpadł po piwo kuflowe z pięciolitrową butelką.

Mój złażony we wszystkie strony – od wału przy lesie kabackim po wzgórze z panoramiczym widokiem na Sfurzeźnię – Ursynów. Czy w tym kraju zawsze trzeba jednocześnie nienawidzić tego, co jest ci bliskie?

Flint

rzeź niewiniątek

„Reel", magazyn filmowy jednej z ogólnopolskich sieci multipleksów, poświęca swoje łamy w sierpniowym numerze na artykuł o przestępczości. Tekst ilustrowany jest zdjęciami znanych zbrodniarzy jak chociażby „Bugsy" Sieget i... Marion „Suge" Knight, o którym w tekście nie ma zresztą ani słowa. OK, nie nam osądzać działalność szefa Death Row Records, ale podpis pod zdjęciem już możemy. Głosi on ni mniej, ni więcej tylko: „Marion 'Suge' Knight, jeden z wielu czarnoskórych raperów związanych ze światem przestępczym". Dla niektórych każdy czarny to raper, a każdy raper to przestępca albo odwrotnie.

Recenzent muzyczny magazynu „Dosdedos" błyszczy wiedzą na temat najnowszej płyty Outkast „Idlewild" we wrześniowym numerze pisma. Na tyle jednak nietrafnie, że wspominając o jej europejskiej wersji zaprzecza, że jest na niej numer z Macy Gray. Ciekawe zatem, jaką recenzował płytę, bo numer z Macy Gray wyszedł na całym świecie i wymieniany jest we wszelkich informacjach prasowych. Tak czy owak, trzeba najpierw dokładnie sprawdzić, żeby coś napisać.

Szanowany i lubiany w środowisku Bartek Chaciński z „Przekroju" (nr 36/3194) pisze o premierach płyt trzech gwiazd: Justina Timberlake'a, Beyonce i Kelis. Osobną ramkę poświęca zaś producentom, którzy są odpowiedzialni za nowe wydawnictwa. W tym gronie znajduje się oczywiście wszędobylski Scott Storch i... tu właśnie autor daje niestety plamę. Pisze o sukcesach beatmakera: „Płyta 'Stripped' Christiny Aguilery, hit 'Cry Me a River' Timberlake'a, piosenki Beyonce i kolejnych gwiazd hip-hopu". Wyszło zatem na to, że wymieniona wyżej trójka jest gwiazdami hip-hopu, co da się jeszcze jakoś wytłumaczyć w przeciwieństwie do fałszywego przypisania autorstwa „Cry Me A River", którego twórcą jest przecież Timbaland...

SPROSTOWANIE

Przede wszystkim, żeby wszystko było jasne – my nie popełniamy błędów, to tylko wyjątkowo perfidne okoliczności sprawiają, że czasem nie wszystko jest tak, jak być powinno. A teraz już do rzeczy: w numerze 9/129 ktoś, kiedyś, jakoś źle podpisał zdjęcia przy wywiadzie z Victorem Borsukiem. Śpieszymy poinformować, że autorami fotek są Rogoś i Ciocia Kasia. Zainteresowanych serdecznie przepraszamy:)

Ubrania Cropp

Cropp Limited Edition to kolekcja, która ukazuje się po raz pierwszy w Polsce. Jest niepowtarzalna. Doskonała. I pojawi się właśnie tu. Teraz wchodzi do sprzedaży w sklepach Cropp Town, więc sami możecie ją wypróbować. A jeśli macie jakiekolwiek wątpliwości, to odwiedźcie koniecznie internetową stronę www.cropp.com

buty Podium

No i co tu dużo się produkować – zacne obuwie, jest zacnym obuwiem i tyle. Powyższe dwa modele firmy Podium noszą nazwę Genuine i występują, jak widać, w dwóch wersjach – niskiej i wysokiej. Wdziewać i chodzić!

buty Vision

Buty Vision Street Wear są bardzo popularne wśród skate'ów, dowodząc swojej ponadczasowości oraz towarzysząc ciągle nowym pokoleniom. Model Geezer to połączenie stylu i jakości. Oryginalny design oraz klasyczna kolorystyka Vision przyciągają uwagę każdego.

Ubrania RBK

Męska kolekcja RBK Evolution to jesienno-zimowa propozycja Reeboka dla ludzi młodych, żyjących w naturalnym dla siebie środowisku miasta. Szybkie tempo, ciągły pośpiech, przyjaciele i nieustający gwar. To ich życie. Specjalnie dla nich Reebok stworzył lalfstylową kolekcję RBK Evolution, która tworzy nową jakość rodzajową wśród istniejących kolekcji ubraniowych – łączy w sobie miejski styl z wysoką jakością ubrań sportowych i technologicznych.

28.10.06

WARSZAWA

KLUB

LUCID

WWW.INDOR.PL

Drodzy "ślizgowicze"! W najbliższym numerze „Ślizgu" będziemy mieć dla Was nie lada gratkę. Będzie nią dołączona do naszego magazynu płyta DVD z videorelacją z zawodów parkourowych Red Bull City Rage (z których zresztą w numerze sierpniowym sporządziliśmy relację, pamiętacie?). Cena zmianie nie ulegnie, bo po co? Zatem powiedzcie wszystkim kolegom i koleżankom, żeby śmigali za miesiąc do kiosków po nowy numer SLG;)

@listy

Witam cały redakcyjny kolektyw. Z przykrością muszę stwierdzić, że ostatnio się na Was zawiodłem. A czemu?

1. W relacji z WBW 2006 (7/2006) napisaliście, że uczestników imprezy wraz z najlepszymi wersami przedstawiacie w nr 8/2006, a w tymże znalazłem tylko wywiad z Muflonem.

2. W artykule „Red Bull City Rage" była zamieszczona informacja, że w nr 8/2006 znajdzie się obszerna foto relacja z imprezy. I co znalazłem? 4 zdjęcia!

3. W numerze sierpniowym nie znalazłem działu „Kto?", który uwielbiam.

Ale podobał mi się natomiast artykuł o imprezie „ADIO MENTOR SESSION 2006" (w szczególności) i reszta (no, może poza reklamami). Pochwała dla Skarżyckiego i Leśniaka za komiksy. Pozdro,

Janek

Drogi Janku!

Wypunktowałeś nas i to solidnie. Rzeczywiście, nie było obiecanych najlepszych wersów z jednego prostego powodu. Jak relacjonuje sam autor: „Większość była zdecydowanie słaba na publikację". Pewnie zajęłoby to 1 stronę, co byłoby nie lada dissem dla tegorocznego WBW, więc odpuściliśmy. Prezentacje samych uczestników, choć lakoniczne, znajdują się w numerze 7 właśnie.

Co do pozostałych dwóch kwestii też masz w sumie rację, ale tak bywa, że nie zawsze każdemu da się dogodzić. Pochwały rubryki „Kto?" zaś zmotywowały jej autora tak, że przygotował jej zapas na następnych 10 lat.

Po Twoim liście atmosfera w redakcji się zagęściła i wszyscy teraz mają wyrzuty sumienia. Flint zaś pokutuje klęcząc na przemian raz to na grochu, raz na rozżarzonych węglach. Zdecydowanie bardziej wolimy pochwały. Pozdrawiamy i my!

imprezowe info

29 września w poznańskim Blue Note wystąpi na jedynym koncercie w Polsce legendarna podziemna grupa Cali Agents, czyli Rasco i Planet Asia. Formacja gościła już w Polsce w ramach Cali Breeze pięć lat temu. Wystąpili wtedy we Wrocławiu. Bilety w cenie 29 złotych.

30 września w Warszawie na ursynowskiej Kopie Cwila odędzie się premierowy Ursynów Hip-Hop Jam 2006. Impreza rozpoczyna się o 14:00 i trwać będzie do 21:00. Obok koncertów takich gwiazd jak Płomień 81, 2cztery7, Matolat, Szybki Szmal czy Juras & Wigor, zagrają mniej znane lokalne ekipy. Ciekawostką będą pokazy walk kung fu oraz muay thai. Wstęp wolny! Organizatorem jest fundacja na rzecz zapobiegania narkomanii „Maraton". Obok „Ślizgu" patronami medialnymi wydarzenia są Radiostacja i lokalny tygodnik „Passa". Impreza ma promować przeciwdziałanie uzależnieniom, HIV/Aids oraz przemocy. Więcej szczegółów znajdziecie na naszej stronie internetowej www.slizg.com.pl

30 września „twarz Morcheeby", Skye Edwards, wystąpi byłym kinie, a obecnie klubie Palladium. Zasmakować jej występu mogliśmy (jeżeli ktoś oczywiście oglądał) podczas tegorocznej Eska Music Awards. Bilety w cenie 85 złotych.

3 października w koszalińskim klubie Kwadrans odbędzie się koncert Jamal Sound System. Oprócz oczywistej obecności Miodа i Łukasza B. zaprezentują się tam jeszcze Frenchman i Fu. Bilet studencki – 5 złotych, normalny 10 złotych.

5 października będzie świętem reggae i dubu. W tym dniu w warszawskiej Stodole wystąpi Mad Proffesor (ex Zion Train) i Earl 16 (Dreadzone). Warto się wybrać, bo Mad Proffesor to chociażby w dużej mierze ojciec sukcesu Massive Attack, a także producent np. Lee „Scratch" Perry'ego.

21 października w ramach swojej europejskiej trasy koncertowej obejmującej m.in. Niemcy, Włochy, Austrię czy Belgię wystąpi w Warszawie była liderka Skunk Anansie – Skin. Przypominamy, że wokalistka była gwiazdą tegorocznego Open'er Festival.

7 GOSPEL

Od 15 do 22 października Kraków będzie miastem muzyki gospel. W czasie tych siedmiu dni odbywać się będą koncerty, seminaria, happeningi i pokazy filmów. Jako finał organizatorzy zaplanowali trzydniowe Warsztaty Gospel uwieńczone koncertem finałowym kilkusetosobowego chóru.

JVC Jazz Festival 2006

24-29 października w warszawskiej Sali Kongresowej odbędzie się JVC Jazz Festival. Nie byłoby tej wiadomości gdyby nie fakt, że podczas jego trwania wystąpi jazzowo-soulowa diva Me'shell Ndegeocello, która powinna być znana hip-hopowej gawiedzi. .

ONE LOVE SOUND FEST 2006

18 listopada wrocławska Hala Ludowa odda swoje piękne wnętrza na trzecią edycję międzynarodowego festiwalu One Love Sound Fest. Wśród artystów wspomnieć należy: Rasistes (Jamajka, Wielka Brytania), Culcha Candela (Niemcy) czy naszych Indios Bravos albo Natural Dread Killaz. Bilety do końca września 39 złotych, do dnia imprezy 44, ale już 18 listopada 49 złotych.

W październiku i listopadzie 2006 odbędzie się trzecia ogólnopolska edycja Shake Ya Booty, konkursu tańca w rytmie muzyki hip-hop. Imprezy odbędą się w pięciu miastach Polski: 20 października w Gdańsku (klub Parlament), 27 października w Łodzi (klub Funaberia 2), 28 października w Warszawie (klub Harlem), 3 listopada we Wrocławiu (klub Szałass), 4 listopada w Rzeszowie (klub Pod Palmą). Wielki finał odbędzie się 18 listopada w warszawskim klubie Scena 2000. Wszystkie imprezy będzie prowadził Miodu, a za gramofonami stanie DJ Bart. Wydarzenie to promuje również specjalnie przygotowana strona internetowa www.taniec.plej.pl.

ZA PISKI
Na każdy temat?

Wysiłek włożony w napisanie felietonu jest niczym w porównaniu z wysiłkiem włożonym w wybór tego, czego będzie się on tyczył. To może tak:

Mimo późnych godzin nocnych wciąż trwała tajna narada najwyższej państwowej wagi. Osobnik o fizjonomii bulteriera żywiołowo przekonywał zebrane gremium: „Panowie, nie ma opcji, to musi się udać!", przekonywał prelegent. „Faktycznie, tak jak przewidywałeś, ciemny lud kupił tego dziadka w Wehrmachcie, ale skutki wcale nie były dla nas jednoznaczne. Za to za drugim razem porażka była ewidentna", odezwał się sceptyczny głos jednego ze słuchaczy.

W tym momencie drzwi (absolutnie przypadkowo podwójne) otworzyły się z hukiem i do pokoju, w którym odbywała się narada, wkroczyli „najwyżsi". „Co tu się dzieje?", zapytali. „Ehm... Przedstawiam plan B16 – mój najnowszy pomysł na wypadek konfliktu z Watykanem", rzucił nieco zbity z tropu osobnik stojący przy nie do końca startej tablicy, na której widniał jeszcze fragment wypowiedzi: „... uważamy, iż ktoś, kto służył w niemieckich siłach zbrojnych podczas II Wojny Światowej, nie może pełnić roli głowy kościoła i sugerujemy natychmiastowe, dobrowolne zrzeczenie się stanowiska...".

Nie no, to głupie... Jeszcze raz.

Dostałem od przyjaciółki maila, w którym przytacza artykuł z jakiejś francuskiej gazety opisujący Polskę określaną jako kraj absurdu. W skrócie: 20% narodu żyje poza granicami kraju, mamy dwa razy więcej studentów niż Francja, ale statystyczny inżynier zarabia mniej niż statystyczny robotnik. Wydajemy średnio dwa razy tyle, ile zarabiamy, ale przeciętna pensja starcza na trzy pary dobrych butów. Cena nowego samochodu równa się trzyletnim zarobkom, ale trudno znaleźć wolne miejsce na przepełnionych parkingach. Z kelnerem czy ekspedientem można często porozmawiać po angielsku, niemiecku czy francusku, za to z ministrem czy urzędnikiem państwowym zazwyczaj tylko za pośrednictwem tłumacza.

Z jednej strony się lekko zirytowałem (mimo że trudno ukryć trafność większości powyższych spostrzeżeń), z drugiej, prasa przynosi wiadomości, które do powyższej listy wypadałoby dopisać. Plan organizacji szkół o quasi-wojskowym rygorze dla sprawiających kłopoty wychowawcze uczniów (rozumiem, że np. dla protestujących pod Ministerstwem Edukacji?). Odwołanie opozycyjnego radnego-piekarza ze stanowiska za wypiek chleba w kształcie kaczek. Badania mówiące, że zaledwie 35% mieszkańców kraju w wieku 20-24 lat pracuje, reszta pozostaje na utrzymaniu rodziców. Wiadomość o planie wydania przez rząd 300 milionów złotych na wyjazd kolejnych polskich żołnierzy do Afganistanu w sytuacji, gdy powierzchnia zajmowana przez dziury zdaje się już stanowić w budżecie więcej niż 50% (że już nie wspomnę o bezsensownym szafowaniu życiem i zdrowiem polskich żołnierzy w imię kompletnie cudzych spraw). Prezesem TVP jest człowiek bez wyższego wykształcenia. Wiceminister edukacji twierdzi na swoim blogu w wypowiedzi na temat Islamu, że (uwierzcie, cytuję): „Cywilizacja Białego Człowieka musi walczyć. Nie takimi metodami, jak podgniła, zlewaczała, impotentna, zgejowana i obła Unia Europejska. Ale jak Ameryka". Mało? Nie sądzę... A to nagłówki z jednej gazety, zaledwie z jednego dnia.

Obyśmy doczekali chwili, kiedy problem z wyborem tematu felietonu polegał będzie na tym, że wszystko wokół nas jest w idealnym porządku i nie ma o czym pisać.

Duże Pe

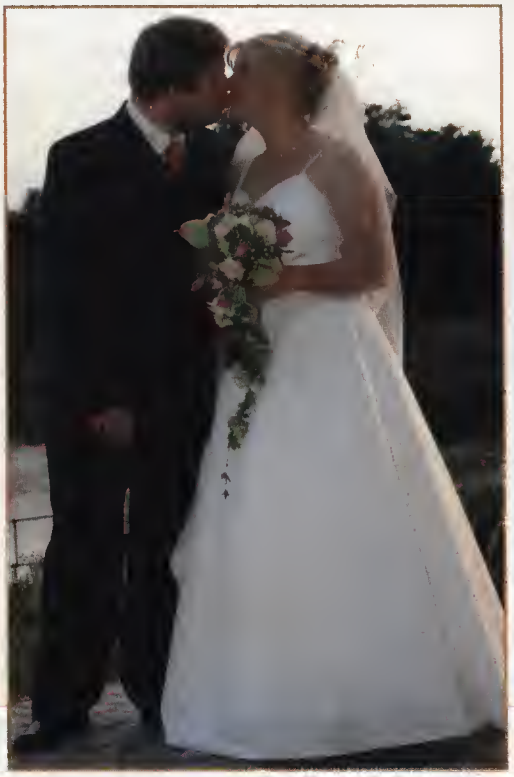

Gratulacje!

Jeśli Młoda Para widniejąca na powyższej fotce i oddająca się tam niecnym czynnościom w niczym nie wygląda Wam na ludzi zajmujących się na co dzień pisaniem o hip-hopie, to jesteście w duuuużym błędzie. Doczekaliśmy się bowiem historycznego, pierwszego wewnątrzślizgowego małżeństwa, a szczęśliwą parą są Flintstone aka Marcin Flint i Cessya aka Dominika Cess. Gratulujemy im serdecznie, życzymy miłej podróży poślubnej (kiedy Wy czytacie te słowa, oni już śmigają sobie po świecie) i dręczy nas tylko jedna wątpliwość – czy Cessya nie powinna czasem zacząć podpisywać swoich materiałów jako „Dominika Flint?"

FAT JOE

W MTV niedawno rozpoczęto emisję Pimp My Ride w wersji międzynarodowej. Przy okazji kręcenia polskiego odcinka do naszego kraju zawitał sam Fat Joe. Przed wami wywiad, jakiego jeden z najbardziej znanych nowojorskich raperów udzielił dla Rap Pakamery

rozmawiał CNE
foto archiwum MTV

Witaj w Polsce! Jesteś w Europie po raz pierwszy. Jakie masz wrażenia po nocy i połowie dnia w Europie?

Cieszę się, że tu jestem. Ludzie świetnie mnie tu traktują, kocham Europejczyków. Niewielu ludzi z USA przyjeżdża do Polski. Fajnie, że Bóg mnie tu przysłał, to mój pierwszy przystanek w Europie. Bardzo podoba mi się wasza kultura. Gdy jestem w Stanach, dużo czytam o Europie. Po drodze widziałem rzeczy, które znam z filmów i dokumentów. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Zawsze bałem się latać, odważyłem się dopiero rok temu. Nie chciałem lecieć 8 godzin przez Atlantyk. Dzięki Bogu, w końcu się zdecydowałem. Lot minął mi bardzo szybko. Często latam z Nowego Jorku do Los Angeles. Lot trwa 6 godzin. Skoro wytrzymuję 6, to czemu nie 8? Cieszę się, że w końcu tu jestem.

Jakieś przygody w czasie podróży?

Wczoraj w Londynie przeszukali mnie 10 razy. To pewnie dlatego, że usłyszeli, że jestem członkiem Terror Squad. Przeszukiwali mnie nago. Potem poleciałem do Niemiec. Tam sytuacja się powtórzyła. W końcu dotarłem tu, ale nic nie mogło zepsuć mi humoru. Ta wizyta cieszyła mnie tak bardzo, że nie mogli mnie złamać.

Co wcześniej kojarzyło Ci się z Polską?

Wiedziałem, że będzie tu zimno.

A kiełbasa?

Wciąż mam na nią ochotę. Jeszcze jej nie jadłem, ale zamówiłem WieśMaca w McDonaldsie.

Jesteś fanem samochodów?

Mam phantoma, bentleya, lamborghini, ferrari, benza, BMW i kilka escalade. Każdy jest odpicowany. Fajnie, że producenci programu zaproponowali mi wizytę w Europie. To niezwykłe połączenie. Nie dość, że odpicuję brykę, to fani zobaczą mnie w normalnej sytuacji. Będę w zwykłych miejscach i porozmawiam ze zwykłymi ludźmi. Odwiedzę Polskę, Anglię i Holandię. Fani uwierzą, że naprawdę tu jestem. Wiele osób nie myślało, że tu przyjadę, bo boję się latać. Teraz mogę pokazać, że jestem w Europie w domu każdego z was. Pukam do waszych drzwi.

Ludzie myślą, że twoje życie to sen. Marzą o takim stylu życia. Czy właśnie o tym marzyłeś wychowując się w Bronksie? Podróżujesz, masz dużo samochodów i mieszkasz w Miami...

Moje marzenia się spełniły. W dzieciństwie byłem bardzo biedny. Wychowałem się w Bronksie. Zawsze marzyłem o sławie. Chciałem robić dobrą muzykę, która spodoba się ludziom. Muzyka jest dla mnie najważniejsza. Nie chodzi o chwałę, tylko o pasję. To wspaniałe, że moja muzyka jest znana na całym świecie. Jestem prostym chłopakiem z Bronksu.

Co planuje Terror Squad?

Wyszła płyta Remy Ma, Tony Sunshine również wyda płytę. Mam też kontrakt z dzieciakiem z Bronksu, nazywa się Young Nitch. Podpisywanie kontraktów nie jest jednak najważniejsze. Z dwóch rzeczy jestem dumny: z bycia Latynosem i z bycia z Bronksu. Jesteśmy w Polsce i gadamy o hip-hopie. Ty też go tworzysz. Dzieciaki go słuchają, a on powstał w mojej dzielnicy. Reprezentowanie Bronksu na całym świecie to wielki zaszczyt. Teraz pomagam chłopakom z Bronksu. Mało się teraz mówi o tej dzielnicy. Nie muszę podpisywać z nimi umów. Chcę pokazać światu, że są nieźli. Od wielu lat wydawałem dla Atlantic Records. Teraz chcę się wykupić. Chcę wydawać dla wytwórni Asylum, dystrybuowanej przez Atlantic. Miałbym wtedy pełną kontrolę nad tym, co chcę wydawać. Idę w stronę gangsterki. Będzie naprawdę ostro. Joe Crack będzie w stylu Digging In The Crates.

Obecnie raperzy tworzą swoje imperia. Nas pogodził się z Jayem-Z i podpisał kontrakt z Def Jam. G-Unit pracuje z takimi legendami jak Mobb Deep...

G-Unit to frajerzy. 50 Cent to frajer. W zeszłym roku spytałem Ja Rule'a, czy kiedyś się dogada z 50 Centem. Jay-Z pogodził się z Nasem, ale Ja powiedział, że nie ma mowy. 50 Cent nie pojawia się na ulicy ani w klubach. To kłamca. Otacza się policjantami, to jego ochrona. Gdyby się tu pojawił, pomyślałbyś, że przyjechał prezydent Polski. Wszędzie byliby snajperzy i psy. Z nim nie da się pogadać.

Dlaczego więc Mobb Deep czy M.O.P. tak do niego lgną?

Szanuję M.O.P., bo są prawdziwymi gangsterami. Chodziło o kontrakt. Byli zupełnie spłukani. Od wielu lat nie zarabiali, kariera nie szła im najlepiej, a 50 Cent im pomógł, ale ja go i tak nie szanuję. To sprzedawczyk i frajer, to fakt. Tony Yayo to gej, cała reszta też. Fajnie jednak, że dał im zarobić. Czasem nawet legendy hip-hopu bywają spłukane. Potrzebowali takiej szansy, a on ją im dał. Potem wdał się w konflikt ze mną, Jadakissem i Nasem. Cały Nowy Jork się od niego odwrócił. Nikt go nie lubił i nikt go nie wspierał. Wykorzystał Mobb Deep i M.O.P., żeby pokazać, że lubi Nowy Jork. Nie dajcie się nabrać!

To smutny temat, ale go poruszę. Od śmierci Big Puna minęło 6 lat. Pamiętam książeczkę z „Jealous Ones Still Envy". Napisałeś tam, że jesteś nieszczęśliwy i wciąż czujesz jego obecność. Czy wciąż tak jest?

Big Pun to najlepszy latynoski raper w historii. To w ogóle jeden z lepszych raperów na świecie. Wszystko, co robię, robię dla niego. Jestem tu dzięki niemu. Na pierwszym miejscu jest Bóg. Na drugim jest Big Pun. W samolocie proszę Boga o wsparcie, potem proszę Puna, żeby mi pomógł. To silna więź. Reprezentuję go wszystkim, co robię. Dopóki jest Fat Joe, zawsze będzie Big Pun. Będę go przypominał fanom hip-hopu, bo oni szybko zapominają ludzi.

5TH ANNIVERSARY HIP HOP KEMP

Chyba już nikomu nie trzeba wyjaśniać, czym jest Hip Hop Kemp. Największy w naszej części Europy spęd wszelkiej maści (najczęściej jednak maści trueschoolowej...) hip-hopowców, którzy przyjeżdżają do Czech na swoje święto, odbył się w tym roku już po raz pląty. Ja też tam byłem, miód i wino piłem (no dobra, niekoniecznie akurat te specyfiki...) i już śpieszę opowiadać, jak to w sierpniu w Hradec Kralove było

tekst Krzysiek Grabowski (Grabiszczy)
foto Kada, Adam Lis, Agata Kochanek

MUZYKA

Skład zaproszonych artystów nie powalał. Do tego w ostatniej chwili Little Brother zostali zastąpieni przez Afu-Ra, a już w trakcie samego festiwalu ogłoszono, że Guru i jego „super-producent Solar" nie dolecą w związku z zamieszaniem na londyńskim lotnisku i odwołaniem ich lotu do Europy. Na szczęście jednak dobrych koncertów nie zabrakło. Nie będę się rozpisywał na temat każdego z nich, bo w sumie po co? I tak wszystko będziecie mieli zapewne na DVD, które przygotują organizatorzy Kempu. O niektórych jednak występach wspomnieć wręcz wypada.

Bodaj największe wrażenie wywarł na mnie set DJ'a Krusha. Japoński „depresjosprawca" – jak nazwał go w jednym z poprzednich numerów SLG kolega Calak – skutecznie zadbał o rozpieprzenie głów widowni na kawałki. I żadnej depresji nie wywołał – chyba że u obecnych na koncercie DJ'ów, którzy zdali sobie dzięki występowi Krusha, jak dużo może im brakować do klasy mistrza...

Set Japończyka sprawił, że nie żałowałem opuszczenia po zaledwie dwóch numerach grającego w tym samym czasie francuskiego kolektywu Hocus Pocus. Świetny żywy band, przyzwoity MC i silne postanowienie, że należy się nimi bardziej zainteresować. Po Krushu z kolei trzeba było szybko przenieść się z powrotem pod scenę główną, gdzie akurat zaczynał swój występ Medaphoar, jeden z licznych utalentowanych raperów ze stajni Stones Throw (wywiad z nim będziemy mieć dla was w następnym numerze).

Nazajutrz R.A. The Rugged Man potwierdził opinię o byciu niekoniecznie normalną jednostką, ale oprócz niezłego koncertu zaczarował publiczność swoim breakdance'em. Myślę, że Flintstone mógłby z powodzeniem wykręcić podobny. Sway zaś pewnie miał większą frajdę z grania przed kilkunastoma tysiącami ludzi niż przed trzydziestoma (ale już nie tysiącami...) kilka tygodni wcześniej w Polsce... Dołóżmy do tego Cali Agents i mamy kolejny udany muzycznie dzionek w Hradec Kalove.

Festiwal kończyli w bardzo dobrym stylu One Self (na Vadima i spółkę można liczyć zawsze) i Non Phixion (już bez Goretexa, ale Lil Bill i Sabac Red oraz DJ Eclipse wystarczyli, by po raz ostatni rozkręcić kempowe towrzystwo). Oczywiście to nie wszyscy, ale wszak wszędzie być się nie dało, nawet mimo najszczerszych chęci.

NIE-MUZYKA

Czyli graffiti, breakdance (w lepszym stylu niż ten od R.A.), jeziorko (pełne niezidentyfikowanych form pływających, ale byłoł), gokarty (nie testowałem, nie było czasu), koszykówka (nie testowałem, nie było formy), Czeszki (nie testowałem, w związku jestem), piwo (oj, testowałem...), ociekające tłuszczem świństwa z lokalnej kuchni (też testowałem – po langoszu wali od ciebie czosnkiem), kempobus, nocne imprezy (od hangaru trueschoolowego przez garage'owy po... crunkowy), stoiska z płytami, rampa dla wariatów na rowerach, Crazy Frog oraz pow-pow-pow. Wszystko to było w Hradec Kralove obecne, co jak najbardziej pozytywnie wpływało na całokształt wydarzenia. Trochę hasłowo, ale musicie sami pojechać, żeby to ogarnąć.

ATMOSFERA

A była, była, owszem, dziękuję. Zainteresowani znają szczegóły mojego wczuwania się w nią, ale pozwolicie, że te detale pozostaną w zawężonym gronie. W końcu jest się poważnym redaktorem, nie? Należało się jedynie uzbroić w cierpliwość w stosunku do czeskich organizatorów, którzy uznali na przykład, że sześć zapchanych kabin prysznicowych na pole namiotowe wystarczy hip-hopowym brudasom (nie wystarczyło), a zatrudnienie do ochrony ludzi z poziomem inteligencji kaczki (ups!) w niczym kempowiczom przeszkadzać nie będzie (przeszkadzało).

Niestety, oprócz zdecydowanej większości zajawkowiczów pojawiło się na Kempie także wiele osób niekoniecznie pozytywnie nastawionych do całego wydarzenia, stąd dziwnym trafem a to komuś znikła bluza, a to farby, a to cały bagaż... Inni z kolei minęli się z powołaniem, paradując we wdziankach a la Cam'Ron, bling-blingując wszystkich dookoła. Co za materialistyczne podejście do kultury hip-hopu, a fe. Można by tak jeszcze trochę pomarudzić, ale jakoś nie mam do tego serca. Koniec zresztą z żalami, bo w końcu szkoda było czasu na zwracanie uwagi na niedociągnięcia, zamiast koncentrować się na dobrej zabawie, o którą przecież w gruncie rzeczy chodziło.

Yarah Bravo z One Self

MC Hocus Pocus, 20syl

Lider Non Phixion, Ill Bill

O.S.T.R.

Łona

DJ Krush

PROSTO NA KUBĘ

Jak wygląda spotkanie warszawskiego hardcore'u z kubańskim reggaetonem? Czy Kuba i Polska czują ten sam ból? O pobycie Sokoła i Korasa na Karaibach, niecodziennym przedsięwzięciu fonograficznym Prosto i życiu po latynosku rozmawiamy poniżej

tekst Marcin Flint
foto archiwum artystów

Sokół, Twój pierwszy pobyt na Kubie nie wyglądał tak, jak miał wyglądać. Ale już wtedy dotarłeś do jej „nieturystycznego" oblicza.

Sokół: Przez pierwsze dziesięć dni zakwaterowano mnie w chacie murzyńskiej, gdzie ściany kończyły się na wysokości dwóch metrów, a dach był wyżej. Mieszkałem z sympatyczną rodziną, którą poszliśmy za drugim razem odwiedzić, ale mój pokój był wnęką w ścianie, bez drzwi, za to z przezroczystą firanką. We wnęce było tylko łóżko, toaletka z lustrem i dwa metalowe krzesła, na których postawiono mi torby. Stwierdziłem, że mogą leżeć na ziemi, ale usłyszałem: „Nieee, lepiej tutaj, bo insekty ci mogą wejść". Kiedy zobaczyłem „insekta", okazał się on karaluchem wielkości paczki papierosów. Jak go pierdolnąłem klapkiem, to miałem wrażenie, że mu wyskoczyło serce, wątroba i inne wnętrzności. Wyglądał na zwierzę, z którym można się zaprzyjaźnić (śmiech). Wchodzisz do łazienki, stoi kibel bez deski klozetowej i bez spłuczki. Rura z wodą nie jest nawet doprowadzona. Umywalka była, ale bez kranu. Zajebiście, że mogłem coś takiego przeżyć, jednak po 10 dniach powiedziałem pas.

Ale to nie to było, zdaje się, najbardziej egzotyczne?

Sokół: Ważnym momentem było pójście do szamanki voodoo. Właściwie to nie voodoo, tylko santeria, kubańska wersja. Na początku nie chciałem tam iść, w końcu jestem katolikiem, ale jestem pewien, że nie był to tylko spektakl dla turystów, choć z takim nastawieniem wchodziłem. Wcięło mnie lekko, bo nic nie wiedziała ani o mnie, ani o celu wyjazdu (patrz ramka). Ale powiedziała do Marcina i Mariusza: „On jest z ulicy, jego macie słuchać, wy nic o tym nie wiecie". Dorzuciła też wiele rzeczy prywatnych, których nie będę tutaj przytaczał.

Przedsięwzięcie stanowiące cel wyjazdu pozostawało rozgrzebane, zanim nie weszło w nie Prosto. Nie obawialiście się? EMI wypuściło w tym roku składankę z kubańskim reggaetonem i nie odbiła się ona jakimkolwiek echem. Reggaeton święci triumfy w Stanach, u Latynosów, ale czy w Polsce?

Sokół: Reggaeton jest znany głównie z Puerto Rico: Wisin y Yandel, Daddy Yankee, Tego Calderon, Lito y Polaco, Hector El Bambino, można długo wymieniać. Najważniejsi producenci, Luney Tunes, pochodzą z Dominikany. Kuba też jest ważnym ośrodkiem reggaetonu, ale odciętym od świata. Grup jest pełno, słucha się ich wszędzie. Jeżeli zaś chodzi o poziom i jakąś dojrzałość, to jest będący na światowym poziomie, wydający nawet w Hiszpanii i we Włoszech Eddy K., potem zaś długo, długo nic i zespoły uliczne, bez jakichkolwiek oficjalnych kontraktów. Z tego co opowiadali mi Tono i Donato z Los Sicarios, to grali kiedyś w innych zespołach i jeden zajął ze swoim pierwsze miejsce, drugi drugie w hip-hopowym konkursie ogarniającym całą Kubę, gdzie uczestniczyło podobno tysiąc osób. Ale nie mają oficjalnego wydawnictwa, sprzedają turystom na ulicy swoje CD-R'y z okładkami drukowanymi na drukarce. Z tego żyją. Jak zarobią jedno euro dziennie, to jest git. Zresztą sami nie mają komputera, muszą płacić Chińczykowi z chińskiej dzielnicy, który takim dysponuje. Nagranie czegoś graniczy z cudem. My nagrywaliśmy w totalnie hardkorowych warunkach, a nagrywał nas dźwiękowiec koncertowy Buena Vista Social Clubu.

Jak więc wygląda nagrywanie składanek z takimi zespołami?

Sokół: Przyjeżdża łowca talentów i za, powiedzmy, od 50 do 1000 dolarów wykupuje prawa do kawałka. W ten sposób je sobie zbiera. To co wydało EMI, to zapewne taki twór robiony na Kubie i sprzedany na licencji dalej. Dla mnie wydawanie kompilacji kubańskiej w ten sposób nie ma sensu. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się pojechać drugi raz i nagrać jeszcze jeden kawałek z Polakiem, czyli Korasem. Tylko tak można wypromować taką składankę w Polsce. Właśnie kooperacją. Polacy uwiarygodniają projekt swoim udziałem i logiem wytwórni, która pokazuje, że to ma sens. Staram się markować logiem Prosto to, co uważam za godne polecenia. Gdybym to jednak ja robił tę składankę od początku do końca, byłaby troszkę inna. To nie jest w 100% to, co ja uważam, że powinno się na niej znaleźć. Kupiliśmy gotowy produkt i mieliśmy wpływ głównie na to, co się wiąże z Los Sicarios.

Powiedz, dlaczego wziąłeś ze sobą akurat Korasa?

Sokół: Stwierdziliśmy, że jest najbardziej charakterystyczną postacią, która mogła się na Kubie pojawić. Pasował nam do tego klimatu i jak się później okazało, mieliśmy rację.

Koras, Sokół na pewno opowiadał Ci co nieco o swoim pierwszym wyjeździe, miałeś też własny zestaw stereotypów na temat Ku-

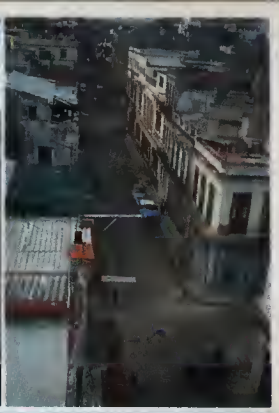

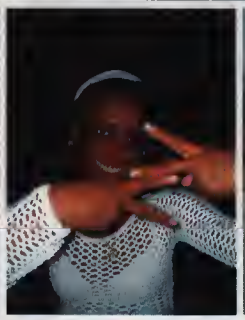

by. Jak wypadło zderzenie tego, co słyszałeś, z rzeczywistością?

Koras: Kiedy dowiedziałem się od Wojtka, że jest dla mnie możliwość wyjazdu i cel wcale nie jest turystyczny, byłem zaskoczony. Bardzo się ucieszyłem. To nie zdarza się codziennie. Pierwszy dzień po przylocie był strasznym szokiem dla moich oczu i uszu. Sama Hawana okazała się miastem muzyki, tańca, śpiewu, zabawy. Mimo tej całej strasznej biedy.

Nie mieliście wrażenia pobytu w wielkim zoo, gdzie ludzie nie mogą robić i mówić tego, co chcą, a przyjezdni przyglądają się im, jak zwierzętom w klatkach?

Sokół: To nie jest do końca prawda. Wiadomo, że istnieje wielka cenzura słowna, ale część po prostu lubi Fidela, szanuje go i ceni. Owszem, są na niego wkurwieni za jedną podstawową rzecz – brak możliwości wyjazdu. Pomyśl, jak nas wkurwiało to za komuny, a oni dodatkowo mieszkają na wyspie, czują się jeszcze bardziej odcięci. Wielu marzy, żeby uciec. Panuje tam zacofanie. Widzą komórki, widzą Internet, ale nie mają do niego dostępu, bo jest za drogi i niedostępny ogólnie, tylko w hotelach, a i tak z tym ciężko. Trudno znaleźć takich Los Sicarios, kiedy nikt, podkreślam nikt, nie ma komóry. Teraz zostawiliśmy Tonowi polski telefon z polską kartą, żeby mieć w ogóle jakikolwiek kontakt. Inaczej trzeba by dzwonić do jakiejś pani Sabriny z rogu dwunastej i siedemdziesiątej pierwszej, bo akurat mieszka na tej samej ulicy, co Roberto, do którego chcesz zadzwonić. Mówisz do niej: „Czy może pójść pani dwa domy dalej i zapytać, czy jest w domu?" albo zostawiasz wiadomość. U nas za komuny też dzwoniło się na klatkę schodową, bo był jeden aparat telefoniczny na piętro. Trzeba sobie przypomnieć rzeczy, których się już nie pamięta.

Koras: A przypominają się różne rzeczy. Mają dwie waluty – taką dla turystów i dla nich. Są taksówki turystyczne, sklepy stanowiące odpowiednik Peweksów.

Sokół: Z tym że u nas w Peweksie było wszystko, a tam to, co u nas w najgorszym osiedlowym warzywniaku.

Mówisz Sokół, że nie ma jakiejś ogólnej nienawiści do Castro. Może dlatego, że w okolicach początku drugiego tysiąclecia władza kubańska pchnęła w hip-hop sporo pieniędzy. Zasponsorowała wydawnictwo, magazyn, festiwal...

Sokół: W życiu nie widziałem tam magazynu hip-hopowego! Pierwsze słyszę od ciebie. Natomiast z imprezami za pieniądze państwowe, to prawda. Był dzień reggaetonu, wielki festiwal. Jeśli zaś chodzi o wydawnictwo, to na przykład w Eddiego K. zainwestowali. To największa, jeśli nie jedyna, gwiazda kubańskiego reggaetonu. Koleś ma kontakt z firmą Cubaton, odpowiednikiem naszych dawnych Polskich Nagrań, bo przecież wszystko tam jest państwowe. Nie zauważyłem, żeby władza ograniczała cały ruch, ale jakoś super go nie promuje. Nie znam zaplecza. Ciężko dogadać się z ludźmi bardzo słabo mówiącymi po angielsku i z jeszcze słabszym pojęciem na temat realiów marketingu, rynku fonograficznego.

No tak, rozmowy musiały być trudne...

Sokół: To są chłopaki z ulicy. Kiedy zapytałem się Donata, skąd ma tatuaż na policzku, odpowiedział: „Wiesz, kiedy pierwszy raz wjechałem do poprawczaka, zrobiłem sobie na pamiątkę po dziadku". Więc pytam: „Co ty masz na tym policzku?". Odpowiada: „Trupią czaszkę z jointem". „To widzę, ale o co chodzi?". „Dziadek pierwszy raz dawał mi jointy, kiedy miałem sześć lat, a wtedy akurat kopnął w kalendarz, więc wydziargałem sobie coś takiego". Tacy to są ludzie. Starałem się pomóc im przy podpisywaniu umów z Marcinem i Mariuszem. Zapytano ich, co chcą za odkupienie kawałka. Wtedy jeden rzucił cenę w euro, a drugi dorzucił: „I buty".

Dzieje Cuba Libre

Wydanie płyty „Cuba Libre" przez Prosto, to – według samych zainteresowanych – „niespodziewany i nieplanowany przypadek". Wszystko zaczęło się, kiedy Sokół poznał w podwarszawskim studio Marcina K. Znajomość pogłębiła się przy okazji koncertów hip-hopowych, jakie ten organizował w Szczyrku. W końcu, kiedy Marcin K. wraz z Mariuszem Sz., biznesmenem zdolnym do finansowania śmiałych przedsięwzięć, postanowili zrealizować dokument o teraźniejszej scenie kubańskiej, raper został poproszony o pełnienie roli narratora i eksperta. Miesięczny wyjazd na Kubę z opłaconymi kosztami przelotu i kwaterunku to rarytas, więc na zgodę nie trzeba było długo czekać. Z tym że z czasem zmieniła się idea -stanęło na składance i artykule, a Sokół w efekcie nie poleciał. Ściągnięto go do pomocy dopiero po kilku dniach, zobowiązał się w zamian nagrać jeden utwór z Kubańczykami. Na miejscu trafił na nieustanne kłótnie między Marcinem a Mariuszem oraz masę słabych zespołów. „Byłem załamany, nie wiedziałem, jak to komentować", twierdzi. Humor poprawił nocny spacer po Hawanie, który pomógł trafić na nielegalny reggaetonowy soundsystem i występ Los Sicarios. „Przy butelce Hawana Clubu i Tropi Coli poznaliśmy się lepiej i przypadliśmy sobie do gustu", stwierdza Sokół. W tym czasie zaczyna mieszkać z Mariuszem i zawiązuje się między nimi nić porozumienia. Raper pomaga w selekcji materiału, nagrywa numer z nowymi kubańskimi przyjaciółmi i korzystając z obecności reżysera Przemka Angermana rejestruje klip. Z przerażeniem patrzy na przygotowane (ponoć przez Marcina K.) umowy, w których kubańscy muzycy zrzekają się wszystkiego. Być może dlatego, że składankę planowano jako dodatek do kolorowego tygodnika i „zaiksy" mogłyby generować problemy. Sokół wraca do Polski, 2005 rok się kończy. W 2006 nie dzieje się nic, konflikt Mariusza z Marcinem trwa. Sokołowi szkoda nagranego kawałka i kombinuje, jak wydobyć go na mixtape Prosto. Rozwiązaniem ma być wypuszczenie całego materiału w formie płatnych mp3 z pomocą Radioemisji. Panowie w Prosto dochodzą jednak do wniosku, że lepiej doinwestować, poczyścić nagrania, zarejestrować na wyspie jeszcze jeden kubańsko-polski track i całość wydać w posłaci płyty na jesieni tego roku. Sokół leci więc ponownie z Mariuszem i Korasem. W tym samym czasie zostaje oczerniony na łamach „Gazety Wyborczej" jako „łowca talentów, który nie zapłacił Kubańczykom"... (flint)

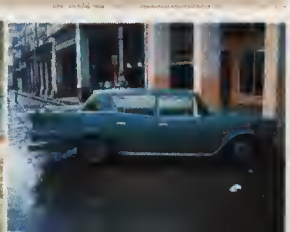

PROSTO NA KUBĘ

Koras: Tam tego nie ma.

Sokół: Chociaż teraz, jak byliśmy, trochę tego było. Widzieliśmy sklep sportowy Adidasa, Pumy i Fili. Nasz rynek obuwniczy to też zresztą trzeci świat. Nie mamy nawet Air Maxów, klasycznych, najbardziej popularnych od 10 lat butów.

Wróćmy może jednak do kubańskiej muzyki. Trudno było się Wam przestawić na reggaeton? To jednak coś innego od hip-hopu, coś, co wypływa z połączenia multum gatunków muzyki latynoskiej. Nie jest podziemne, jest super-modne. Tego Calderon nagrywa z 50 Centem, a Britney ma reggaetonowe remiksy.

Sokół: Reggaeton jest teraz na świecie numerem jeden, jeśli chodzi o kooperacje. Jest z nim tak, jak było z dancehallem. Mam w domu klipy, gdzie z Daddym Yankee bujają się Snoop Dogg i G-Unit. Wisin y Yandel nagrali z R. Kellym, nie wspominając o słynnym nawet u nas „Oye Mi Canto" N.O.R.E. z całą plejadą. Co ja mogę powiedzieć... Jeśli jesteś tam, od razu w to wchodzisz.

Koras: Kiedy po przyjeździe doszedłem do siebie po uderzeniu wrażeń, pomijając już nawet żar tropików, od razu powiedziałem Wojtkowi, że mimo tego, że dobrze opowiada, nie był w stanie tego wszystkiego przekazać. Musisz to samemu zobaczyć, usłyszeć, poczuć, dotknąć. Wtedy zaczynasz czuć tę muzykę, czuć rytmy, rozumiesz, czemu są tak połamane, czemu przyspieszają. Odczuwasz każdą minimalną sekwencję. Tym bardziej, że jest to wszędzie. Potem, kiedy nagrywasz i słyszysz muzykę, od razu przed oczami stają ci te obrazy. Z miejsca to kojarzysz.

Sokół: Czujesz, że to karaibskie rytmy, zwłaszcza dzięki poruszaniu się dziewczyn. Umówmy się, główny temat tych wszystkich tekstów to dupy. Przynajmniej w komercyjnym nurcie, bo hardcore'owe zespoły to inna historia. Hip-hop amerykański też jest zresztą o dupach albo o hardkorze.

Mieliście okazję widzieć tylko Hawanę, czy jeździliście po Kubie?

Sokół: Dwa razy lecieliśmy z Berlina do Varadero. To jedyna typowo turystyczna enklawka. Byłem tam na plaży raz i to tylko przez pół dnia. A tak wychodząc z lotniska, od razu wsiadaliśmy w taksówkę i jechaliśmy do Hawany. Za pierwszym razem spędziłem w Hawanie 29 dni z miesiąca. Cztery razy zrobiliśmy sobie taksówką wypad na plażę do Santa Maria. W samej Hawanie plaży nie ma. Jeżeli ktoś myślał, że leżałem sobie na piasku pod palmami przez miesiąc, to się grubo myli. Hardcore, ulica, to, co widzieliście na klipie, to nie była scenografia z drugiej wojny światowej na Powiślu. Tak to wygląda.

Hawana Hawaną. Wiadomo, najważniejsza metropolia, stolica. Ale stolicą muzyki jest raczej Santiago De Cuba. Stamtąd był Ibrahim Ferrer z Buena Vista Social Club, stamtąd jest też część Los Sicarios.

Sokół: To Donato. Tono jest z Guantanamo. Na wszystkich z tamtej części Kuby mówią „oriente". To inna niż Hawana część Kuby, a zarazem najbiedniejszy rejon.

Nie czuliście się nieswojo, gdzieś obok zarobionych turystów, którzy Kubę kojarzą z rumem, cygarami i tanim seksem?

Koras: Po tygodniu zaczynasz się wkurwiać tym całym: „Hey, my friend, skąd jesteś, chcesz to, chcesz tamto, chcesz moją dziewczynę za dwadzieścia dolarów, jak nie, to mam dobrą restaurację...". Z czasem na pytanie o narodowość odpowiadałem dla polewki „Japan". Nie mają zarobku i każdy chce turystę wyruchać. Po części to rozumiem. Mieliśmy takie sytuacje, że byliśmy już tak wkurwieni, że to my wyjebywaliśmy ich. Jeżeli taryfiarz pierdolnął nam taką cenę, że mogliśmy pojechać dwa razy dookoła Hawany, to wysiadaliśmy bez płacenia.

Sokół: Żegnaliśmy go krótkim „Spierdalaj chamie". Dlaczego nawiązaliśmy dobry kontakt z Los Sicarios? Po prostu po paru chwilach zobaczyli, że jesteśmy bardzo podobni. Nie jesteśmy typowymi turystami, którzy chodzą uśmiechnięci tylko po głównych ulicach, bo boją się skręcić w prawo czy w lewo. Śmigaliśmy wszędzie. Chodziliśmy nawet do nich bez nich. Byliśmy na takich squatach, gdzie inni Kubańczycy bali się chodzić. Przy drugim teledysku cała ekipa techniczna była kubańska. Patrząc na te miejscówki byli w szoku, nie bywają w tej części Hawany...

Macie w Hawanie miejsca, które zapamiętacie do końca życia? Takie, które są już „Wasze"?

Koras: Malecon – główne miejsce spotkań i nawiązywania kontaktów międzyludzkich. Nadmorski murek. Tam się toczy całe nocne życie, można spotkać bogatych, biednych, ładnych, brzydkich, muzyków, pijaków.

Sokół: Malecon jest na tyle długi, że w różnych miejscach masz różny klimat. Już rok temu Sicariosi ostrzegli mnie, gdzie nie siadać, żeby nie trafić na mariconlandię, czyli miejscówkę pedałów. Z odpowiednimi wskazówkami tubylców można poruszać się tak jak oni, tym samym rytmem, dzięki przejściówkom przez różne bramy sporo szybciej. Po pewnym czasie nie jesteś już traktowany jak turysta. Pod koniec zostawiałem pieniądze na stole, w każdej chwili mogli mnie wywalić. Stąd taki temat pierwszego singla, w pewnym momencie spojrzeliśmy sobie w oczy i zaufaliśmy. Drugi kawałek, „Czasami", jest już bardziej hip-hopowy i dotyczy tego, że czasami odchodzisz, by powrócić.

Koras: Chciałbyś uciec od jakiejś sytuacji, zostawić wszystko. Temat dotyczy obu stron. My na chwilę odbiliśmy się od Polski, oni chcieliby odbić się stamtąd.

Czy pozostał wśród Kubańczyków jakiś sentyment do Polski? Z racji na czasy wspólnego ustroju i piosenek „o wyspie jak wulkan gorącej"?

Sokół: Nie. Nie mają o tym pojęcia. Raczej pytali, czy jesteśmy „Russo". Ruskich było tam kiedyś naprawdę dużo. Poznaliśmy jednego Murzyna z grubym wąsem, który pływał na statkach i mówił dziesięć słów po polsku (śmiech).

Jak będzie z promowaniem płyty? Dacie radę ściągnąć chłopaków do Polski?

Sokół: Chcialbym umożliwić Sicariosom wpadanie do Polski co jakiś czas, trasę koncertową. Mamy w tym względzie dobre doświadczenia z nieznanym Soundkailem, który po paru kawałkach z nami gra tu sobie koncerty niezależnie od nas. Los Sicarios to mocno porównywalni showmeni, a może nawet i bardziej spektakularni. Powiem szczerze. Ostatnio dostałem propozycję zaangażowania się w polityczny koncert pod patronatem Lecha Wałęsy, którego zresztą bardzo szanuję. Gdzieś tam z chęcią bym się w to włączył. Ale się nie włączę w imprezę na rzecz „wolnej Kuby", bo to dla mnie bzdura. Ani ja nie będę mógł tam pojechać, ani oni nie dostaną pozwolenia na przyjazd tutaj. Wszystko bym popsuł.

A kubańska władza nie wchrzaniała się Wam w Wasze sprawy? Nie mieliście problemów ze szpiclami czy milionami urzędowych formalności?

Sokół: Nie. Rzeczy urzędowe omijaliśmy polskim stylem. Nie mieliśmy pozwoleń i papierków. Tak samo jak i tutaj, wykładamy na to laskę. Może jak ktoś przyjeżdża z Niemiec, to przyzwyczajony jest do policyjnego państwa. Ja się o nic nie pytam. Zaczynam się przejmować, kiedy pytają się o nas.

©2006 B3. All rights reserved. Ad: Sewer

B3 s.c. ul. Świętokrzyska 16 91-496 Łódź TEL.: +48 42 658 08 00, FAX: +48 42 659 07 85 INF. HANDL. 0 - 515 095 030

Dzieciak z „Motor City" odziedziczył w spadku po nim biedę oraz miłość do muzyki. Bo Detroit to nie tylko General Motors, ale przede wszystkim kultowa wytwórnia Motown oraz dom Detroit techno. O „sztuczkach" (tudzież ich braku), jakie musiał zrobić Obie Trice, żeby być tam, gdzie jest teraz, przeczytacie poniżej

OBIE TRICE

ŻADNYCH SZTUCZEK

tekst Obie1

Początek

W roku 1978 powito pana Trice'a. Po 11 latach ten dzieciak zainteresował się rapem. Na lokalną scenę nie miał za bardzo co patrzeć, bo dopiero kilka lat później coś tam zaczęło się dziać na poważnie. Ostro zapatrzony był za to w Nowy Jork, gdzie królowali wtedy Big Oaddy Kane i związana z nim ekipa Juice Crew (m.in. Masta Ace, Biz Markie, MC Shan), a także chociażby Eric B. & Rakim czy nieco już później Wu-Tang Clan. W tym czasie Obie dostał od matki zestaw karaoke – no i się zaczęło. Lata treningów na wszelkich możliwych instrumentalach doprowadziły do wypracowania sobie charakterystycznego stylu. Jednak niewiele z tym dało się zrobić w takiej rapowej pipidówie jak Detroit, bo tu rap w połowie lat 90. kojarzony był głównie z Insane Clown Posse. Oopiero wydarzenia z lat 98-99 dały raperowi pewien impuls. Najpierw narodziny córki Kobie, potem wielki sukces Emínema. Coś z tym fantem trzeba było zrobić, no i Obie to zrobił, ale po kolei.

Rap jako praca

Zajęcie się rapem na poważnie było głównym celem Trice'a. Jednak jego realizacja to nie taka prosta sprawa. W studiu zarejestrował swój materiał demo, na którym znalazły się takie hity jak „The Well Known Asshole", „Respect", „My Club" czy „Dope, Jobs, Homeless" (które znalazły się później na oficjalnym debiucie). Oczywiście chodzi o ich raczej lokalną sławę. W 2000 roku Bizzare z ekipy Dirty Oozen wkręcił go do studia, gdzíe Emínem właśnie coś nagrywał. Wykorzystując tę okoliczność, Trice wręczył mu swoją płytę. Sytuacja była na tyle szczęśliwa, że Marshall nie wyrzucił materiału, nie zapomniał o Obiem i przedzwonił po jakimś czasie do autora demówki, proponując kontrakt z labelem Shady Records jako jednemu z pierwszych. Debiut jednak nie przyszedł tak od razu. Najpierw Obie musiał swoje „przepracować". Umiejętności demonstrował kolejno na albumach D12, Eminema í trzykrotnie na soundtracku do „8 Mili" (m.in. we wspólnym kawałku „Love Me" z Emem i 50 Centem), czy jeszcze gdzieś po drodze na kilku podziemnych płytach, jak chociażby „Once You Got Blak" Baby Blaka. Dopiero wtedy przyszedł czas na...

Zdrówko

Na to zawsze czeka każdy emcee – pełnoprawny debiut, tu zatytuowany „Cheers". „Cieszę się z tego faktu tym bardziej, że jest to pierwszy album nagrany przez solowego czarnego emcee z Detroit", powiedział raper. I tu należy się z Obiem nie zgodzić, przypominając „Rock City" Royce'a 5'9, który ukazał się półtora roku wcześniej. Wracając do „Cheers", płyta miała bity od Eminema, Kona Artisa czy od Timbalanda í Dr. Dre plus hit „Got Some Teeth". Dało to platynę, fanów no i jak zawsze – hejterów. Ci zarzucali raperowi głównie zbyt podobny styl do Eminema (kawałek o relacjach z matką, „Don't Come Down") czy po prostu wtórność i uleganie schematom. Sam Obie przyznał, że niewątpliwie wielki wpływ na to jak rapuje, ma właśnie Marshall Mathers, ale pomówienia o zżynanie kategorycznie odrzucił. Wspomniany „Got Some Teeth" i tytułowy „Cheers" zapewniły mu publikę w pubach dzięki swojemu pijackiemu charakterowi. Niektórzy nawet wysunęli daleko idące wnioski, że to barowy koncept album. Mimo relatywnie wysokiej sprzedaży (ponad 250 tysięcy w pierwszym tygodniu) „Cheers" zginęło w zalewie podobnych do siebie wydawnictw, szybko trafiając na stoisko z „tanią płytą".

„Doceniony" przez legendy

To przerażające, ale prawdziwe. Jak wielu raperów, którzy są na topie, tak i Obie Trice został zaproszony na jeden z kilkunastu już chyba pośmiertnych albumów Tupaka. „To naprawdę piękna sprawa. Zaszczyt. Dostałem cynk od ludzi z jego ekipy, że chcieliby mnie na albumie. Pomyślałem – czemu nie? No i tak powstał, „Henessey". To naprawdę gorący track", tak mówí sam zainteresowany. Innym, niewątpliwie bardziej nobilitującym wyróżnieniem był telefon od samego George'a Clintona, legendy muzyki funk, założyciela grup Funkadelic i Parliament. „Obie, człowieku. Rób to, co robisz, najlepiej jak potrafisz i pierdol wszystko wokół". Jednak do współpracy nie doszło, a szkoda.

Przychodzę po raz drugi

Każdy dobrze zna przynajmniej kilku wykonawców, którym nie dano szansy na drugi album. Nieistotne, czy debiut był sukcesem, czy totalną klapą. Ten follow-up w przypadku pana Trice'a jednak nastąpił. Wydawnictwo poprzedziła bardzo nieciekawa sytuacja. Kiedy Obie jechał w Detroit autostradą, został dwukrotnie postrzelony. Mógł nie doczekać nie tylko swojej płyty, ale i Nowego Roku, bo zdarzenie nastąpiło 31 grudnia. Na szczęście, Trice nie podzielił losu Proofa (śmiertelnie postrzelonego członka grupy D12 – przyp. red.).

Drugi album „Second Round's On Me" niesie nam ze sobą ciemniejsze, klaustrofobiczne oblicze rapera. Jest znowu kawałek rozliczający - „Mama", który mimo że porusza ten sam problem co wcześniej wspomniany „Don't Come Down", to w swojej wymowie jest dużo bardziej gorzki. Jest jeszcze „Obie's Story", kolejny refleksyjny i w dodatku bardzo mocny track. Album przy okazji niedawnej premiery został porównywany do „Documentary" The Game'a. Jednak nie jest aż tak przebojowy i charyzmatyczny jak album byłego G-Unitowca z Compton.

Na koniec

Obie Trice nie jest genialnym raperem. To raczej przeciętniak z ambicjami, który dzięki wielkiemu szczęściu wybił się ponad przeciętną. Jest szczery, ma poczucie humoru, ale nie ma tego „czegoś", co dawałoby mu większą sławę, większe propsy i więcej fanów niż dotychczas. Stara się i to widać. Zmienia styl, z albumu na album jest niewątpliwie coraz lepszy. Mimo iż od premiery „Second Round's On Me" minęło zaledwie kilka tygodni, już głośno się mówi o jego projekcie z J.R. Rotemem, który oprócz bitów dla tuzów rapu ma na swoim koncie produkcję dla Paris Hilton.

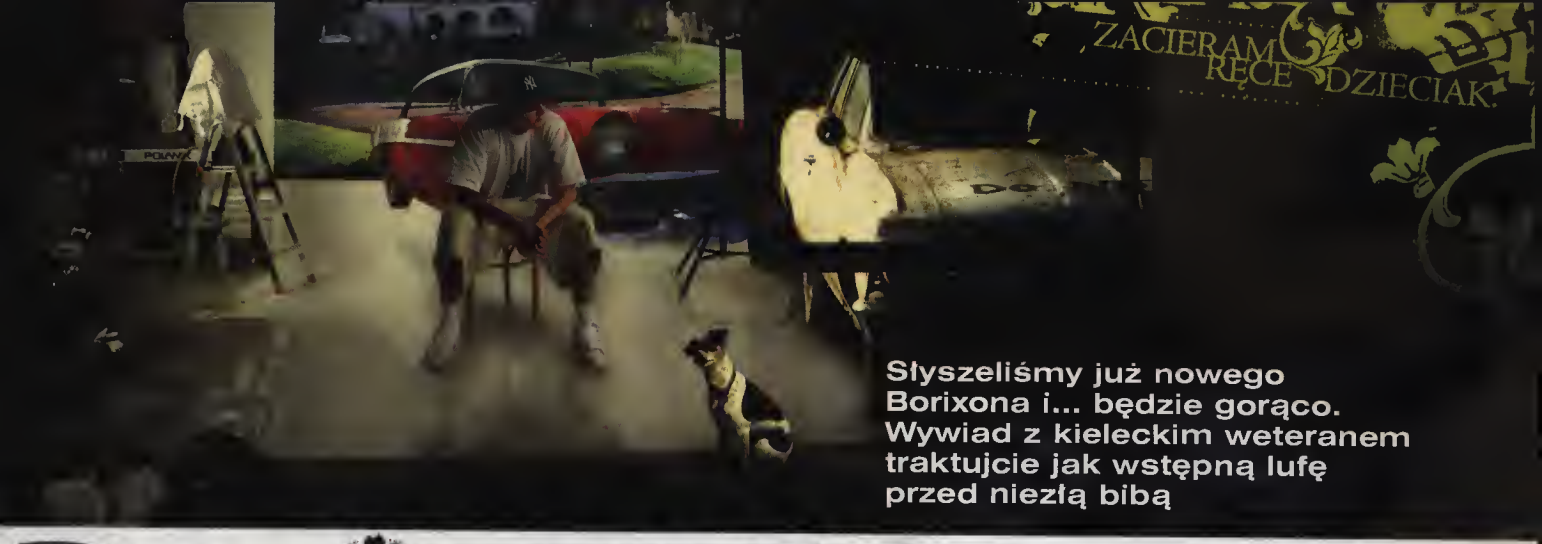

Słyszeliśmy już nowego Borixona i... będzie gorąco. Wywiad z kieleckim weteranem traktujcie jak wstępną lufę przed niezłą bibą

BORIXON

WSZYSTKIE SPRAWY MAM POZAŁATWIANE

pytał Flintstone
grafika Grzegorz Piwnicki

Tak na gorąco po przesłuchaniu nowego materiału – wydajesz się dużo pewniejszy niż na poprzedniej płycie.

Na pewno. Płyta przedstawia mnie takiego, jakim jestem teraz. Nie próbuję pisać tekstów pod kogoś, żeby mu się podobały, tylko nakurwiam swoje rzeczy. Jestem pewniejszy, jestem starszy...

Szczerość miała być największym atutem nowej pyty. Po drugiej solówce wielu raperów dostało gula, po singlu z trzeciej wielu ludzi uważało Cię za rasistę. Nie obawiałeś się, że na tej powiesz parę słów za dużo?

Niczego się już nie boję. Ci, co mieli powiedzieć, że jestem chujem, już to zrobili. Tak samo jak ci, którzy uznali, że jestem rasistą. Nie wiem, co mogliby mi jeszcze zrobić... Mam swoich odbiorców, którzy chcą mnie słuchać, rozumieją mnie, wiedzą, kim jestem i podoba im się to. Część ludzi zaś nie lubi mnie ani tego, co robię. Dopisują sobie do tego ideologię, tak jak z tym rasizmem. Nie chcę też już wracać do płyty Hardkorowej Komercji, bo to było dawno temu, ale każdy, kto choćby raz ją przesłuchał z normalnym podejściem, wie o co chodzi. Po tym nie boję się mówić czegokolwiek, na nowej płycie mówię otwarcie, jak jest. Nie jest może ona tak hardkorowa, ale opowiada o różnych dziwnych rzeczach. Właśnie tak, jak je widzę.

Nie przeszło Ci przez głowę, żeby zrobić płytę na tej samej zasadzie co Wojtas – wziąć beatmakerów kalibru White House, Waco, Volta? Miałbyś murowany hit.

Znam się z Wackiem, znam większość tych producentów, ale od czasu Hardkorowej Komercji bardzo niewielu ludzi chce ze mną współpracować. Myślą, że jestem pojebańcem. Jeśli nie zapraszają mnie na swoje produkcje i traktują mnie jak powietrze, to ja odpłacam im tym samym. Nie będę na siłę dzwonił do Magiery czy Laski i mówił „Ej ziomuś, zrób mi płytę, bo się tob i jaram". Poza tym, poznałem się z Davidem Gutjarem, producentem niemal całej płyty, i jestem bardzo zadowolony. Wysłał mi masę beatów, z pięćset. Wybierałem je sam, mówiłem mu, jak mają wyglądać.

To Twoja dziesiąta płyta. Dużo tego wszystkiego nawinąłeś... Myślałeś o wydaniu składanki z największymi hitami? Co byś na nią wybrał, a czego na pewno nie?

Nie myślałem o tej płycie, ale znając życie, kiedyś na pewno się pojawi, czy będę tego chciał, czy nie. Camey na pewno to zrobi. Sprzedałem mu większość nagrań, są własnością firmy, nie będę miał na to żadnego wpływu. A gdybym ja miał wybierać... Na każdej płycie jest kilka takich kawałków. Grając teraz koncerty, gram piosenki z różnych albumów, te, które mi się wciąż podobają. Tak jak zajebiście przyjmowane „Jestem sobą" z „Mam 5 gram". Mam więc faworytów, ale sam z siebie nie wypuszczałbym ich kompilacji. Wolałbym nagrać nowe kawałki.

O tych, którzy Cię nie lubią, wspominaliśmy. Czas o tych, którzy Cię lubią. Jak po latach smakowała wódka w towarzystwie Liroya? Macie na ten temat wspólny kawałek na nowej płycie.

Owszem, mieliśmy swoje utarczki, ale jeśli się temu przyjrzeć z dystansu, były bezsensowne. Kiedy się rozstawaliśmy, było to ostre, hardkorowe rozstanie. Powrót był bardzo przyjazny i fajny. W pewnym momencie Piotrek skontaktował się z nami przez Żuroma, kiedy robiliśmy kawałek na „Road to Hip-Hop". Ja sobie to wszystko przemyślałem. No i spotkaliśmy się, obecnie spotykamy się bardzo często, jeździmy wspólnie na imprezy. Mieliśmy wspólnie z Redem i Spinaczem nagrać Bukake Warriors – nie wiem, w jakiej fazie to jest, bo cały czas czekam na ruchy z ich strony, studio i tak dalej. Z tego co wiem, Piotrek przyjeżdża niedługo do nas do Kielc z maszynkami. Będziemy robić beaty, zrobimy kilka kawałków wspólnie i jeśli to nam wyjdzie, wydamy całą płytę.

Jak widzisz to w przyszłości? Zwykle raperzy ustanawiają sobie jakąś granicę, powyżej której nie nawijają. Zakładają swój label, oplekują się młodszymi graczami...

Nie mam pojęcia! Będę nagrywał bardzo dużo kawałków i płyt. Jeśli moje albumy przestaną się sprzedawać, będę nagrywał je nielegalnie. Nie mam planu odnośnie kończenia kariery. Na co dzień oprócz tego, że robię hip-hop, zajmuję się w Kielcach innymi dziwnymi rzeczami. Z hip-hopu nie da się przecież wyżyć od kilku lat.

Widać, że Kielce są Ci bliskie. Z drugiej strony, nie masz w nich najmniejszych szans na anonimowość.

Wyjechałem z Kielc, bo miałem pewne kłopoty i problemy. Wróciłem już dawno temu. Wszystkie sprawy mam pozałatwiane, wszystko jest OK. Mam dużo znajomych, poznałem sporo nowych ludzi. Znam wszystkich. Kielce są małe. Wiadomo, że jestem rozpoznawalny i nie mogę iść do Tesco, bo mam urwanie głowy. To normalne. Czuję się z tym dobrze. W Kielcach jest zajebiście, choć czuję wielki sentyment do Warszawy. Może mam tu i wrogów, ale mam też przyjaciół, ulubione kluby. Te dwa miejsca lubię najbardziej. Gdybym miał wybierać, gdzie chcę mieszkać, jakoś bym to wypośrodkował.

Twoja córa, Oliwka, jest na pewno bardzo dumna ze słynnego tatusia?

Chodzi teraz do drugiej klasy. Takie dziecko to czad, całkiem inna sprawa. Trudno to opisać, ale jest jak dorosła. Przebywa z tymi ludźmi, z którymi przebywam ja, słucha tego, co mówię, bo przed dzieckiem nie da się wszystkiego ukryć. Zna wiele więcej rzeczy niż przeciętny dzieciak w jej wieku.

Byłeś już na jakiejś wywiadówce?

Tak. Kiedy wszedłem na wywiadówkę, wszyscy zaczęli bić brawo. Dziwna faza, głupio mi było, spaliłem od razu cegłę. Jej szkoła połączona jest z gimnazjum. Kiedy chodzę po nią, dzieciaki mnie rozpoznają. Wszystko to jest bardzo miłe.

Na wywiadówce spaliłeś cegłę. A tremę przed koncertami miewasz?

Tak. Mija w pierwszej sekundzie, ale i tak jest zajebista. Fajna adrenalinka.

Co do adrenaliny – po Internecie krąży film, na którym przez chwilę widać Cię w kadrze. Pseudo-freestyler z Kielc strasznie bluzga na nim Donia. Zastanawiałem się, co byś zrobił na jego miejscu?

Wstał, wziął kija i zapierdolił z całej siły tamtemu typowi w głowę. To dla mnie żenada, lipa i błazenada.

THE ROOTS

ALFABET THE ROOTS

Nie jest tak, że my ciągle musimy pisać o The Roots. To, że ich kochamy to jest nasza prywatna sprawa. To, że oni ciągle coś wydają i to coś obok czego nie można przejść obojętnie skłania nas, żeby dać im chociaż stronę w naszym piśmie. Tu macie taką „laurkę".

tekst (EST)

A jak Ahmir „?uestlove" Thompson. Perkusista i założyciel grupy. Słynący z doskonałej gry i z dużego afro. Poza tym bardzo zapracowany człowiek. Gra jako DJ w radiu i na imprezach, współtworzy projekty Soulquarians, Philadelphia Experiment i posiada własny band m.in. z Bernie Worrellem z Parliamentu i Funkadelic oraz z Joe Perrym z Aerosmith. Skompilował też dwie składanki dla BBE pod wspólnym tytułem „Babies Makin' Babies".

B jak Black Thought. Głos grupy i jeden z najlepszych tekściarzy wśród raperów. Oprócz tego, co prezentuje na płytach grupy, nie stroni od udzielania się gościnnie u innych artystów. Głównie są to soulowe Jaguar Wright czy Jazzyfatnastees, ale także choćby pamiętny duet z Big Punisherem. Planuje nagranie całej płyty z producentem Danger Mouse'em.

C jak Cody Chesnutt. Amerykański bard grający soul-funk-rock. Jego nagrana w domowym studiu i przy użyciu... słuchawek zamiast mikrofonu podwójna płyta „The Headphone Masterpiece" dała grupie „The Seed 2.0", czyli pierwotną wersję dla pierwszego singla z „Phrenology". Był jedną z gwiazd popularnego w Stanach programu i filmu dokumentalnego Dave'a Chapelle'a.

D jak Dice Raw. Emcee związany z The Roots. Ma na swoim koncie solowy album „Reclaiming The Dead" oraz liczne gościnne udziały, głównie na płytach swoich „opiekunów", chociażby w „Adrenaline!".

E jak Erykah Badu. Czyli pierwsza dama muzyki soul. Dzięki jej pięknemu głosowi i doskonałemu tekstowi napisanemu przez Jill Scott, utwór „You Got Me" stał się wielkim hitem. Na swoim koncie ma trzy regularne albumy i doskonałą koncertówkę „Baduizm Live".

F jak Filadelfia. Czwarte co do wielkości miasto w Stanach Zjednoczonych, miejsce podpisania Deklaracji Niepodległości i dom jednej z najciekawszych scen muzycznych na świecie. To w „mieście braterskiej miłości" – bo takie miano posiada – powstał gangsta rap dzięki Schooly'emu D, to tu podwaliny pod turntablism dał Jazzy Jeff.

G jak Geffen. Wytwórnia, która wydała „Do You Want More??!?", „Illadelph Halflife" i później „The Tipping Point". The Roots co chwila się z nią rozstają, by potem do niej wrócić. Jakby nie było, wrota Geffen są dla nich zawsze otwarte. Ewentualnie G można przypisać najnowszej płycie „Game Theory" wydanej już dla oficyny prowadzonej przez Jaya-Z- Def Jam.

H jak Hub, a właściwie Leonard Nelson Hubbard. Jego postura budzi respekt, a wyczyny na basie – wielki podziw. Jak niewielu w tej branży, potrafi wyczarować niezapomniany klimat. Oby było go więcej na płytach.

I jak „Illadelph Halflife". Chyba najbardziej niedoceniony album w całej historii grupy. Jako pierwszy w jej historii zawędrował do Top 40 „Billboardu". Surowe brzmienia i samplowane wcześniej nagrania odrzuciły na początku część ortodoskyjnych fanów. Promował go doskonały singiel „What They Do" z Raphaelem Saadiqiem.

J jak Jill Scott. Czyli autorka chyba największego hiciora w dziejach grupy „You Got Me". Wynalazł ją na slamach poetyckich Ahmir Thompson. Na co dzień prowadzi doskonale swoją karierę poetki i piosenkarki. Ma na koncie tomik poezji „The Moments, The Minutes, The Hours" oraz dwie regularne płyty i album koncertowy.

K jak Kamal Gray. Obecny klawiszowiec i autor piosenek. Podobno na swoim keyboardzie potrafi zagrać wszystko, w tym klasyki hip-hopu. Ogłoszony jest spadkobiercą takich mistrzów jak Thelonius Monk czy Herbie Hancock, co jest nie lada wyróżnieniem.

L jak „live", czyli koncerty. Nikt ze świata hip-hopu nie daje takich koncertów jak oni. Namiastkę tego możecie znaleźć na „The Roots Come Alive". Więcej – w niedalekich Niemczech, gdzie grają regularnie. Najbliższy koncert już w grudniu.

M jak Malik B, a właściwie Malik Abdul Basit-Smart. Był już drugim emcee w grupie, był emcee koncertowym. Potem rozstał się z grupą przez swoje problemy z 2K, czyli kobietami i kokainą. Na całe szczęście, na „Game Theory" już powraca jako gość we wspaniałym stylu na „Here I Come", „In The Music" i tracku tytułowym. Ma także na koncie niezwykle trudną do zdobycia epkę „Psychological".

N jak Niemcy. Kraj, do którego The Roots udali się z dalekiej Filadelfii, aby promować swoją markę, zupełnie jak mormoni. Dzięki udanym koncertom, udało im się podpisać kontrakt z labelem Geffen, w którym wydali później „Do You Want More!!!??!".

O jak „Organix". Debiutancka płyta grupy, która została wydana przez małą, niezależną wytwórnię DGC. Część materiału to występy na żywo m.in. w klubach w egzotycznej (dla Amerykanów) Słowenii. Obecnie jego reedycję wydała Remedy i nie ma już z jej dostaniem takiego problemu.

P jak „Phrenology". Ciężki, surowy, czasem wręcz punkowy album. Był świeżym powiewem w zaśniedziałym muzycznym świecie. Jedna z tych rzeczy, do których powraca się ciągle. Promowany był rockowym singlem „The Seed 2.0".

R jak Rahzel M. Brown. Pochodzący z Nowego Jorku bitboxer zwany także „The Godfather Of Noize". Z grupą pożegnał się na stałe po „Things Fall Apart". Ma na koncie dwie płyty: „Make The Music 2000" i „Rahzel's Greatest Knockouts". Współpracował z Bjork i The Crystal Method. W Polsce gościł ze swoim show oraz w towarzystwie Mike'a Pattona, z którym ma wspólny projekt.

S jak Scott Storch, czyli naprawdę Scott Spencer Storcherelli. Były klawiszowiec, a obecnie niebywale wzięty producent. Oprócz rzeczy z Filadelfii, na których trzymał łapy, jak nagrania Jaguar Wright, Jazzyfatnastees i Dice'a Raw, zrobił bity dla D-12, Mobb Deep, Mystikala, Method Mana i Redmana, Christiny Aguilery, Ja Rule'a, G-Unit, Shaggy'ego, Paris Hilton czy ostatnio dla MC Hammera.

T jak „Things Fall Apart" i „The Tipping Point". Pierwszy album to wielki sukces dzięki singlowi z Eryką Badu. Drugi to powrót do surowego, choć melodyjnego grania. Promowany singlem „Don't Say Nuthin'", który kompletnie nie oddawał klimatu płyty. W tym czasie odeszli z grupy Ben Kennedy, gitarzysta i Scratch, etatowy bitboxer.

U jak Ursula Rucker. Wspaniała, zaangażowana poetka, która miała regularnie swoje numery na płytach The Roots. Potrafiła wzruszyć do łez i mocno zastanowić się nad światem. Prowadzi też solową karierę nagrywając już trzy albumy „Supa Sista", „Silver Or Lead" i tegoroczny „Ma'at Mama". Dwukrotnie gościła w naszym kraju.

W jak Woodstock. The Roots wystąpili na tym powracającym jak bumerang festiwalu w jego odsłonie z 1999 roku i zagrali jak zwykle na wysokim poziomie. Towarzyszyła im wówczas Erykah Badu.

Z jak zaangażowanie. Oprócz tematów społecznych poruszanych na płytach, The Roots angażują się także w różne społeczne akcje. Ostatnio – w kampanię PETA na rzecz wegetarianizmu.

10 NUMERÓW ANTY-POLICYJNYCH

Nie kochamy policjantów. Ich wąsów, czajenia się po krzakach z radarami dla łapówek z mandatów, kiedy gdzieś obok komuś dzieje się prawdziwa krzywda. Ich „mylenia rastamanów z dilerami", złośliwego, upierdliwego sukinsyństwa w relacjach międzyludzkich. Dzieci wciąż można straszyć powiedzonkiem „ucz się, bo zostaniesz policjantem". Nie dość, że zwykle nie grzeszą inteligencją, są bezkarni, rozpici, bezużyteczni, to idą do policji nie po to żeby zarobić parę złotych, ale żeby legalnie wyładować agresję, poczuć namiastkę władzy. Jak hip-hop miał nie dobrać się do tyłka gościom, dzięki którym dzieciaki częściej nosi się na butach niż na rękach? Oto krótki ranking rap-utworów dotyczących policji.

01

Płomień 81 „Jestem przeciw" Pezet rymuje tu wersy takie jak „Uniewinnij Paetza, on tylko gwałcił dzieci / zamknij dobrych ziomów za to, że palili skręty", a Onar ze swoją wizją tego, co zobaczyłby poseł na melanżu ze swoim synem nie odbiega formą. Psy mają pozamiatane.

02

Pono gośc. Fred, Bilon „Policyjne miasto" Zaczyna Fred, którego przejścia z policjantem skończyły się Tramalem. Potem Pono w ładnym stylu opisuje, jak „w blokowiskach policja wiska na boiskach / jak sadysta korzysta z prawa, które ktoś jej przyznał". Wzorcowy antypolicyjny joint bez ślepej agresji, za to z argumentami dobitnie podsumowuje Bilon.

03

Whitehouse gośc. Włodi, Pono, Daf „Na żywo" – Włodi demaskujący psa w swoim otoczeniu czy Pono opisujący funkcjonariuszy pastwiących się nad zulem to klasyka narracji w „osiedlowych numerach". A i beat też nieprzeciętny.

04

Molesta „Wiedziałem, że tak będzie" Wytłumaczono chłopakom, że lepiej jeśli zwrotki Włodiego nie będzie w wideoklipie, ale to ona została najsłynniejsza i z jej powodu właśnie nie piszemy teraz o „28.09.97". Cytaty z tego numeru są na podwórkach jak przysłowia.

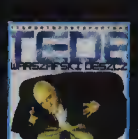

05

Tede „Mróz" „Pies człowieczeństwem mnie zaskoczył", przyznaje Tede w gorącym storytellingu o zimowym szmuglu. Miał co prawda problem przy postoju, ale okazało się za zimno na mandaty. Skoro tak, to aż chciałoby się mieszkać w Nepalu...

06

Fu gośc. Pono, Koras, Felipe, Peper i Mieron „Czynnik Propaganda" Wkurza cię propaganda sukcesu, pozorowana walka z mafią, granie bzdurnym prawem i tuszowanie policyjnych zbrodni? To numer dla ciebie. Zwrotki są skrajnie nierówne, ale ta Korasa jest najlepsza w jego dorobku.

07

Fu gośc. WSP, WNB „Opanuj strach" „Chwila w napięciu, wkurwionych oczu błysk / Czterech psów, nas pięciu, jeden dostaje w pysk", tak to bywa, jeżeli chodzi o „Śródmieście Południowe, a nie Harlem". I jeszcze ten sampel... Czysta adrenalina.

08

Hemp Gru „Nienawiść" No właśnie, nienawiść. Nie żeby coś wytłumaczyć, konkretnie oskarżyć, byle tylko dojechać na wkurwieniu, nie ważne już jak. „HWDP śmierć kurwom i frajerom / Na zawsze wolność ludziom i złodziejom" takie wersy to bezsens i woda na młyn policyjnej dezinformacji.

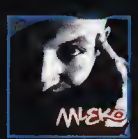

09

Mleko „Kto dogoni psa?" Mleko poza beatem i poza krytyką. Przecież dzieci w zerówce też muszą mieć przebój wpajający niechęć do policji. Refren już pewno znają z rytmiki.

10

Pięć Dwa Dębiec „Policyjne" Dzięki, Hans. Za sześciokrotne powtórzenie, że „dwumetrowy chuj wchodzi w dupę policjantom", za rymy „Sprzedawczyki policyjne / chłopczyki policyjne / jebani konfidenci / chuje / 5-2 cm HWDP". Nigdy więcej takich kawałków.

* Wyróżnienie: Dinal „Chryzantemy złociste" Już choćby za wers „Jakiś kretyn zawinął raz nas na dołek / wielki detektyw z camelem jak Magda Mołek".

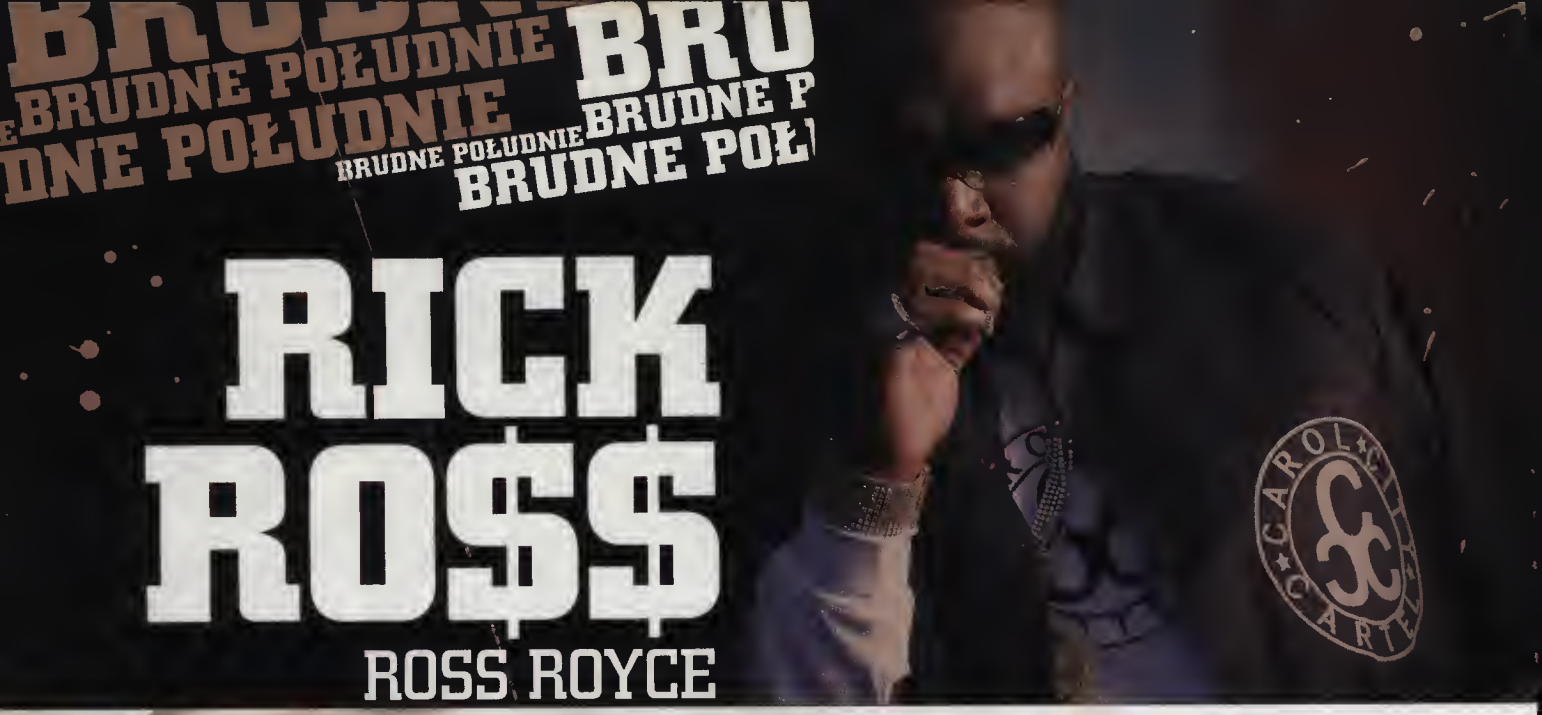

Do niedawna to T.I., o którym piszemy obok, dominował okładki pism, tematy rozmów, rotacje utworów w stacjach radiowych i telewizyjnych. Obecnie głośniej jest o Ricku Rossie, który sam uważa, że nagrał klasyk. Czy hustler z Florydy ma powody, by prezentować taką pewność siebie?

tekst Marcin Flint

Scarface

Miami to miasto niekończących się plaż i palm poutykanych wśród miłej, jasnej zabudowy. Ma jednak kilka problemów. Jednym z nich są Kubańczycy. W 1979 r. Fidel Castro wykręcił władzom amerykańskim paskudny numer i przysłał sporo łodzi pełnych ćpunów i przestępców. Ale o tym wiecie pewno z „Człowieka z blizną". Główny bohater filmu, idol setek hip-hopowców Tony Montana powiedział o Miami, że „to miasto jest jak wielka, cudowna cipka, która czeka, by ją zerżnąć".

Do niedawna rapową wizytówką metropolii było 2 Live Crew, które o niczym innym niż rżnięcie nie umiało rymować, ale tak naprawdę oni jedynie podmacywali stawę, zyskując rozgłos nie dzięki swojej muzyce, a dzięki temu, że była na tyle wulgarna, by wywołać ogromny spór dotyczący wolności słowa. Bez dwóch zdań nurt Miami Bass nie jest osiągnięciem, którym należałoby się chwalić. Niby Trick Daddy namieszał, ale bardziej lokalnie. Recenzenci pastwili się nad nim tak mocno jak nad produktami Cash Money i No Limit, jednak nigdy nie osiągnął ich pozycji i rozgłosu. Wszystko wygląda na to, że Miami zostało rodziewiczone przez Ricka Rossa. Wjechał z wielkim hukiem, z nazwą miasta w nazwie płyty („Port Of Miami") i potężną obstawą, by zaparkować na szczycie listy „Billboardu". Nic więc dziwnego, że mówi o sobie „Ross Royce".

Bad Boys

W jednej chwili o gościu jest cicho poza jego terenem, w drugiej okazuje się, że kolesie ściągają jego mixtape'y chętniej od majtek własnych panienek. Księżniczka Florydy Trina pojękuje w refrenie, gdy raper stwierdza, że chce ją zapinać bez zdejmowania jej butów – i zapewne od tyłu, bo takie preferencje względem kobiet zdradza na albumie – doskonale zdając sobie sprawę, że gdyby położył się całą swoją masą na dziewczynie, silikon trysnąłby jej nosem.

To tylko początek kolejki staw. Z jednej strony pojawia się kalifornijska gangsterka w postaci Dogg Pound i pogromca serc (no, niech już będzie, że serc) niewieścich Too Short, z drugiej Juelz Santana, książę nowojorskich szpanerów w barwach Diplomats. Jay-Z staje się partnerem w hustlingu, latynoskie Pitbulle jedzą mu z ręki, Busta Rhymes dogrywa się do remiksu singla, jak ma w zwyczaju od lat (o ile singiel ten jest hitem). Kiedy już się wydaje, że chociaż jego okolice mają jakieś „ale" i zaraz wyniknie beef z rzekomym „królem południa" T.I.'em, sprawa raptownie się wyjaśnia i panowie planują wspólny kawałek. Taki jak nagrał Lil' Wayne, Pimp C czy Paul Wall.

Co do cholery ten Rick ma w sobie takiego? Rymuje, że nie ma czegokolwiek do stracenia – i rzeczywiście stracić mógłby tylko kontrakt, który pięć lat przeleżał w wytwórni Trick Daddy'ego, by – jak to ładnie zauważono – wreszcie zaliczył transfer z rezerw Slip-N-Slide do pierwszej piątki Def Jamu. Poza tym, stan posiadania jest kompletny, pozwala kręcić się po Miami i przekuwać w opowieści przerzuty narkotyków czy strzelaniny na łodziach motorowych. Takie „Push It" dobrze ukazuje, że słoneczne Miami to miasto na granicy eksplozji. Ale o tym wiecie pewno z filmu „Bad Boys".

Vice City

Ma więc Rick niski głos z odrobiną głębi, coś jak Ice Cube, choć dziennikarze porównują go raczej do niedźwiedzia grizzly po lekcjach śpiewu u Tupaka. Zaraz za tym idą pewność siebie i bezczelność, która nie pcha go do udowadniania, że jest niewiadomo jakim raperem. Do tego dochodzą dopasowane podkłady, niezbyt szybkie, za to świetnie się rozkręcające za sprawą starego, dobrego sampla czy partii syntezatorów. Cool z Dre, Jazze Pha, Akon czy Rotem doskonale wiedzą, jak tworzyć mało agresywnie, melodyjnie, trochę słodko... Dopchane do granic możliwości wokalistami beaty są stworzone dla radia i chwytają od razu.

Obecność sampli z soundtracku do filmu „Scarface" dodaje klimatu zmanierowanym wersom, rzadko wychodzącym poza kilka rzeczy w stylu fur. Wiadomo, że Miami to miasto, w którym lanserzy bujają się zajebistymi autami, a te z kolei nieraz zmieniają właścicieli. Ale o tym wiecie pewno z „Grand Theft Auto: Vice City". Sam Ross zaś stwierdza: „We never steal cars / but we deal hard".

Co do dilowania, to kokaina jest na płycie obsesją. O ile artyście trochę zbyt szybko zabrakło ojca (który umarł na raka) i dorastał na północnych przedmieściach. Miami mogło go uczulić na parę rzeczy, nie można oprzeć się wrażeniu, że przesadza. Igły i fajki wcale nie zastępowały mu zabawek, Pablo Noreaga wcale nie wisi mu stu przysług, a jego grupa Carol City Cartel nie jest jedynie pozostałością kliki okrojonej przez aresztowania i zabójstwa. W Internecie żartuje się z jego „ulicznej wiarygodności" pisząc, że tekst do „Hustlin" powinien brzmieć: „Każdego dnia wpieprzam, wpieprzam, wpieprzam. Nie dotykaj moich pączków!".

Miami Vice

Najlepiej broni Rossa pełne przeciągania, ale i wyczucia flow. „Czasem rymuję szybko, czasem rymuję wolno", sam przyznaje. „Czasem nie rymujesz wcale", dopowiadają złośliwie recenzenci, proponując określenie „konsolidacja słów". Ile razy można zrymować do siebie „twenty-two" albo „fucked up"? Wystarczająco, żeby doprowadzić do płaczu fanów nowojorskiego lirycznego sznytu, jaki mają Nas czy Papoose. Żeby było zabawniej, artysta twierdzi, że buduje most pomiędzy brudnym południem a doceniającym jego teksty wschodnim wybrzeżem (określa się „numerem jeden wśród ghostwriterów"!). Można by podejrzewać, że to most pontonowy, w trakcie pokonywania którego rozjedzie się jego trzystufuntowe dupsko, ale sprzedaż płyt (i dzwonków telefonicznych, bo tu bite są akurat rekordy) pokazuje coś zupełnie innego.

Po ostatnim żonglowaniu ofertami wytwórni Ross był pewien, że nagrał klasyk. Krytycy odbierają go jak 50 Centa – słaby tekściarz, charyzmatyczna osobowość. Mixtape'y były jak odcinki serialu, teraz udało się przenieść parę ubarwionych fajerwerkami kadrów z Miami na wielki ekran. Czasem się udaje, czasem nie. Ale o tym wiecie pewno z kinowej wersji „Miami Vice".

Jestem legendą dirty south i wiedz, że musisz mnie respektować. To ja stawiałem w Atlancie podwaliny pod cykające brzmienia, kiedy jeszcze Outkast srali w pieluchy. Opowiem ci historię o T.I.'u, raperze, którego karierę śledzę od początku

tekst Bartek Skolasiński (dill-o)

Zaczęło się w 2001 roku, kiedy to siedziałem w studio i nagrywałem gorące letnie hity, które mogłyby roznieść wszystkie kluby Atlanty w drobny mak. Wtedy właśnie wpadł mój dobry znajomy i powiedział, żebym koniecznie sprawdził płytę, którą akurat trzymał w ręce. Na okładce widać było napisane dużymi literami T.I. „I'm Serious". Włożyłem krążek do odtwarzacza i spadłem z krzesła.

Typ nawijał, że jest królem południa i może zjeść wszystkich raperów. Powiedziałem: „Stary, co ty mi tu dajesz?" Odpowiedział, że to dobra płyta, ale ja go nie słuchałem, bo byłem tak zdenerwowany, że dochodziła do mnie tylko jedna myśl. On uważał się za króla dirty south, rozumiesz? Chciałem nagrać na niego numer, ale znajomy powiedział, że jak mi się nie podoba, to po co mam mu robić reklamę. Tak swoją drogą, to płyta była całkiem dobra. Kilka bitów wyprodukowali The Neptunes. Singlowy numer na ich podkładzie to petarda. Teraz tak sobie pomyślałem, że to dobrze, że płyta się nie sprzedała. Znalazła się chociaż jedna rysa na nieskazitelnym wizerunku Pharrella.

No, ale bity były naprawdę niezłe. Weźmy na przykład takie „Heavy Chevys", numer wprost stworzony do tego, żeby bujać się w jego rytm podczas jazdy samochodem. Jak już słuch o płycie zaginął, to się zastanawiałem, co ten typ będzie robił przez najbliższe lata. Podobno był dilerem i sprzedawał jakieś świństwa chłopakom z sąsiedztwa. W 2003 ukazała się jednak jego druga produkcja, która okazała się niespodziewanym sukcesem…

„Trap Muzik" to był hit. Dzieciaki szalały, kiedy leciały takie kawałki jak „Doin' My Job" czy „Let's Get Away". Tak swoją drogą, to był okres, kiedy na szczytach pojawił się Kanye West, a pierwszy z tych kawałków to właśnie jego produkcja. W ogóle ta płyta to była masakra. Właściwie każdy numer miał w sobie to „coś". Też tego słuchałem, ale cały czas pozostawała mi w głowie jedna myśl. On znowu mówił o tym, że jest najlepszy, jaki to z niego hustler i tak dalej. W końcu można nawijać o tym samym. Takie jednak numery jak „I Can't Quit" to mistrzostwo świata. Powiem ci, że kiedy teraz włączam ten album, to te jego teksty o byciu królem traktuję z przymrużeniem oka, ale kilka punchy miał naprawdę kozackich.

Po wydaniu „Trap Muzik" chłopak trafił na trzy lata do więzienia. Podobno naruszył zasady warunkowego zwolnienia z 1997 roku. Ale nie przeszkadzało mu to w gromadzeniu materiału na trzecią płytę. Podobno nagrał go tyle, że starczyłoby na kilka pełnowymiarowych albumów. Miał po prostu pozwolenie na to, żeby dalej robić rap, ale swoje musiał odsiedzieć. Krążek miał tytuł „Urban Legend". W 2004 roku, kiedy go wydano, wszyscy nucili takie przeboje jak „Get Loose". Ale nie mogło być inaczej, jeśli za produkcję odpowiadali Jazze Pha i The Neptunes. Zastanawiam się, po co znowu zatrudnił tych drugich do współpracy. Przecież za pierwszym razem się nie udało.

On znowu mówił o tym, że jest najlepszy, jaki to z niego hustler i tak dalej. W końcu można nawijać o tym samym. Takie jednak numery jak „I Can't Quit" to mistrzostwo świata

Pamiętam, jak z ciekawości spojrzałem na listę najlepszych hip-hopowych płyt właśnie z 2004 roku. No i co zobaczyłem? Ten album ma platynę! Pomyślałem sobie wtedy: „No chłopie, wreszcie ci się udało, ale królem i tak nie będziesz, bo to ja nim jestem, ja i tylko ja". W każdym razie płyta się podobała wielu, ale nie mnie, bo wydawała mi się nijaka. Poprzednia to był kop – te gitary, soulowe pętle i wokalne sample. A tutaj? Wszystko takie bez wyrazu i myśli przewodniej. Ludzie to kupowali, ale jeśli swoje trzy grosze dorzucił Mannie Fresh, to trudno się dziwić. W każdym razie, jak mówiłem, płyta zdobyła platynę i sprzedała się świetnie, co już chyba na dobre ustawiło T.I.'a i mógł on raz na zawsze zapomnieć o przeszłości.

W 2006 roku doczekałem się kolejnej jego świetnej produkcji. Chodzi o „King". Następna płyta i znowu to samo: gadanie o byciu wielkim, hustlerce i tak dalej, więc mogło się wydawać, że po raz drugi zawiedzie, ale już przestałem zwracać uwagę na jego buńczuczne wersy. Może poza paroma wyjątkami, jak na przykład „You don't like me, cause your girl most likely does". W końcu chłopak osiągnął sukces, więc niech sobie mówi, co chce. Ważne, że bity jakie dostał, były masakryczne. Just Blaze rozwalił tytułowym numerem. Te trąby w refrenie, mogę ich słuchać godzinami. No i singiel „What You Know", mistrzostwo świata. Wszystko ok, ale myślałem, że już nic mnie nie zaskoczy. Myliłem się… Kojarzysz Commona, tego typa, co kiedyś miał konflikt z Ice Cube'em, a teraz zdobył platynę za swój ostatni album? Mocno się zdziwiłem, kiedy usłyszałem go w „Goodlife" na bicie The Neptunes. Nawet starzy wyjadacze z Chicago doceniają T.I.'a.

Dobra już nie będę mówił o jego osiągnięciach, bo właśnie sobie przypomniałem, że chłopak miał beef z Lil Flipem. To taki młody raper, który też walczy o tytuł króla. Wiesz, o co się pokłócili? Właśnie o to, kto rządzi na południu. T.I. się wkurzył, bo wydawało mu się, że Flip zdyskredytował go na jednym ze swoich występów w Atlancie. Tak czy inaczej, konflikt nigdy nie został do końca rozstrzygnięty, ponieważ obydwaj wyjaśnili sobie wszystko za zamkniętymi drzwiami. Podobno T.I. miał też coś do Ludacrisa. Ten nagrał nawet kawałek „War With God", który wszyscy uważali za diss na niego, ale Luda wszystkiemu zaprzecza. Konfliktowy jest, nie ma co.

Podobno raper pracuje już nad nowym krążkiem. Czytałem gdzieś, że jego roboczy tytuł to „T.I. vs. T.I.P." Zobaczymy, co z tego wyjdzie. W każdym razie ja jestem dobrej myśli.

Red ze Spinaczem wracają z kolejną płytą. Spontaniczną, bez dzielenia muzyki na gatunki i słuchaczy na lepszych i gorszych. Co zmieniło się w ich życiach i ich stylach? Czy rzeczywiście mają wszystko?

tekst Marcin Flint
rysunek Michał Arkusiński

Powiedz mi Spinacz, na którą wychodzisz do pracy?

S: Zależnie od sytuacji. Jak mam dużo roboty, przyjeżdżam na siódmą, jak mało – na dziewiątą. Sam to sobie reguluję.

Ale między siódmą a ósmą rano rzadko kiedy śpisz?

S: Raczej tak.

A jak jest w tym czasie z Redem?

S: Śpi. Budzi się gdzieś koło 10, ale odkąd urodziła mu się córka, jest na pewno inaczej.

R: Śpię. To jest, kurwa, pewne. A jeśli nie śpię, to dlatego, że nie poszedłem jeszcze spać. Żyję na odwrót. Robię muzykę późną nocą, lubię poszerzać swoją wiedzę ogólną, surfować po Internecie – od Al-Jaziry po chorwackie strony o piłce nożnej. Rzeczywiście jestem zajęty. Nie dość, że swoim klubem, to jeszcze żoną i dzieckiem.

S: Z mojej perspektywy, bez dziecka, wyobrażam sobie to jako męczarnię. Pewno jednak tak nie jest, przyzwyczajasz się. Red nie narzeka, jest totalnie zakochany w córce.

R: Mam z żoną zajebisty układ. Bardzo pomagam w dzień. Biorę na siebie długie, trzygodzinne spacery, podczas których żona kima, jestem od kąpania. Ale w nocy mam swój czas. Dzisiaj poszedłem spać o czwartej. Bywam rozziewany, zjebany, ale rzeczywiście tak kocham swoją córkę, że nie unikam sytuacji, w których trzeba wstać i zmienić pampersiaka.

Bardzo Ci się życie zmieniło?

R: Tylko w podejściu do pieniędzy. Jestem bardziej skąpy. Jeśli teraz coś robię, to nie rozliczam się przy okazji, tylko mówię, kiedy ma być hajs. Po prostu chcę, żeby dziecko miało wszystko co najlepsze. Ma pimpowy wózek z termometrem wewnętrznym i tak dalej. Wszystko dla niej, ja mogę jeść cornflakesy z wodą. A co do reszty, to jestem nawet bardziej wyluzowany, niż byłem. Wszystko poza rodziną i przyjaciółmi lata mi koło chuja.

A propos pozyskiwania pieniędzy. Widziałem Cię w reklamie lodów.

R: I co? Nie pasuję do niej? Na początku reżyser chciał mnie umieścić w bloku wśród ziomalów i kapturów. Po interwencji zrobili to inaczej. Z panienkami, w klubie, bardziej pode mnie. Inaczej bym się nie zgodził. Moja żona była w ciąży. Wiesz, jak ucieszyła się z siedmiu kartonów lodów?

Nie o to chodzi. Ciekawe, że na płycie rapujesz po francusku, na reklamie zaś po polsku.

R: Ile ja mam tam zdań, trzy? Nawet ich nie napisałem. Funky Filon produkuje się minutę.

Wiadomo, że Red mówi po polsku. Ale czy Spinache mówi po francusku?

S: To piękny język, ale z drugiej strony bardzo trudny, jeśli chodzi o naukę. Teraz byłem w Genewie. „Je m'appelle Spinache", tyle załapałem i na tym bym poprzestał (śmiech).

Jestem po prostu ciekaw, czy masz możliwość zweryfikowania tego, co pisze Red.

S: Rozmawiamy o tym i tłumaczy mi teksty. Oczywiście tłumaczy tak, jak potrafi. Zdarzało się, że ktoś inny tłumaczył mi je trochę inaczej. Nie żeby odbiegało to specjalnie od przesłania generalnego, tylko pojawia się więcej „dziwek" i tego typu rzeczy.

Czas funkcjonowania i język Was dzielą, ale zdaje się, że znacznie więcej łączy. Ostatnio dwie płyty, do których nazw nawiązywałem w pierwszych pytaniach.

S: Obozowiczów trudno zebrać, tymczasem Reda mam blisko, to tylko coraz więcej godzin jazdy do Warszawy (śmiech). Nie wiem, jak to się dzieje, postęp cywilizacji idzie w drugą stronę, a pociągi jeżdżą dłużej (śmiech). Nasze albumy to sytuacja, w której dwóch zupełnie innych ludzi z podobnym spojrzeniem na muzykę zbliża swoje tory, aż jadą razem. Co nie zmienia faktu, że mamy zupełnie inne podejście do bardzo wielu spraw.

Wspólna podróż do tego samego celu, którym nie jest wcale odbiorca ograniczony do hip-hopu.

S: Nie skupiam się na tym, żeby to, co robię, było hip-hopem, a na treści, jaką chcę nieść i w formie, jaką to ma przyjąć. To, czy ktoś nazwie to hip-hopem, czy techno, jest dla mnie naprawdę mało ważne. Oczywiście czuję się związany z hh i to bardzo, bo nauczył mnie robić muzykę i zaszczepił mi jej wizję. Nie jesteśmy jedynymi artystami w Polsce, którzy jedną nogą są w hip-hopie, a drugą gdzie indziej. Gdzie? Tego nie określam, jesteśmy na tyle otwarci, że możemy robić cokolwiek. Jeśli będziemy chcieli mieć na płycie house'owy numer, to po prostu będziemy go mieli.

R: Ostatnio dochodzą mnie głosy znajomych, że niby robię coraz bardziej popową muzykę. Bardzo się z tym nie zgadzam. Na mojej pierwszej

płycie były już żeńskie wokale i gdyby wtedy było Radio Eska, puszczaliby ją do wyrzygania. A ja cały czas samplуję funkowe gówna z lat 70. Robimy swoje.

I trzeba szanować Was za konsekwencję. Zwłaszcza Spinacza. Wytrwał przy swoim pozytywnym rapie w mieście, które patrząc po doniesieniach mediów i sporej części rapu w podziemiu wydaje się groźne, charakterne i ziejące nienawiścią.

S: Coś w tej Łodzi jest... Ale to ponoć w Zielonej Górze jest największy współczynnik samobójstw. Przez całą swoją karierę może i miałem chwile zwątpienia, ale wątpienie jest normalne. W tym co i jak robię trzyma mnie miłość do muzyki i to, że nigdy mnie nie odtrąciła. W życiu przeżywałem różne sytuacje, ale była cały czas ze mną. Nie opuściła mnie, kiedy robiłem najgorsze rzeczy, o których nie chcę nawet myśleć i staram się zapomnieć. Łódź nauczyła mnie walczyć. Nie uciekania, tylko walki.

R: Ja nie miałem chwili zwątpienia. Do dzisiaj dissują mnie pseudoraperzy, ale przy opcji „Al Hub" siedzą akurat cicho. Zabrzmię może jak Noon, ale zrobiłem, co miałem zrobić.

S: Zawsze byliśmy outsiderami. Akceptował nas rynek, nie akceptował nas główny nurt w Polsce. Omijały nas wszystkie imprezy i tak dalej. Jeśli coś się komuś nie podoba, to już jest to sprawa tej osoby, nie moja.

Nawet jeśli krytykują Was za rap, to zwykle komplementują za produkcję. Nie myśleliście o duecie producenckim, takim szerzej zakrojonym Whitehouse? Wiecie, takim, który ma na płycie Brodkę, Cerekwicką i tak dalej.

R: Jak najbardziej. Gdybyśmy mieli zrobić taką płytę, byliby ludzie tego typu. Byłem przecież na pierwszej płycie Brodki. Zaprosiłbym mojego kumpla Sławka Uniatowskiego. Na razie mamy swój zespół. Produkcja na „8 Rano" będzie podpisana „Tha Gooniez". Nie chcę mówić więcej, żeby nie zapeszać. Mamy plany pojawić się w Stanach, mój ziom z Genewy skleił grupę producencką biorąc nas pod uwagę. Bywa raz na 3 miesiące w Nowym Jorku, próbuje to sprzedawać.

Dwa pytania – czy mamy w Polsce coś takiego jak mainstream, a jeśli tak, to czy czujecie się jego częścią?

S: Właściwie mnie to nie obchodzi, czy jest w Polsce miejsce na mainstream. Bardziej obchodzi mnie miejsce na dobrą muzykę, na jeszcze więcej dobrej muzyki. Jeżeli mamy coś takiego jak mainstream, to jesteśmy jego częścią. Nie mamy problemu z graniem na festiwalach i pokazywaniem dzioba. To dla nas tak naturalne, że się nad tym nie zastanawiamy. Wolę pojechać na fajny festiwal, spotkać się z otwartymi ludźmi i nawalić za cudze pieniądze wódką. Nawiązać parę fajnych kontaktów, na imprezach hip-hopowych mi się to nie zdarza. Fajnie jest też zaobserwować pewne struktury od środka.

R: Kiedy dzwoni do mnie jakaś „Marie Claire" czy inna „Twoja Pani", nie odmawiam. Chcę tylko autoryzacji. Matka mojej dziewczyny dowiadywała się o mnie głównie z gazet. „Fakt", „Super Express". Byłem dziwołągiem, ale teraz mnie zna osobiście i uwielbia. Nasz singiel jej nie rusza, sypałem już jej takie teksty. Ale to w końcu jej córka mnie wybrała.

Singiel jest zabawny, ale rymowanie o matkach to w Polsce drażliwy temat. Prawie prowokacja...

S: Nie jesteś pierwszym, który mówi, że jest to drażliwy temat. Mnie fascynują kobiety pomiędzy 35 a 45 rokiem życia. Lubię takie. W wieku 17 czy 18 lat miałem seks z taką kobietą, to było fantastyczne przeżycie. Poza tym, że tak naprawdę matki są „jot", to nie ma w tym nic drażliwego. Część ludzi, którzy będą czytać ten wywiad, na pewno odwiedzała strony porno i doskonale wie, co znaczy „MILF". To do tej części słuchaczy kierujemy ten numer.

R: Ponadto jest to tylko kontynuacja kawałka, który nagrałem z Liroyem. Przez długi czas miał w CGM-ie najwięcej ściągnięć. Z Liroyem nawijaliśmy o kąpaniu matki, ale najpierw chyba trzeba ją poznać, nie? Swoją drogą tego numeru miało nie być na płycie i uważam, że będzie odstawać. Nie pasuje do reszty.

Z tego co słyszałem, płyta wydaje się bardzo zróżnicowana. Co stanowi więc na niej esencję „redo-spinaczostwa"?

S: Jest różna, ale od strony producenckiej dbamy o spójność brzmieniową, nasze płyty są opowieścią. Nie koncept-albumami, gdzie każdy kolejny numer jest kolejną sceną, ale właśnie opowieścią. Wszystkie nasze płyty przekazują pod koniec, że dalszy ciąg nastąpi. I rzeczywiście następne są ich kontynuacją.

Czyli „9 rano" wcześniej czy później wybije?

S: A potem 10, 11... Robimy już zdaje się „Kości rzucone 7" (śmiech).

A wracając do tej esencji?

S: Wszystkie numery łączy... miłość. Nawet jeśli w tekście jestem agresywny, to jest to miłość. Nie jestem agresywny bez powodu. Miłość i totalna jazda. Wjeżdżamy do studia, pijemy wódę i robimy cokolwiek, co nam przyjdzie do głowy. A potem ktoś to wydaje. Stary, fantastyczne! Nie chcę więcej od życia. To jest piękne.

R: Mam w tym kraju tych samych przyjaciół od lat, piękną żonę, która urodziła mi piękne dziecko, robię z Pawłem piękną muzykę, imprezuję z moim ziomem Liroyem i też nie potrzebuję więcej do szczęścia.

Nie jesteśmy jedynymi artystami w Polsce, którzy jedną nogą są w hip-hopie, a drugą gdzie indziej. Gdzie? Tego nie określam, jesteśmy na tyle otwarci, że możemy robić cokolwiek

Red & Spinache

Body Count

Najlepszym źródłem wiedzy o Body Count muszą być kartoteki policyjne. Tych bowiem Ice-T i jego hardcore'owa ekipa mają na pewno całkiem sporo

tekst Sebastian Rerak

„Na podstawie wnikliwego dochodzenia udało nam się ustalić, że do grupy ekstremistycznej o kryptonimie Body Count należą agresywni kolorowi obywatele USA. Zakamuflowani jako zespół muzyczny, uprawiają swoją wywrotową działalność od roku 1990. Nagrali już cztery płyty długogrające, można więc mówić tu o recydywie".

Ice-T cieszył się już mianem ojca chrzestnego gangsta rapu, gdy ambicja kazała mu poszukać nowych środków ekspresji i spróbować sił na polu najostrzejszych odmian rock'n'rolla. Wraz z kolegą ze szkolnej ławy, gitarzystą Erniem C, który szwendał się po różnych lokalnych zespołach metalowych, powołał do życia projekt o nazwie Body Count. „Kiedy zebraliśmy się na początku, moim celem nie było zakładanie zespołu rap-rockowego, lecz zredefiniowanie hardcore'a i metalu", przekonywał Ice. „Nie chciałem grać koncertów z Kornem, chciałem grać ze Slayerem!"

„Mamy powody przypuszczać, iż Body Count ponosi współodpowiedzialność za sprowokowanie zamieszek wśród kolorowej ludności Los Angeles w roku 1992. Nienawistny utwór „Cop Killer", zachęcający do mordowania funkcjonariuszy policji, stał się przysłowiową iskrą, która wzniecila bandyckie rozruchy".

Debiutancki album czarnych hardcore'owców, zatytułowany po prostu „Body Count", ukazał się w roku 1992 i natychmiast spowodował mnóstwo kontrowersji. W Los Angeles właśnie wrzało po tym, jak proces policjantów oskarżonych o brutalne pobicie czarnoskórego Rodneya Kinga zakończył się uniewinnieniem funkcjonariuszy. Ta decyzja sądu wystarczyła, by kolorowi mieszkańcy LA wyszli na ulice. Zamieszki trwały trzy dni, było wiele ofiar śmiertelnych.

Co z tym wszystkim wspólnego miał Body Count? Otóż na płycie zespołu znalazł się utwór pod wymownym tytułem „Cop Killer". „W tym kawałku wcieliłem się w postać człowieka, który ma już dość policyjnej brutalności", wyjaśniał Ice-T (który, o ironio, zagrał wcześniej mundurowego w filmie „New Jack City"). „Nigdy nie zabiłem żadnego gliniarza. Często czuję, że mógłbym to zrobić, ale tego nie zrobiłem".

Specjalne „pozdrowienia" Ice przekazał Darylowi Gatesowi, komendantowi policji w LA, znanemu z rasistowskich wypowiedzi (Gates przekonywał m. in., że czarni są bardziej podatni na przypadkową śmierć po założeniu chwytu duszącego, bo „ich arterie nie otwierają się tak szybko, jak u normalnych ludzi"). W rezultacie „Cop Killer" został oprotestowany przez prawicowych kongresmenów i protestanckie grupy religijne, a policja wezwała do bojkotu Body Count.

„Body Count kontynuowalo niecny proceder, wydając w 1994 roku płytę długogrającą „Born Dead". Treści na niej zawarte po raz kolejny obrażały państwowość, służby publiczne oraz tradycyjne wartości, na których zbudowano nasz Kraj Wolności".

„Myślałem, że w świecie rock'n'rolla można pisać o czymkolwiek się chce", ubolewał Ice-T, któremu sojusznika udało się znaleźć jedynie w osobie Jello Biafry, ex-wokalisty legendarnej grupy Dead Kennedys. Biafra poświęcił nagonce na rapera specjalną przemowę, którą wygłosił w nagranym na tę okoliczność utworze – nowej wersji „Freedom of Speech" Ice'a (kawałek trafił na kolejne wydanie „Body Count" w miejsce „Cop Killer").

Wszystkie problemy nie powstrzymały jednak BC od nagrania kolejnej płyty, „Born Dead" (1994). Krążek – zadedykowany przedstawicielom wszystkich grup etnicznych, których biała anglosaska większość chciałaby widzieć martwymi – nie odniósł wprawdzie takiego sukcesu jak poprzednik, ale lirycznym ciężarem nie ustępował mu ani na miligram. Nowe kawałki naładowane były wściekłością wobec rasizmu, korupcji i agresywnej polityki USA.

„Na szczęście dla porządku publicznego, w latach 1996-2005 nastąpilo zastopowanie aktywności Body Count. Rezolutna młodzież nie chciała już kupować plugawych płyt tej szajki, a sami jej członkowie udowodnili swój nihilistyczny stosunek do życia, pogrążając się w autodestrukcji".

Druga połowa lat 90. to nienajlepszy czas dla Body Count. Wizerunek zaangażowanych społecznie, ale też skrajnie nihilistycznych radykałów, zdawały się potwierdzać tragiczne zgony trzech członków zespołu. Na przestrzeni dziewięciu lat z życiem rozstali się bowiem perkusista Beatmaster V, basista Mooseman i gitarzysta D-Roc. Jedynie Mooseman nie zmarł z naturalnych powodów, zabity w strzelaninie (Beatmaster zmarł na białaczkę, a D-Roc z powodu chłoniaka skóry), ale przeciwnicy zespołu i tak dostali pretekst do wietrzenia sensacji.

Body Count wyraźnie osłabł. Wydał jeszcze niezbyt porywający album „Violent Demise: The Last Days" (1997) i zapadł na kilka lat w stan letargu.

„Ku naszemu zdziwieniu i oburzeniu odnotowaliśmy właśnie kolejny złowieszczy atak ze strony Body Count. Grupa wydała płytę „Murder 4 Hire" i znów bezczelnie łży wartości drogie sercu każdego Amerykanina. Na wieść o premierze albumu prezydent Bush udławił się obwarzankiem, zaś sekretarz Rumsfeld wydał rozkaz o treści: „Nie ważne jak, ale macie zrobić tym czarnuchom koło dupy".

Niespodziewanie, Body Count powrócił z niebytu w nowym tysiącleciu. Ice-T i Ernie-C, wsparci przez nowych ludzi: perkusistę OT, gitarzystę Bendriksa i basistę Vincenta Price'a, podpisali kontrakt z niezależną wytwórnią Escapi i zrealizowali dla niej premierową płytę „Murder 4 Hire", kolejną opowieść o mrokach życia pod gwieździstym sztandarem, przesyconą brutalnym sarkazmem i czystym destylatem autentycznego wkurwienia.

„Zrobili wszystko, co mogli, aby nas udupić, ale jak każdego porządnego potwora, to tylko nas wzmocniło", zapewnia Ice. W kawałku „The End Game" z nowego krążka pyta zaś retorycznie, czy prawdziwym gangsterem jest on, czy też człowiek, który rozkazuje zrzucać bomby na głowy mieszkańców obcych krajów. Mocno powiedziane, ale tutaj nikt nie zamierza owijać prawdy w bawełnę.

Jednocześnie lider BC nie ma wątpliwości co do jednego: „Nie sądzę, aby nasze płyty były bardziej kontrowersyjne niż krążki jakiejkolwiek innej grupy rockowej. My po prostu jesteśmy czarni".

TALIB KWELI

WIARA W HIP-HOP

Zaangażowany społecznie i politycznie mc z nowojorskiego Flatbush, członek legendarnych formacji Blackstar i Reflection Eternal oraz kolektywu Native Tongue Posse specjalnie dla czytelników „Ślizgu" opowiedział o nowej płycie, starych przyjaźniach, współpracy z Madlibem i kilku innych rzeczach

tekst Med

Zacznijmy od tego, co z Blackstarem. Słyszałem, że razem z Mos Defem myśleliście o reaktywacji projektu i nowej płycie. Jak układają się Wasze relacje?

Ciężko mówić o reaktywacji, bo Blackstar cały czas istnieje. Wiesz, może być tak, że z Mosem nagramy jeszcze kilka płyt, a może być tak, że nie nagramy już żadnej, ale i tak nie zmieni to faktu, że Blackstar wciąż jest. To coś więcej niż zespół. Blackstar istniał, istnieje i zapewniam wszystkich fanów, że będzie istniał. A jeśli chodzi o nasze relacje, to jesteśmy z Mosem bliskimi przyjaciółmi.

A co z Reflection Eternal? Na nowy album Hi-Tek wyprodukuje kilka bitów. Czy to znaczy, że „Eardrum" niejako zastąpi drugi album RE?

Ja bardzo chciałbym zrobić jakiś album z Tekiem, ale cóż... Jesteśmy dorosłymi ludźmi, on ma swoje obowiązki, podobnie jak ja. Nasza współpraca na pewno nie skończy się na kawałkach z „Eardrum", ale nie chcę mówić nic bez Hi-Teka.

Na nowym albumie jest dwójka gości, których raczej się nie spodziewałem. Mam na myśli Madliba i Norę Jones. Powiedz nam coś o tym, jak poznałeś te osoby i jak przebiegła współpraca.

(śmiech) Kolejny raz spotykam się z opinią, że to niespodziewani goście, nie mam pojęcia dlaczego. Z Madlibem znamy się już dosyć długo, zresztą mieliśmy już okazję współpracować ze sobą, chociażby przy okazji kawałka „Raw Shit" na albumie Jayliba czy przy „Beautiful Mix". Co do Nory Jones, to przecież ona jest z Brooklynu! Mieszka całkiem niedaleko mnie. Znamy się od dawna i stwierdziłem, że pora coś razem nagrać. Ona się zgodziła i tyle.

Możesz ustosunkować się do dość powszechnej krytyki Twojego ostatniego albumu „Beautiful Struggle"? Słyszałem na przykład opinię, że tym albumem odsunąłeś się od swoich pierwszych klasycznych płyt w kierunku mainstreamu.

To dla mnie jakieś nieporozumienie. Wszystkim osobom głoszącym takie opinie chcę powiedzieć, że dla mnie niemożliwe jest zapomnieć o którymś z moich albumów. Jaram się wszystkimi płytami, które wydałem, i nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. „Beautiful Struggle" to świetny album, który przetrwał próbę czasu i myślę, że wielu z tych, którzy twierdzą, że jest beznadziejny, po prostu nie dorosło do tego, żeby go docenić.

A nowy krążek? Jest bliższy „Quality" czy właśnie „Beautiful Struggle"? Słyszałem pierwszy singiel „Listen" i muszę przyznać, że to naprawdę mistrzowski kawałek.

Album jest już praktycznie skończony i mogę ci powiedzieć, że jest zupełnie inny. Nie tylko singiel będzie gorący, obiecuję (śmiech).

Będziesz promował nową płytę w Europie? Może wreszcie zajrzysz do Polski?

Jasne, że odwiedzę Europę. Zawsze to robię po nowym albumie. Tam są najgorętsze koncerty, nie mogę się doczekać. Co do wizyty w Polsce, wpadnę, jak mnie wreszcie zaprosicie (śmiech).

Polska gościnność jest słynna na całym świecie! A poważnie... Jak ma się sprawa z teledyskami? Widziałem zdjęcia z planu klipu do „Listen", wygląda to obiecująco...

Tak, pracujemy nad kilkoma teledyskami naraz. To ciężka praca, ale mam nadzieję, że się opłaci, bo teledyski będą na najwyższym poziomie.

Ostatnio wypuściłeś mixtape „Right About Now" i zaprosiłeś tam kilka nowych twarzy, jak chociażby Papoose'a czy Fyre-dept. Czy próbujesz w ten sposób promować talenty? Oni naprawdę mogą w przyszłości sporo namieszać...

Właśnie. Powiem ci szczerze, że jak patrzę na takich rookies, to wraca mi wiara w prawdziwy hip-hop. Jestem naprawdę zajarany twórczością tych chłopaków i jeśli mogłem im w jakiś sposób pomóc, to bardzo się cieszę. Moja płyta też na tym zyskała, więc korzyści są obustronne.

Jeśli jesteśmy już przy talentach. Co myślisz o reaktywacji Rawkus Records? Pojawiłeś się w kawałku „Miss January" The Procussions, którzy jako pierwszy zespół po przerwie wydali tam płytę.

Życzę tej wytwórni jak najlepiej, w końcu sporo jej zawdzięczam. Nowa płyta Procussions to bardzo dobry prognostyk na przyszłość. Sam będę z ciekawością obserwował, jak nowy Rawkus się rozwinie.

Talib Kweli Greene przyszedł na świat w brooklyńskiej rodzinie wykładowców uniwersyteckich. Około roku 1997 poznał w Cincinatti DJ'a Hi-Teka, świetnego producenta, z którym założył duet Reflection Eternal. Rok później z innym brooklyńskim mc, Mos Defem, zaczęli pracę na wspólnym albumem, a grupę ochrzcili jako Blackstar. Wydana w Rawkus Records płyta stała się klasykiem. Po roku 1998 ich muzyczne drogi się rozeszły. Kweli najpierw wypuścił z Hi-Tekiem pierwszy longplay Reflection Eternal „Train Of Thought" (2000), a potem dwie solówki – „Quality" (2002) oraz „Beautiful Struggle" (2004). Pierwsza z nich to album rewelacyjny, chociaż wyprodukowali go w dużej mierze znani mainstreamowi producenci (Kanye West, DJ Scratch, DJ Quik), druga natomiast nie miała klasy poprzedniczki i stała się tylko dobrym albumem z kilkoma perełkami. Po niedawnym wypuszczeniu świetnego mixtape'u „Right About Now" Talib szykuje się do premiery nowego albumu „Eardrum" promowanego przez singiel „Listen".

Zasłynął jako lider legendy polskiego reggae, Daabu. Był współzałożycielem formacji Szwagierkolaska. Grał w T. Love Alternativ. Poza graniem i śpiewaniem w różnych kapelach zajmuje się też produkcją muzyczną. Mimo pewnych trudności, wywiad się odbył. Jego efekt poniżej

ANDRZEJ ZEŃCZEWSKI DAAB

ROCK POLSKA

tekst i foto Zdzisław Nieszczególny

Ciężko było ustawić się z Tobą na ten wywiad. Wiadomo, zapierdol. Powiedz, co dzisiaj robiłeś?

Tak już jest z tym czasem – mix życia prywatnego i zawodowego, można powiedzieć. Jest cicho, cicho, chciałbyś otrzymać telefon od przyjaciela, a tu nagle dostajesz dziesięć telefonów z pytaniami o koncerty, no i załatwiasz temat. Oprócz grania i śpiewania w zespole Daab, zajmuję się również organizacją projektu Szwagierkolaska, który założyliśmy z Muńkiem. Zadzwoniłeś w taki dzień, kiedy trzeba było natychmiast – bo tak jest w tym sporcie muzycznym – połączyć osoby, terminy koncertów w październiku i to było dzisiaj clue programu. Moje życie kręci się wokół muzyki, a ona ma różne wymiary. Wiesz, po to, żeby powstał utwór, oprócz weny, pomysłu, klimatu, talentu lub braku talentu, musisz mieć przykładowo jeszcze studio i prąd. No i przyjechać w miarę na czas. Także wiesz, to jest taki mix luzu i konkretnej spiny, której często nie mają nawet ludzie w biurach. Ale niezależność od stałego miejsca zatrudnienia „to jest coś, co lubię".

Jeżeli chodzi o Daab – jak udaje się Wam na koncertach mieszać starsze rzeczy z nowymi?

Kapela ma szeroki repertuar. Czasem, kiedy na koncercie pojawia się numer nie grany przez nas od 5 lat, to i tak ktoś może powiedzieć, że go zna. A na dodatek ludzie po koncercie przychodzą i kręcą nosem, że tego czy tamtego nie zagraliśmy, tak jakby to był koncert życzeń. Nowości są ważne w sklepie – i promocje (śmiech). A tak na serio – najważniejsze dla mnie jest granie na tym samym poziomie energii, przekazu. Wiadomo, przez lata zdarza się różnie, ale gdybym był obok tekstu, obok muzy, to czułbym się nieswojo, jak ściemniacz. Powstaje pytanie, dlaczego to się tyle lat trzyma, dlaczego numery się nie starzeją. Niedawno rozmawiałem z pewnym popularnym ostatnio twórcą, który miesza hip-hop i ragga. Powiedział: „Słuchaj, ja to napieprzam te numery, a potem wyrzucam 90 procent". U nas jest inaczej – jeżeli jakiś tekst wychodził ode mnie, to już go potem nie zmieniałem, najwyżej detale. Wiadomo, że z pięćdziesięciu kawałków jeden czy drugi mógł się mniej udać, ale generalnie, jeżeli coś tworzymy, to na lata.

Jak godzicie w zespole tak różne osobowości, a na koncertach tak różnych odbiorców?

Wiesz, tak jak przez lata to było, działamy akurat w tym samym zestawie osobowym. Kiedyś, hen hen, dawno temu powstał utwór „Przed nami wielka przestrzeń", pierwszy singiel w radio pod nazwą Daab. Napisałem tekst, muzykę, ale w sumie ogrywaliśmy to wspólnie. Wiadomo, są w każdej kapeli ludzie tworzący więcej, ale nigdy nie chodziło o to, kto się wysuwa naprzód. Co do publiczności zaś – wiesz, z jednej strony słuchają nas kolesie z hip-hopu, a z drugiej również klerycy, 40-, 50-latkowie i malolaci. I to bez żadnych naszych „ataków na target". Kiedyś graliśmy na zapleczu klasztoru w Krakowie. Tam 400 totalnie czystych, trzeźwych dzieciaków śpiewało nasze teksty – kapitalny odbiór i zabawa. Rzadko nam się zdarza grać dla takiej publiki, bo takie ruchy wokółreligijne to często miejsce indoktrynowania. Tutaj tego nie było. Jest coś fajnego w naszej idei, skoro trafia, jest otwarta i przyjmowana przez bardzo różniących się ludzi.

OK, teraz konkretnie. Kiedy pojawi się nowy materiał i czego można się po nim spodziewać?

Na pewno na nowej płycie ukażą się jakieś świeże klimaty, ale nie będzie też gonitwy za modą. W warstwie demo jest już gotowa spora część płyty (bity, lejtmotywy, riffy, refreny). Na pewno sam napiszę większość tekstów. Może odezwę się do kumpli, którzy kiedyś coś pisali dla Daabu. Ale nie ma takiej sytuacji jak tekściarze z zewnątrz. Jeszcze z innej strony jest tak, że teksty muszą przejść przez mentalne sito i jeżeli jakiś tekst uznałbym za swój, to czemu nie? Choć oczywiście podstawową zasadą jest pisać samemu.

Muzyka reggae jest uduchowiona, mówi o miłości, więc w prostej linii idzie do Boga. Przecież Bóg jest miłością. A cudem są jej piękne dźwięki i szlachetny przekaz. Zgadzasz się?

Wiesz, trochę się to zmieniło. Odkąd przyszło do nas ragga, dancehall itd., stało się to troszkę bardziej skomplikowane. Podsumowując na szybko – ma klimaty dalekie od rasta. To chuliganka w prostej linii pochodząca od rude boys. Patrzenie od dołu jest bardzo dobre, ale można się zagubić na drodze przemocy. Wiesz, jest taki refren na nową płytę: „Człowieku, kochaj siebie, nikomu niepotrzebny jest twój strach / im mocniej stoisz tu na ziemi – jesteś w niebie". Dla mnie jest to podsumowanie. I nie jest to mistycyzm, który ucieka od rzeczywistości. Jest osiągalny dla każdego. A co do nowych elementów, to mam pomysł, aby tych młodych raggamuffinowców zaprosić na płytę.

Nie uważasz, że młode zespoły reggae i ragga, podobnie jak składy hip-hopowe, utknęły w martwym punkcie, jeżeli chodzi o teksty? Jak młoda kapela ma singiel, to już wiadomo – Babilon, jointy.

Przemilczę to i powiem o pozytywach. Mam nadzieję, że uda się im wyjść poza stereotypy, bo naprawdę można zajechać pewne teksty, symbole. W pewnym momencie ten powielany stereotyp staje się kalką, gadżetem. Każdy wartościowy przekaz musi być indywidualny. A taka mantra podparta czasem niezbyt głęboką wiarą, będąca tylko modą, jest dla mnie „deczko" smutna. Czasem taki słowny uniform wynika z braku materiału słownego, a z nadmiaru innego... Dlatego nigdy nie nazywaliśmy się kapelą roots, nie podczepialiśmy na siłę, chociaż być może byliśmy bardziej roots niż parę kapel, które przerobiły ten słowny mistycyzm na popową miazgę. Ale żeby było jasne – nie ma tu żadnej pretensji, zawiści. Każdy ma swoją drogę.

Czy uważasz, że polski hip-hop został sprowadzony do rangi plastikowej mody, czy odnajdujesz w nim nadal prawdziwy przekaz?

Z jednej strony, mało ostatnio słucham, ale przypadkowo udało mi się usłyszeć, co to jest Kanał Audytywny albo solowy projekt Luca z tego składu. To jest ciekawe, momentami kompletny halucynogenny dźwiękowy odjazd – mix stylów, ale z ulicznym kopem. Poza tym, słucham polskiego hip-hopu ze względu na przekaz, a amerykański, francuski itd. interesuje mnie od strony muzycznej. Ciekawym doświadczeniem było dla mnie przerobienie utworu Zipery w programie „Muzyka łączy pokolenia". Zastanawiałem się, jak oni to nadają, jak powtórzyć daną frazę. Próbowałem nagrać to tak, żeby nie wyszło takie na siłę hip-hopowanie i żeby zachować swój charakter. Ciekawa sprawa. Słyszałem utwory Korasa albo Pono i to był szok. Jak to ugryźć?!

A kiedy po raz pierwszy zetknąłeś się z hip-hopem?

Spotkanie z hip-hopem miałem już w latach 80. Jest taka poważna postać w reggae, Linton Kwesi Johnson, który nigdy nie śpiewał, tylko zawsze nawijał jak hip-hopowy MC, z tym że do podkładu reggae. Koleś mocno nawijający o polityce, o sprawach socjalnych, dostał nawet tytuł Honoris Causa za swoje zaangażowanie w tym temacie. Kiedyś w Danii przypadkowo spotkaliśmy się na jakimś koncercie. Gostek zawołał nas i powiedział, że gramy lepiej niż pieprzone UB40. Usłyszenie tego z ust faceta uważającego, że większość rzeczy biali ukradli czarnym, to było niezłe zaskoczenie.

Powiedz, Andrzej, jaka nowina ze świata przyciągnęła Twoją uwagę? Może rozmawiałeś o czymś takim ze znajomymi ostatnio?

Problem jest jasny i konkretny, i powiem ci, że nie jest on dla mnie dziwny i obcy, bo ja nie raz na demonstracji dostałem brechą po plecach. Polityka to syf, ale nie wolno się od niej odcinać. Jeżeli nie zabierzesz głosu, to ktoś inny go za ciebie zabierze. Załatwi cię po prostu. Wiesz, dawna „nibykomuna" podzieliła między sobą banki i fabryki, ale wygląda na to, że jest jeszcze jakaś inna siła. Wczoraj słyszałem przemówienie Kaczora. Rany, on ma flow jak kolesie z partii z lat 70., wygłaszający przemówienia o „sukcesach" PRL-u. Z jednej strony wiem, że czasem ma rację, a z drugiej strony – ma jakąś manię. W polskiej polityce robi się trochę tak, że albo ta policja, albo inna policja, rozumiesz. Mam na myśli tak zwaną chęć przemocy w świetle prawa. Nie mówię o laniu pałką. Raczej o koncepcji narzucenia – czy to ideologii, czy wpieprzania się w prywatne życie ludzi. Ale też nie tragizujmy, bo jeżeli ktoś mi powie, że się nic nie zmieniło, to znaczy tylko, że nie żył w tamtych latach. A mi się to udało i mam porównanie.

Jak postrzegasz zjawisko buntu wśród ludzi? Uważasz, że powinniśmy w tekstach poruszać tematy niewygodne, czy raczej przyjmować świat, jakim jest, i śpiewać piosenki „slalala"? Jakie jest Twoje zdanie na ten temat, która postawa jest Ci bliższa?

Słuchaj, to jest kolejny mega temat zasługujący chyba na oddzielne spotkanie. Bunt był u źródeł naszego grania tekstów, więc ktoś, kto łyka rzeczywistość jak karpik plankton, przegrywa siebie, swój czas itd. Dookoła są sprawy gospodarcze, społeczne, polityczne, które dotykają ludzi w sposób bezpośredni. Już mówiliśmy – jeżeli jesteś bierny, to cię załatwią. Pierwszy z brzegu przykład: minister edukacji, który momentami ma kompletny odjazd. Nie wiem, o co chodzi. Albo wiem, ale nie powiem (śmiech).

DINAL
TO JEST TEN JOINT

Nie wiadomo do końca, ilu raperów jest w składzie. Ludzie tylko udają, że rozumieją to poczucie humoru. Ale już dawno żaden rap tak nie płynął i tak dobrze nie oddawał zajawki początków hip-hopu w Polsce. Mało znani weterani z opolskiego Dinala właśnie wjeżdżają z nową płytą. Poczytajcie, zanim posłuchacie

pytał Flint
foto Cess

Sami przyznajecie, że nagraliście materiał nostalgiczny, nawiązujący do starego polskiego hip-hopu. Co w nim jest takiego fajnego, że warto do tego nawiązywać?

Wankz: Chodzi o to, że byliśmy młodzi. O sentyment związany z naszymi historiami życiowymi, biografiami. Było też bardziej świeżo. I bardziej szczerze. Ostatnio słuchaliśmy dużo Wzgórza, „Jebani wąchacze", „Agro styl" – to były pomysły bez kalkulacji, zajawka, dzięki której brałeś kartkę i pisałeś kawałek. Teraz mamy zalew hip-hopu i kolejni hip-hopowcy są kopiami kolejnych hip-hopowców. Wiadomo, że hip-hop polega na powtarzaniu się, ale to się zbytnio skomasowało i robi się z tego papka. Średniawa. A wtedy kupowałeś każdą kasetę i czekałeś na kolejną jak na „Nastukafszy". Hip-hop przynajmniej starał się być ciekawy.

Urb: Był chujowy, ale i tak fajny. Przynajmniej do niego wracam.

Pytam, bo Wasz stosunek do rodzimego rapu jest jednak niejasny. Skoro Wankz rymuje, że „kocha polski hip-hop, ale się z nim nie pieprzy", to już sam nie wiem, co myśleć.

Wankz: Musisz pamiętać, że przede wszystkim piszę teksty, bo się rymują (śmiech). A odpowiadając na pytanie powiem, że może jestem trochę snobem, ale polskiego hip-hopu prawie nie słucham. Nie kojarzę polowy ksywek na legalu i nielegalu.

Urb: Ja też nie kumam, co się dzieje, ale podobają mi się te nowe „uliczne" rzeczy. Ma to ręce i nogi, hula ten rap w telewizji i można nawet przy tym zmywać naczynia.

Wankz: A my nie uczestniczymy w scenie hip-hopowej, nie jesteśmy artystami mainstreamowymi. Dostajemy SMS-y i maile od fanów, pytania o teksty, sprzedaliśmy cały nakład poprzedniej płyty, całe 200 sztuk, ale to jest wciąż niszowe.

Urb: Podwójne drewno.

No tak Wankz, macie fanów, ale sporo osób, zwłaszcza w undegroundowym światku, uważa Cię za osobę zadufaną i skrajnie nieżyczliwą...

Wankz: Ignoruję raperów, którzy piszą, że chcieliby coś nagrać, coś tam. Zawsze chcę usłyszeć ich kawałki i prawie nigdy mi się nie podobają. Pamiętam, że kiedy Zkibwoy podklepał mi swoją demówkę, powiedziałem, że to jakieś gówno i żeby skończył z rapem. Teraz jest jednym z moich ulubionych polskich raperów i mimo że nie chciałbym rapować jak on, to przyznaję, że robi to fajnie. Jimson też wysłał demówkę i też dałem mu znać, by dał sobie spokój. Do dzisiaj nie podoba mi się, jak to robi, ale ludzie to lubią. Nie chcę nikogo okłamywać, mówię to, co myślę, jestem zadufany w sobie, ale nie niemiły, choć nieżyczliwy w sumie jestem. Życzę śmierci i zła.

Odnośnie tego, co ludzie lubią – jak to jest u Was z tą zawiścią. Bo niby jej nie ma, ale chcielibyście być na miejscu ikon sceny, prawda?

Urb: Jak ja bym chciał wydawać w RRX'ie w latach 90., to daj spokój. To jest zawiść. Chcielibyśmy być na miejscu ludzi, którzy się ustawili. Ale z taką muzyką? Ile my poznaliśmy ludzi, którzy powydawali płyty, zanim myśmy coś zrobili... DJ M-Easy robił nam cuty do kawałka w 2001 na przykład...

Ja akurat zazdroszczę Wam tego, że wśród miliona zespołów, które deklarują, że nie robią tego dla hajsu i poklasku, Wam łatwo uwierzyć. Poza jednym numerem, jest w tym wszystkim satysfakcja i pogoda ducha.

Urb: Nagrywając, jaraliśmy się jak dzieciaki.

Wankz: Rap to jest zabawa. Ostatnio kapnąłem się, że bawimy się już w niego dziesięć lat prawie. To zajawka: piszę teksty, klaszczę w dłonie. To mega hobby. Zainteresowanie pozalekcyjne.

Urb: Ja bym chciał za to dostawać pieniądze i nie obiecywać, że się nie zmienię.

A pobyt w Stanach zmienił jakoś Twój warsztat producencki?

Urb: Dostałem ostatnio trzy wypłaty, kupiłem MPC i robię beaty na emigracji. Rozkminiam też stacje muzyczne, rytm i te rzeczy. Wszystko u mnie jest w rytmie. W Polsce za bardzo stawia się na instrumenty, kiedy bębny nie bujają. Ale za to można powiedzieć: „Patrz, ile ścieżek napierdala. Ile warstw przypierdoliłem, jaki ładny instrumental". Wiesz, sam czasem uprawiam taką producencką masturbację, ale nie dają tego na kawałki z rapem. Może być jeden sampel, ale niech będzie zajebisty rytm i niech koleś na tym zajebiście leci, bo chodzi o rapera, a nie żeby beat go przytłaczał.

Czy studiując nie mieliście wrażenia, że stajecie się takimi studentami, z jakich się śmiejecie?

Wankz: Byłem na to mega-wyczulony. Nigdy nie byłem na studenckiej imprezie. Ten etos akademicki żaka... Nie ma nic gorszego. Nie jestem uprzedzony, nie jestem homofobem, ale tej studenckiej subkultury po prostu nienawidzę. Dlatego nie znoszę Krakowa na przykład.

Urb: Dobrze, że wszystkim od razu o tym powiedziałeś (śmiech). Dla przeciwwagi opcji „indeks" mają tam za to Nową Hutę. Kocham, pozdrawiam, macie zniżki na koszulki Dinal.

Wankz: Wiesz, studia to okres wyrwania się z domu rodzinnego, narkotyków, alkoholu, bohemy. Jak sobie przypomnę tych ludzi, chce mi się rzygać. Dobrze o tym wiedzą, bo na pierwszym roku próbowali podawać mi rękę, a ja po chamsku nie dawałem swojej. Nikogo w ten sposób nie dyskryminuję, ale na nich jestem uczulony.

Urb: Studenci? Pamiętam, jak szło sobie dwóch moich kolegów, podjechał samochód, otworzyło się okno i dobiegł z niego wrzask: „Studenci! Nienawidzę was!". Wszystko się do tego sprowadza.

Normalnie nie zadaję tak beznadziejnych pytań, zwłaszcza pod koniec wywiadu, ale ta sprawa jest niejasna. Ilu raperów jest w Dinalu?

Wankz: Zespół Dinal tworzy Mejdej, czyli Czesław Niemejm, utalentowany producent i świetny raper, mógłby nas wygryźć i spokojnie samemu robić Dinal na tym poziomie. Następnym raperem w Dinalu jest Karol. On nie rapuje, ale nawinął dwie zwrotki. Jak na kolesia, który nie rapuje, bardzo fajne... To dużo inspiracji, bujania się razem. W Dinalu jest też Urbek i Pan Wankz. Urbek niewyraźnie mówi, dlatego nie może rapować. A przede wszystkim boi się to robić. Jest nieopierzonym mc w fazie rozwoju. Po piwku wjeżdża na kozaku, ale ogólnie jest nieśmiały. Poza tym, nie pisze tekstów. A jak już pisze, to niezrozumiale. Nie ma porozumienia z innymi ludźmi i dlatego w jego tekstach nie ma intersubiektywności. Za to Mejdej, trzeba to podkreślić, to najlepiej rapujący producent w Polsce.

Urb: Spierdalaj! Dzisiaj ustawiam się z nim na bitwę...

DJ Shadow i Cut Chemist to dwie ikony instrumentalnego hip-hopu. Są niemal rówieśnikami, wychowywali się na podobnych płytach, często zdarzało im się grać na jednej imprezie, chętnie też razem przygotowywali sety. Obaj są marzycielami i wizjonerami, obaj zdają się też być niepoprawnymi idealistami. Niedawno ukazały się ich solowe płyty

DJ SHADOW & CUT CHEMIST

tekst Dominika Cess

Kolekcjoner

„Chemik", czyli Luke MacFadden, był wielkim fanem Gwiezdnych Wojen. Kiedy znudził się już powtórkami filmu, zamykał oczy i pozwalał oddziaływać na siebie muzyce Johna Williamsa. Wtedy dźwięki podsuwały mu obrazy. Dziś uważa, że to na podstawie jego własnych kompozycji można by kręcić filmy. Ale o tym później. Dzieło Lucasa obudziło w nim również pasję kolekcjonerską, więc gdy w wieku 11 lat dostał gramofon, szybko wzbogacił się o zbiorek winyli z przebojami. Przyznaje z uśmiechem, że gdy tylko coś usłyszał w radiu, musiał zaraz mieć ten utwór na płycie. Najpierw kupował składanki, potem dorósł do nabywania albumów danego wykonawcy. Zawsze pierwsza edycja. Dopiero od niedawna Chemist nie jest w tym względzie purystą i kupuje sobie reedycje, choćby po to, by nie wozić najcenniejszych okazów po całym świecie...

A zajawka zaczęła się na dobre, gdy słuchając lokalnej rozgłośni KDAY Luke natrafił na audycję Aladdina i Joe Cooleya, typów należących do ścisłej czołówki DJ'ów zachodniego wybrzeża. Działo się to w latach 80., kiedy klipy z turntablistami były rzadkością, każdy więc kombinował po swojemu i wyłapywał patenty „na słuch".

Kiedy Cut poznał Charliego, zajaranego rapem chłopaka o niskim głosie, postanowili razem coś zrobić i tak powstała Unity Comitee. Rok 1993 na zawsze zapisze się w pamięci MacFaddena jako przełomowy dla dalszej kariery. Wówczas ukazał się singiel jego zespołu zatytułowany „Unified Rebelution", a na stronie B znalazł się solowy popis umiejętności młodego producenta i DJ'a, Lesson 4, czyli kontynuacja legendarnych Lekcji Double D i Steinskiego. Utwór ze strony A zwiastował wielkie zjednoczenie z Rebels of Rhytm (co zresztą sugeruje sama jego nazwa) i powstanie Jurassic 5. Czy muszę zatem dodawać, że tym poznanym przez Chemista chłopakiem był Chali2na? Cała szóstka nagrała wspólnie epkę, na której obok wielu podkładów i skreczy znalazła się kolejna solowa Lekcja, tym razem z numerem 6.

Mijały lata, a Luke nie skupiał się tylko na J5. Owszem, nagrał z nimi dwa longplaye, ale w międzyczasie występował z innymi popularnymi DJ'ami. Jego kolaboracja z Shortkutem podczas Future Primitive Soundsession w 1997 roku została uwieczniona na albumie o tym samym tytule. W swoim muzycznym CV ma także wpisane dwie płyty z Shadowem – pamiątki ze wspólnych setów, „Freeze" i „Product Placement".

Z czasem MacFadden zrozumiał, że czas zająć się sobą. Najpierw zasygnalizował tę kwestię mixtape'em „Litmus Test", potem oficjalnie opuścił „jurajską piątkę", ogłaszając to w „Billboardzie". Wydając zaś solowy album „The Audience's Listening" wkroczył w nowy etap swojego rozwoju.

Płyta jest odzwierciedleniem preferencji muzycznych Luke'a, które oscylują wokół czarnej muzyki z lat 60. i muzyki latynoskiej (o zapędach w tym kierunku świadczyć może współudział w tworzeniu pierwszej płyty Ozomatli). Spójna i harmonijna, przyprawiona odpowiednią dozą turntablistycznych ewolucji może wydać się zaprzeczeniem nowej płyty Shadowa, a jeśli już o nim mowa...

Pożyczalski

„Cień", czyli Josh Davies, jest miłym chłopakiem z mikropolii. Nie fascynowały go Gwiezdne Wojny, więc nie wpoiły mu pasji kolekcjonerskiej. Raczej pożyczał. Sam przyznaje, że wszystko co ma, jest od kogoś pożyczone. Oczywiście nikt chyba nie interpretuje jego słów dosłownie. Shadow jest bystrym obserwatorem, kiedy więc podpatrywał starszych kolegów przy pracy, w mig wyłapywał, o co chodzi. To samo działo się, gdy odsłuchiwał tysiące kolejnych płyt.

Na początku lat 90. prowadził w radiu KDVS autorską audycję, w której promował eksperymenty swoich kolegów z kolektywu Solesides. Normą było wówczas to, że produkował utwory Blackalicious, Lyrics Borna czy Lateefa. Jednak to James Lavelle, założyciel Mo Waxu, sprawił, że o Joshu zrobiło się głośno na całym świecie. Najpierw namówił go do współpracy w ramach projektu UNKLE, potem zaś w 1996 r. wydał debiutancką solówkę DJ'a Shadowa „Endtroducing". Jej nazwę wyjaśnia sam twórca – to zarazem wprowadzenie na scenę („entroducing"), jak i podsumowanie 4-letniego okresu nagrywania albumu („end").

Ważniejsze, że płyta okazała się przełomowa i nowatorska, a Daviesa ochrzczono mianem „ojca trip-hopu", choć on sam nieszczególnie przejmuje się swoją ojcowską rolą. Mimo że następna solówka „Private Press" z perspektywy czasu wydaje się bardzo udana, to gdy się ukazała, media były skonsternowane faktem, że nie wstrząsnęła światkiem muzycznym. Jak widać, 6 lat czekania rozbudziło wilczy apetyt. Gdy po kolejnych 4 latach ukazał się „Outsider", fani przeżyli kolejne zaskoczenie. A Josh ma po prostu inny pomysł na każdy krążek.

Pracując nad debiutem, nie rozstawał się ze swoim MPC, kiedy sklejał kolejne części „Prywatnej Prasy" wzbogacił swoje studio o kolejne gadżety. Teraz poszedł o krok dalej. Zamiast szukać godzinami idealnego sampla, zgrywa ten, który zdaje się jego namiastką, a następnie zwołuje grupę muzyków, która gra ten sampel po odpowiednich modyfikacjach i wskazówkach (efektem takiej pracy jest utwór „You Made It").

Muzycznie Shadow totalnie odleciał. Wymieszał na albumie wszystko, na co tylko miał ochotę – tradycyjny west coast z odrobiną tego, co można dziś usłyszeć na Południu, trochę cięższych brzmień gitarowych, na koniec serwując ucieczkę w stronę UNKL-owych klimatów. Jest legendarny E-40 i jego kuzyn Turf Talk, jest David Banner, Q-Tip i stary kumpel z Quannum, Lateef. Jest Phonte z Little Brothera, a na dodatek są kolesie z brytyjskiego zespołu indie-rockowego Kasabian. Wszystko to zarazem pozostało bardzo bliskie sprecyzowanej przez Bambaatę idei, która ukształtowała obu bohaterów artykułu: hip-hop ma łączyć wszystko co najlepsze w muzyce z całego świata, jednocząc przy tym ludzi.

PRZECENIENI VS. NIEDOCENIENI

J ZONE

Wyobraźcie sobie kolesia wskakującego na scenę w wytartym futrze z drugiej ręki, z pończochą na głowie i tanim, pozłacanym łańcuchem na szyi. Typa, który rapuje o swoim pałacu alfonsa, gdy w rzeczywistości dzieli mieszkanie ze swoją babcią. Pacjenta, co otwarcie przyzna, że nie jest przystojny, ale wciąż zalicza laski. Wariata z Queens chwalącego się ewą ledwo jadącą furą (nie myślcie o Łonie, Szczecin to nie Nowy Jork)...

tekst Hadero

Gdy posłuchamy nagrań J Zone'a albo przynajmniej przeczytamy materiały prasowe, pojawi się zasadnicze pytanie: czy to parodia gangsta rapu? Z pozoru tak to wygląda. Raper w kółko rymuje o dziwkach, zgrywa twardziela i alfonsa, bez przerwy gada o kasie, wożeniu się, obraża wszystkich dookoła, pokazując środkowy palec całemu światu. To musi być pastisz. W końcu jaki gangster wrzuca na cover swego debiutu („Music For Tu Madre", 1999) zdjęcie własnej babci w towarzystwie wielkiej butelki koniaku? Patrząc na okładkę płyty Bo$$ Hog Barbarians (J Zone + Celph Titled) utwierdzamy się tylko w tym przekonaniu. Wiadomo, że to nie ich willa, samochody na pewno są pożyczone, drinki udawane przez soki, a karabiny kupiono w sklepie z zabawkami. Tytuł innego krążka „Sick Of Being Rich" to oczywisty sarkazm – wiemy dobrze, że J Zone ledwo wyrabia z płaceniem czynszu i umawia się na randki tylko wtedy, gdy druga strona zapłaci rachunek. Nie ma wątpliwości, gość robi sobie ewidentne polewki ze stylu gangsta. Tymczasem J Zone zupełnie serio przyznaje się do sympatii dla Mastera P, E-40, Suga Free i wielu innych, a za najbardziej niedocenionego w rap-grze uważa... Mannie Fresha. W dodatku z pasją najbardziej zapalonych kolekcjonerów zbiera taśmy z gangsta rapem z początku lat 90., a na imprezach jako DJ puszcza (w Nowym Jorku!) westcoastowe gówno i szlagiery Rap-A-Lot Records „skutecznie czyszcząc parkiety". Hmm, może to wszystko jednak na poważnie? Totalna konsternacja.

Więc jak odbierać J Zone'a? Po pierwsze – z dużym przymrużeniem oka. Z dystansem, mniej więcej takim, jaki on ma do samego siebie i życia (na pytanie o sprzedaż albumu, odpowie, że „zbliża się do drewna, powinna dosięgnąć miedź w przyszłym miesiącu", czyniąc ironiczną aluzję do złota i platyny). Po drugie – jako świetnego rapera z niewiarygodnym poczuciem humoru. Może niekładącego na łopatki techniką, ale mającego pełen wachlarz nokautujących panczy. Po trzecie – jako wzór mistrza ceremonii, showmana, którego wprawdzie nie złapiecie na freestyle'owej bitwie, za to z jego koncertu wyjdziecie z uśmiechniętą gębą, nawet jeśli rozpocznie go śpiewając „Toxic" Britney Spears. Doceńcie wyobraźnię (mistrzowski pod każdym względem „A Friendly Game Of Basketball", gdzie dostaje się wszystkim raperom grającym w kosza i koszykarzom próbującym rapować), doceńcie rewelacyjny storytelling (tego jest dużo, „Disco Ho" byłoby chyba najlepszym przykładem), nie odwracajcie się plecami słysząc o dziwkach i alfonsach. Pamiętajcie, że to zabawa konwencją, że macie do czynienia z jedną z barwniejszych postaci undergroundu. Pamiętajcie, że dawno temu istnieli tacy raperzy-komedianci jak Biz Markie, Humpty Hump albo MC Mitchski, a dziś to już gatunek zagrożony. I pamiętajcie, że J Zone i tak ma gdzieś to, co o nim myślicie. Autor artykułu wprost przeciwnie, więc przynajmniej posłuchajcie beatów J Zone'a.

Bo nawet haterzy, którzy dissują J Zone'a za image clowna i durne teksty, nie są w stanie odmówić mu producenckiej klasy. To beatmaker samplujący praktycznie wszystko – od wysłużonego funku przez jazz po folkową muzykę Grecji, Bułgarii, Azji czy motywy latynoskie – wszystko z powalającym efektem. Beatmaker przywiązujący dużo uwagi do kompozycji, jakości brzmienia, jeden z tych, co nigdy nie zadowolą się pierwszą wersją podkładu. To nie żaden Madlib ani 9th Wonder. J Zone zmienia styl produkcji z każdą płytą, otwarcie dziś przyznając, że jego stare beaty były do niczego (nie wierzcie – nie były!).

„Moja kariera może się skończyć choćby jutro, ale jedno co zostanie mi na zawsze, to to, że współpracowałem z ludźmi, których słuchałem dorastając. Nigdy nie sprzedałem dużo płyt, nie zgarniam wielkiej kasy na rapie, nie jestem sławny. Ale mieć tych ludzi na moich bitach to wielki zaszczyt. Rozmawiać przez telefon z Kingiem T, gościć w mojej piwnicy nagrywającego wokale Masta Ace'a, jechać do Maryland i wpieprzać chińskie żarcie z Biz Markiem – to niesamowite! Zawsze będę przede wszystkim fanem hip-hopu". To ważne słowa, mimo że wypowiedziane przez kogoś, kto na płycie przywita was sowitym beknięciem. Gdy mowa o muzyce, J Zone z bezczelnego hustlera na skromnym budżecie zmienia się w normalnego, skromnego, kochającego rap zioma.

NIE-HIPHOPOWA PIGUŁKA

BASEMENT JAXX

Kilka dni temu ukazał się już czwarty tradycyjny longplay brytyjskiego duetu. Podczas Open'era ich szalony występ spotkał się z niesamowicie entuzjastycznym przyjęciem, nie mniejszym od koncertów Pharrella, Kanye czy Sigur Ros. To chyba najlepsza okazja, by w kilku zdaniach opowiedzieć wam o Basement Jaxx, grupie, dzięki której termin progresywna muzyka taneczna nabrał zupełnie nowego wymiaru i znaczenia

tekst Andrzej Cała „Machina"
foto Sonic Records

Historia jednego z najbardziej szanowanych house'owych duetów rozpoczęła się na początku lat 90., gdy Simon Ratcliffe i Felix Buxton poznali się w czasie granych przez siebie imprez w Londynie. O ile Simon był raczej fanem funku, muzyki latynoskiej i czarnych brzmień, fascynacje Felixa uciekały w stronę chicago house'u. W ich produkcjach symbioza tych inspiracji jest zdecydowanie wyczuwalna. Buxton odpowiada zdecydowanie za groove, dynamikę, Ratcliffe bardziej dba o staranny dobór wokali, udziwnione aranżacje, wynajdywanie pojedynczych dźwięków, które

LETNIE FESTIWALE

Od lewej: Jay-Z, Shaggy (Marcin Kądziołka / Fotomk.PL), Rob B. ze Stereo MC's, Amp Fiddler (Paweł Kwiatkowski / www.fotomusic.pl)

KRÓL ZAWITAŁ DO KRAKOWA

Na ten moment fani rapu w Polsce czekali długo, bardzo długo. Pierwszy i jedyny w naszym kraju koncert Jaya-Z (9.09.2006, Coke Live Music Festival) był pięknym deserem po pełnym wrażeń koncertowych letnim okresie, okraszonym występami Kanye Westa i Pharrella. Brawa należą się organizatorom, bo zabukowanie Shawna Cartera na imprezę rozpoczynającą jego pierwsze od wielu, wielu miesięcy tournee na pewno nie było łatwe.

Na szczęście udało się i w mega chłodny jesienny wieczór na scenie umiejscowionej tuż obok stadionu Wisły zobaczyliśmy na żywo samego Jaya-Z. Gwoli ścisłości – w towarzystwie DJ'a Green Lanterna i Memphis Bleeka, którego Carter parę lat temu mianował na swojego następcę (niezły żart). Gwiazda rozpoczęła swój występ niemal punktualnie o 23. Od samego początku zostaliśmy zaatakowani samymi hiciorami, nie mogło więc zabraknąć ani „Hard Knock Life", ani „Girls, Girls, Girls", że o przebojach z ostatniego studyjnego krążka Jahovah nie wspomnę. Zdecydowanie najlepiej wypadły energetyczny jak cholera „99 Problems", zagrane na bis „Big Pimpin'", „Nigga What, Nigga Who" (na koncercie w formie „Jigga What, Jigga Who") oraz „Change Clothes". To ostatnie przede wszystkim dlatego, że było najbardziej znanym kawałkiem przez część młodszej publiczności, niespecjalnie kojarzącej wcześniejsze dzieła Jaya.

Nie zabrakło chwili dla Memphis Bleeka, w czasie której zarapował on dwa kawałki ze swojego repertuaru, znalazł się też czas na zarymowanie przez Jaya swoich wersów z „Crazy In Love" i „Deja Vu" – kawałków, które wykonywał gościnnie na płytach swojej wybranki Beyoncé (jej niestety zabrakło), a jakby tego było mało – poleciały też numery Notoriousa i Aaliyah, podczas których zapłonęły zapalniczki. Król nowojorskiej sceny nie zagrał natomiast nawet jednego kawałka ze swoich dwóch pierwszych płyt, co przynajmniej dla najstarszych fanów jego twórczości było sporym zawodem.

Koniec końców, zabawa udała się przednio. Fajna gra świateł na scenie, fristajle (oczywiście wcześniej napisane) rapowane przez Jay'a jego południowym flow, dobre wymienianie się wersami z Memphisem i kapitalne nagłośnienie w całości zrekompensowały potworne zimno, fakt, że po piwo trzeba było się udać kilkaset metrów, a także nie do końca kumanie twórczości Shawna Cartera przez sporą część publiki. I tylko szkoda, że po godzinie z hakiem przyszło nam się głowić, kiedy do kraju zawita kolejna gwiazda hip-hopu tej klasy. **(ac)**

A GDZIE ATMOSFERA?

Podczas, gdy w Krakowie produkował się Jay-Z (że już o Shaggym nie wspomnimy), w stolicy mieliśmy do czynienia z przedsięwzięciem niewątpliwie bardziej szumnym, ale ostatecznie – niezbyt udanym (9-10.09, Summer of Music). Na pewno nie zawiedli artyści, bo dobre występy dali choćby ci, którymi czytelnicy SLG powinni być zainteresowani najbardziej: Amp Fiddler (kameralny show, pełen werwy lider i świetni muzycy, którzy mu towarzyszyli) czy Stereo MC's (gdyby nie niska temperatura i mizerna ilość ludzi pod główną sceną, byłoby naprawdę gorąco; raper Rob B. mimo swojego wieku jest prze-wulkanem energii). Warto było wpaść również na jedno z nielicznych show Daft Punk, choćby w celu obejrzenia sobie misternej oprawy koncertu. Do tego dodajmy sety Mr. Scruffa, Gillesa Petersona i występ członków Bugz In The Attic, by otrzymać niezły zestaw ciekawych artystów (ci, którzy do tego zestawu dołączyliby jeszcze również grających w Warszawie Iana Browna czy Pet Shop Boys, raczej naszego miesięcznika nie czytają...).

Mimo tak dużej dawki muzyki, coś jednak ewidentnie na terenie Wyścigów nie grało. Dobrze bawiących się ludzi było jak na lekarstwo. Czy było to spowodowane pogodą i terminem, czy cenami biletów, lokalizacją (ta wybredna Warszawka...), czy też niefortunnym line-upem artystów – na te pytania muszą odpowiedzieć sobie organizatorzy. Szkoda byłoby jednak, żeby stolicę po jednej frekwencyjnej klapie pozbawiono letniego festiwalu muzycznego. Bo zawsze to dobrze, kiedy coś ciekawego dzieje się w naszym kraju w kwestii muzyki, nie mam racji? **(GRB)**

jako całość w fantastyczny sposób wzbogacają muzykę Basement Jaxx. Panowie założyli w 1994 r. label Atlantic Jaxx Records i rozpoczęli regularny atak na kluby i podziemne rozgłośnie serią swoich singli i remiksów. Do grupy dokoptowali wokalistkę Corrinę Josephs, która do dziś towarzyszy i pomaga duetowi.

Prawdziwy szał na punkcie Basementów rozpoczął się w 1995 r. za sprawą hiciora „Samba Magic". Później była epka z remiksami nagrań innych wykonawców „Basement Jaxx EP" (1996), kolejny genialny singiel „Flylife" (klubowy hit 1997 r.), aż w końcu na przełomie 1997 r. i 1998 r. Buxton i Ratcliffe podpisali kontrakt z wytwórnią XL Recordings. Są jej wierni do teraz, pomimo bardzo licznych propozycji z wielkich wytwórni chcących za wszelką cenę pozyskać przebojowe duo.

Debiutancki studyjny, pełnowymiarowy album Basement Jaxx ujrzał światło dzienne w 1999 r. Płyta „Remedy" dosłownie wstrząsnęła sceną muzyki tanecznej. Cały świat oszalał na punkcie takich kawałków jak „Red Alert", „Rendez-Vu" czy „Bingo Bango". Fantastyczny kolaż rytmów disco, house, połamanej elektroniki, muzyki latynoskiej, a nawet hip-hopu sprawił, że szum wokół londyńczyków był ogromny, a każdy szanujący się twórca muzyki progresywnej chciał koniecznie mieć jakiś remiks bądź produkcje ich autorstwa. No i tak już poszło – w 2001 r. „Rooty" i hiciory „Romeo" i „Jus 1 Kiss", a w 2003 r. genialne „Kish Kash" promowane dwoma szalonymi singlami „Lucky Star" (gościnnie Dizzee Rascal) i „Plug It In" (w tle słychać krzyczącego Ty'a), a także nagraniami z udziałem wielkiej damy soul-jazzu Me'shell Ndegeocello.

Później dostaliśmy jeszcze składankę „Singles", którą już kiedyś w „Ślizgu" recenzowałem, aż w końcu początek września przyniósł wyczekiwany od niemal trzech lat pełnowymiarowy materiał „Crazy Itch Radio". Panowie Ratcliffe i Buxton po raz kolejny zaskoczyli, dodając do zestawu swoich inspiracji na tej płycie muzykę country i blues, ale przede wszystkim największy nacisk kładąc tym razem na fenomenalną aranżację nagrań. Każdy z kawałków żyje własnym życiem, przenosi nas w inną przestrzeń, ale jako całość świetnie się uzupełnia i jak zwykle zrywa kapcie z nóg. „Hush Boy" już podbiło kluby od Alaski po Tokio, a następny w kolejce jest „Take Me Back To Your House". Kończąc dodam tylko, że jednym z gości na „Crazy Itch Radio" jest Biz Markie. Słabo?!

NOWA TWARZ
LAIKIKE1

Gniew. Liryzm. Brud. Obskurność. Wrażliwość. Wulgarność. Poezja. Tyle, a nawet więcej mieści się w tym panu. Ostatnio ocenialiśmy nagraną przez niego wraz z Młodzikiem i Dobrym Dotykiem epkę „Bybzi Bybzi". Czas na wywiad

pytał Flint

Młodzik mówił o tym, że zgłaszałeś się do niego rok wcześniej, zanim zaczęliście wspólną pracę i odesłał Cię wtedy do ćwiczeń. Co robiłeś przez ten czas, w jaki sposób starałeś się być coraz lepszym mc?

Moje relacje z Młodzikiem nigdy nie były tak formalne, jak mogłoby sugerować pytanie. Na szczęście przypadliśmy sobie do gustu na tyle, że po pewnym czasie żaden z nas nie widział już innej opcji, jak tylko wyjść z tym do ludzi. Stało się i jestem bardzo zadowolony z efektu. Jeśli chodzi o umiejętności, to nie czuję jakiegoś szczególnego ciśnienia na progres. Rozwój musi przyjść naturalnie, w przeciwnym wypadku udziwnienia zmienią styl w plastik. Jak to mówi Bobby Brown: „You can't rush greatness."

Jak reagujesz, kiedy zarzuca Ci się zbytnie inspirowanie się stylami innych raperów z podziemia?

Nie mam zamiaru bronić się przed zarzutami stawiającymi mnie z nimi w jednym szeregu z raperami, których cenię. „Bybzi Bybzi" to debiut. Inspiracje czerpię z każdego dnia i emocji, jakie mi przyniesie. Jeśli słuchasz rapu i jednocześnie chcesz go robić, nie uciekniesz od pewnych schematów już na starcie. MC's zawsze byli i będą zazdrośni o swoje patenty. Paradoksalnie, owe patenty istnieją od wieków i przeczytasz o nich w każdym skrypcie z poetyki czy literatury. Rap pozwala im się mieszać, łączyć, daje im życie. To w miarę upływu czasu styl nabiera kształtu i staje się charakterystyczny.

Skoro mówimy o podziemiu – wielu młodych kotów usiłowało już wysadzić z miejsc zblazowanych i odtwórczych weteranów. To się po prostu nie udaje – nie ma rapera, który zyskałby uznanie ponad podziałami jak Mes, Gural, Łona czy Sokół. Nawet Smark nie stał się kimś takim. Dlaczego?

Ta kwestia nie daje mi spokoju. Zwrócił na nią moją uwagę Reno, rozpierdalając z genialną nonszalancją wszystkie fundamenty i... zostając z pustymi rękami. Decydują dwie rzeczy: po pierwsze nieufność odbiorców obawiających się podjąć ryzyko i wciąż ślepo stawiających na to, co już się „sprawdziło" i – w ich mniemaniu – sprawdzać się będzie. Kiedy słyszę Pezeta zapowiadającego nową płytę jako „bardziej imprezową", to się jej, kurwa, boję. Druga sprawa to oczywiście promocja i wizerunek. Podziemie musi traktować media jako narzędzie pracy, a nie oczywiste zło. Dla mnie akurat czołówka sceny to Eis, Smark i Zkibwoy, Hast, Tymon, Afro Kolektyw, całe WOCC, Dinal, Dizkret i jeszcze kilka innych osób.

Jelenia Góra nie jest wielkim miastem. Nie miałeś problemu z postaciami z „Nędzników"? Nikt nie chciałby usłyszeć o tym, jak jest bity przez ojca albo bity przez schabów za handlowanie bez zezwolenia...

No, obawiałem się trochę, powiedzmy, spontanicznych reakcji na „Nędzników"... Jest to jednak szczery i prawdziwy joint o sprawach, które dotykają 90% młodzieży i ignorancją byłoby ich przemilczenie. Zresztą nie mogę odpowiedzieć jeszcze na to pytanie, bo epka zaczęła śmigać w Internecie, kiedy nie było mnie już w Polsce.

„Młodzi i cierpcy" poruszają konkretny problem z młodymi. Jak to jest, że ci, którzy mają butelki z benzyną, dają się zawsze ułagodzić ochłapem ze stołu?

Jeśli stoisz z taką butelką, to najczęściej jest ona wszystkim, co posiadasz. To, o czym mówisz, najwyraźniej widać na scenie hc/punk, gdzie ludzie z tak radykalnym podejściem dość często się wypalają, ponieważ rozsądek bierze górę nad pasją. Demonstracje, opór, manifestacje gniewu to zazwyczaj krótkotrwałe zrywy niedające wymiernych efektów. Najczęściej jest tak, że dwadzieścia osób wie, dlaczego tu stoi, a pięćset pozostałych przyszło coś rozjebać. Jeżeli rzucisz ochłapy tym pięciu setkom, mlask i kwik zagłuszy opór dwudziestu, zrażając ich do podejmowania podobnych działań w przyszłości.

Młodzik zebrał na swojej płycie producenckiej najbardziej awangardowych artystów. Najpewniej słyszałeś płytę. Myślisz, że odnalazłbyś się pośród nich?

Tak naprawdę, wszystko jest do zrobienia. Bardzo chciałbym spróbować popłynąć z trochę ciepłejszym, 9th Wonderowym klimatem, jednak każda nowa produkcja Młodzika zmienia moje podejście o 180 stopni (śmiech). Wiem, że jeszcze kiedyś to zrobię, tak zresztą jak milion innych, ciekawych rzeczy.

Pełen wywiad wkrótce na www.slizg.com.pl

LICZ, BICZ!
70-79

tekst Krewny Królika

70 Harcerze z ZHP nie tylko „jeżdżą na obozy, penetrują skały". Dyskutują również o hip-hopie. „Mam w śród swoich skautowych kumpli ludzi którzy oddają się HipHopowi, untergrand, i całość prawdziwych ideałów skata. (...) Takie ideały panują w środowiskach prawdziwych bohem artystycznych HIPHopu, czy my jako ruch harcerski nie boimy się ich???", pyta Skaut5. „Jeśli chodzi o samą muzykę HipHop to nie niesie ona złych treści ze sobą przynajmniej 70 procent, której słyszałem", pociesza Boodzioo. Zapytajcie o to Druha Sławka.

71 czyli Wrocław, bo wzorem Warszawy telefon kierunkowy funkcjonuje tu jako synonim miasta i jego sceny hip-hopowej. Oraz housowej – Whitehouse, Greenhouse... Mamy tu mosty, pięknie dziewczyny oraz najbardziej lubianą przez artystów publikę – ponoć dlatego, że kto by nie przyjechał i czego jej nie zagrał, będzie zadowolona.

72 Jak jeszcze wyciągnąć hajs z hip-hopu? Russell Simmons, założyciel słynnego Def Jam, wypuścił „Yoga Live" łączące 72 hip-hopowe beaty z popularnymi ćwiczeniami jogi. „Wyobraźcie sobie waszą ciotunię wykonującą swój codzienny zestaw wygibasów i śpiewającą: When the pigs try to get at you, drop it like it's HOT!", ironizuje strona hecklerspray.com. Łatwiej wyobrazić sobie korektywę ziomusiów przy „Prostujcie się, kurwa!"

73 „Głośna, irytująca, a jednocześnie urocza", tak pedalsko Prefuse 73 mówi o swojej muzyce. Krytycy o ostatniej płycie piszą nieco inaczej: „Historia zawierająca zbyt wiele pomysłów", „hałas niekompatybilny z większością słuchaczy", „niezrozumiała pomyłka, co smutne, rozwiewająca złudzenia". Pociesza to, że część czasu, w którym Prefuse mógłby robić beaty, pożytkuje on na hiszpański folk. Hiszpanie to mocny naród, znieśli Franco, ETA, pożary lasów, więc to też zniosą. Ole!

74 74% nowojorczyków jest przeciwnych tzw. Prawom Rockefellera, które za „low-level drug crimes" są w stanie wsadzić do pudła na 15 lat. Dziwnym trafem,

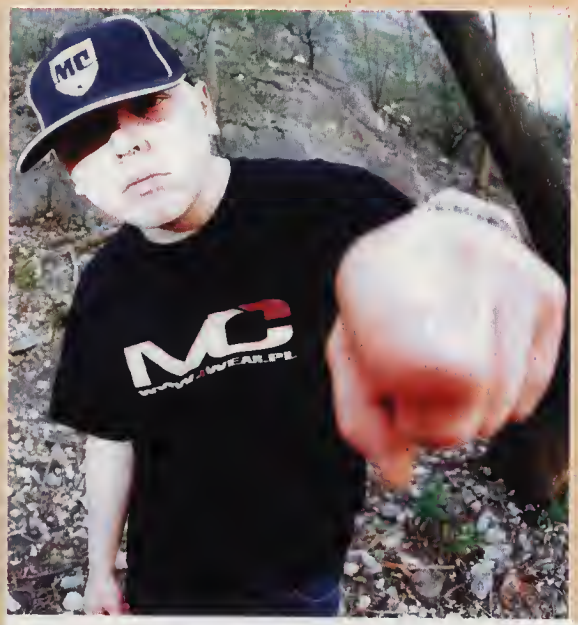

PRO-DUKCJA
ŻUSTO

26-letni Żusto pochodzi z Nowego Sącza, ale mieszka w Krakowie. To człowiek instytucja: od 11 lat DJ, raper, producent. Rezydował w wielu knajpach, robił muzykę do filmów i reklam, współpracuje z radiem RMF. Aż trudno uwierzyć, że znajduje czas na snowboard i wakeboard. Jego rap znacie choćby z płyt Volta, beaty – z jego własnej płyty „Hiphobbitz" (gościnnie wielu mc, m.in. Fokus) bądź też z płyt AbradAba, WWO, Projektora, Intoksynatora. Oczekiwanie na klip do „Ruszaj sie" (gościnnie Dab i Numer) umili wam lektura kwestionariusza

ankietował Flint

Najchętniej słucham: starych kawałków z lat 90., wspominam sobie te zajebiste lata.

Nigdy nie słucham: komercyjnych stacji radiowych, to męczy ucho.

Mój styl w jednym zdaniu: mój styl, nikt takiego nie ma.

Stawiam na rapowe południe Polski, bo: pochodzę z południa, reprezentuję południe.

Jeśli ktoś chce mój beat, powinien: skontaktować się ze mną mailowo pod adresem „zusto małpa maintain kropka pe el".

Łączenie rapowania z produkcją jest: normalne. Do tego taniec graffiti i dj'ing. To wszystko razem.

Najchętniej samplуję: z winyli wprost do MPC, tak jak się powinno samplować.

Nigdy nie zsamplowałbym: czegoś już raz zsszsszz... zs.. zsamplowanego, ale raz mi się przytrafiło użyć sampla, którego użył „Piotrek Skałka".

Programy, bez których nie wyobrażam sobie produkowania, to: Pro Tools, Cubase skrakowany.

Beaty oparte na pętlach, to dla mnie: oldskul. Coś, do czego wracam.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny: czekają na swoich emcees. Nie przestaję produkować tych bitów całych...

Kwintesencją podkładu jest: brzmienie. Nad nim nieustannie pracuję. Ładuję w to w pizdu szmalu.

„Elektronika" w hip-hopie to: codzienność. Też używam syntezacji, jak ktoś tego chce, jak mi się podoba.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to: zmarnowane przez polskich raperów piękno. Jak mnie będzie stać na to, to nagram coś w tym stylu.

Moi trzej ukochani rap-producenci, to: Pete Rock, Madlib, Timbo. Ukochałem też siebie jako pro producenta.

Moi trzej znienawidzeni rap-producenci to: „fifti sent"... Inni nie przychodzą mi do głowy. „Nawidzę" wszystkich.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie: umuzykalnioną wersją prawdziwej struktury robienia bitów. Sampler to podstawa. Musi być chociaż jedna empecetka.

Najbardziej chciałbym współpracować z: kimś, kto dobrze płaci, bo to moje życie i praca, ziom. Z przyjaciółmi takimi jak Dab chciałbym zawsze pracować. To inspiruje.

Produkowanie po używkach uważam za: sprawdzian umiejętności i stylu. Czasem też tak działam, kurza stopa... I pozdrawiam krakowskie kru. Pissss.

Porównując amerykański mainstream z amerykańskim undergroundem myślę, że: nie ma o czym mówić. Bieda i kasa, prawda i fałsz, miłość i dziwki, marycha i kokosy. Wiadomo.

O brzmieniu hip-hopu naszych sąsiadów mogę powiedzieć, że: sąsiedzi z południa są spoko. Reszty nie kumam, niemieckiego szitu nie słucham z różnych powodów.

O brzmieniu polskiego reggae mogę powiedzieć, że: lubię Indios i Dżamali. O reszcie pozwolę sobie się nie wypowiadać. Śmieszne to takie. O, lubię też Daab dawny. Zresztą Polska to nie Jamajka. Nie lubię polskich ortodoksów rasta. Nie cierpię tych z UMC. Gówno to jest.

Przeszłość hip-hopu to dla mnie: Decybel, House Of Pain, kurwa, koncerty Kalibra. To Zulu Nation, które nas łączy do dzisiaj.

Przyszłość hip-hopu to dla mnie: Żusto, Dab, WWO, Numer, Intoksynator. Coś pominąłem? To też prawdziwi ludzie, fani naszej muzyki.

Mając beaty Ericka Sermona i Dr. Dre wybieram: Dre. Eryk jest dynamiczny, ale nudniejsze ma te bity, zbytnio do siebie podobne.

Mając beaty Pete Rocka i Premiera wybieram: „Skałę" – trudniejszą ma pracę, doceniam to. Primo też jest kozakiem jak dla mnie.

Mając beaty Pharrella i Timbalanda wybieram: Timbo. Pharrell jest dla babek. Pokazuje goły tyłek. Lubię N.E.R.D. za to.

Mając beaty Swizz Beatza i Lil' Jona wybieram: Obydwaj są leszczami (śmiech). Puszczam ich tylko na imprezach, jak się trudnię didżejką. Laski to łubią (śmiech).

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla: każdemu zrobię bit, jeśli odpowiednio go wykorzysta. Nie mam jakichś oporów.

95% skazanych na bazie tych praw to czarni i mulaci. W akcji mającej na celu obalić przepis uczestniczyli Jay-Z, DMX oraz Diddy, świadomi zapewne, że strawny jest on tylko po dobrym bacie. I ktoś mówił, że hip-hop nie edukuje? Jeszcze tępiej edukuje zajebiste prawo, przekazując wiadomość: „nie ćpaj, bardziej opłaca się gwałcić".

75 Label, który wypuścił dwie pierwsze płyty Too Shorta, nazywał się 75 Girls. Pomińmy już, że dla tego wykonawcy nie byłoby stosowniejszej nazwy. Jest idealna dla każdego, nawet jeśli taka wytwórnia przekręca artystów. „Słuchajcie, 75 panienek mnie wyruchało" – jak to dobrze brzmi...

76 „Seventy-six" to płyta nagrana w Stanach przez artystę o ksywie Arek. Nie, nie chodzi o Arka Delisia. Nazwy części piosenek mogłaby nasuwać to skojarzenie („Blow", „The Touch", „Strange Boy"), części jednak nie („Hype From Critics"). Poza tym, Arek-artysta mówi o sobie, że „kultura, którą znamy jako hip-hop, odegrała kluczową rolę podczas jego dorastania i pozwoliła mu przeżyć", co już zupełnie nie pasuje.

77 7 Notas 7 Colores to jeden z bardziej rozpoznawalnych hiszpańskich zespołów hip-hopowych. Jego lider Mucho Muchacho wykonał jedną z bardziej spektakularnych wolt w hip-hopie. Od kolesia współpracującego z ambitnym Company Flow po bycie DJ'em w dyskotece na Ibizie. Takie życie, ziomek. U Cameya nazwaliby to ewolucją.

78 „I met a girl named hip hop in seventy eight / Hollis Queens New York gave us our first date", rymuje Young MC, „inteligentny raper klasy średniej z dyplomem ekonomisty", jak jest groteskowo określany. I w sumie nic nowego, setny kawałek opowiadający o hh jak o pannie, ale nieprzypadkowo nazwany „Coast 2 Coast". W 97 roku rany po konflikcie między wybrzeżami były wciąż żywe i raper z wersami: „Stój za swoją dzielnicą i rób to z dumą / a media powiedzą ci, że nienawidzisz drugiej strony", trafił w sedno. Ku przestrodze, oby polski hip-hop nie stał się wszechpolski.

79 79 minut trwają „Funk-Dla Smaku" 2cztery7 i „Jazzurekcja" O.S.T.R.'a. Może by tak dla towarzyszy jakieś odznaczenie za przekroczenie normy i budowanie nowej, lepszej fonografii? Uwaga, na DVD zmieścicie więcej!

BITWA O ANGLIĘ
KILLA KELA

Killa Kela to legendarny brytyjski beatboxer wymieniany jednym tchem z Rahzelem. Nie przeciągając wstępu, informujemy, iż to jemu poświęcamy tę edycję bitwy

tekst i foto Cesssssss

Pierwszy wyjazd integracyjny w nowej szkole, a wy trafiliście do pokoju z jakąś zarośniętą istotą we flanelowej koszuli, która przytaszczyła ze sobą gitarę, na której brzdęka od trzech godzin coś, co powinno przypominać „Smells like teen spirit", ale w efekcie sprawia, że rzeczywiście Cobain żyje, a przynajmniej przewraca się w trumnie? Gdybyście mieli postępującą głuchotę, tajemne moce albo talent, jaki posiadł pewien prosty chłopak z Billingshurst, sytuacja byłaby do uratowania...

Wygląda całkiem niepozornie, jest niski i szczupły, a znajomi mówią o nim „najmilszy człowiek w całym biznesie muzycznym". Kiedy jednak zaczyna pojedynek popisując się niesamowitymi umiejętnościami, widownia zbiera najczęściej szczęki z podłogi. Jego umiejętności nie powinny dziwić. Pierwsze rutyny zaczynał ćwiczyć w wieku ośmiu lat i oprócz tego, że potrafi w genialny sposób odtworzyć „paszczowo" najgorętsze hity – od hip-hopu, poprzez pop, a na drum'n'basie kończąc – jest też wokalistą o szkolonym głosie. Z kolei gdyby dać mu kilka puszek spray'u, na pewno wymyśliłby coś ciekawszego niż tęczowy, koślawy napis „RAP O.K." (w młodości malował z popularnymi oldschoolowymi grafficiarzami), na deskorolce potrafi znacznie więcej niż odepchnąć się od ziemi i chociaż z tańca najbardziej preferuje machanie rękami, to od kilku lat reprezentuje barwy Rocksteady Crew. Mało tego – ma na koncie dwie płyty solowe i setki występów z najpopularniejszymi artystami, a mimo to są tacy, którzy wolą towarzystwo amuzycznych pseudogitarzystów od ludzi pokroju Kelli.

Sam bohater „Bitwy" pewnie nie podejrzewał, że kiedyś stanie się „multiinstrumentalistą wokalnym" (ech, ci dziennikarze – na wszystko znajdą jakiś mily synonim). Gdy wyruszał w swą podróż ku karierze, towarzyszył mu przyjaciel z dalekiej Rosji, znany w światku rapowym jako DJ Vadim. Sam był wtedy zaledwie raczkującym producentem, ale udzielił swojemu koledze wielu cennych rad związanych zarówno z kwestiami technicznymi, jak i z przetrwaniem w szołbiznesie. Znajomość ta zaprocentowała także wieloma wspólnymi występami w europejskich (i nie tylko) metropoliach.

Killa Kela jest jedną z tych osób, które nie przepuszczą żadnej szansy i potrafią wycisnąć z życia, ile się da. Każdy kolejny show, każdy wygrany pojedynek, kolejne pomysły i nowe umiejętności zbliżały go do sukcesu. Jak większość artystów, tak i ten młody ‚Brytyjczyk w pewnym momencie postanowił utrwalić swe dokonania na winylowych krążkach. Tak zrodziła się idea albumu „Permanent Marker", który słuchaczom oferuje doznania zupełnie innego rodzaju niż sceniczne występy Keli. Zamiast wykonywać covery przebojów Kelis czy Pharrella, nagrał kilka własnych stricte hip-hopowych utworów (w których wykonuje beatbox i rapuje) przeplatając je archiwalnymi nagraniami z występów. Przeciwnicy oczywiście zgłaszali się co chwila z jakimiś uwagami: „ale na żywo jest lepiej", „ale po co goście", „ale nuda, gdzie ta wszechstronność".

Kela wziął to wszystko pod uwagę nagrywając swój drugi album. Wydany pod koniec 2005 roku „Elocution" nie jest już płytą, którą można jakkolwiek zaszufladkować (aczkolwiek uznano ją za „Best crossover album"). Jest tam beatbox płynnie przenikający się z podkładami, jest rap, jest i śpiew. Z jednej strony są utwory bliższe hip-hopowi, z drugiej bardziej popowe, gdzie Killa brzmi jak „niby-Prince". Wreszcie mógł zaprezentować w pełni swoją wszechstronność na albumie, który w przeciwieństwie do syntetycznego „Permanent Markera" – jak sam artysta stwierdził – ma duszę.

Jest on też próbą przybliżenia ludziom, o co chodzi w beatboksie, podobnie jak i cała działalność Spit Kingdom, czyli crew, do którego Kela należy. Grupa postawila na dynamikę. Zamiast indoktrynować słownie, organizują różne występy, prowadzą też cykliczne imprezy w jednym z klubów. Jak przyznaje artysta, chodzi głównie o to, by zapełniać pustą przestrzeń w świadomości ludzi, uświadamiać, że w beatboksie nie ma rozgraniczeń na gatunki muzyczne, na to, co prawdziwe i nieprawdziwe. Jest tylko to, co można zrobić mając do dyspozycji mikrofon i to, czego zrobić jeszcze się nie umie.

A Killa Kela wspomagany przez kumpli rośnie w siłę i potrafi coraz więcej. Miejcie więc go na oku.

NIELEGALE

recenzował Flint

TONY SOLO AKA WUJAS
MISTYCZNE SPOJRZENIE
500763639

Nie rozumiem. Nie rozumiem ludzi, którzy chwalą się na okładce tym, że mistycyzm kojarzy im się z japońskimi znakami i marihuaną, bo to jak rymowanie „mokre jak woda" czy „skamieniałe jak kamień". Nie rozumiem, czemu nikt Wujasowi nie powiedział, że mamrotanie pod nosem kocopałów poza beatem to nie rap. Nie rozumiem, jak mógł tak nieudolnie zsamplować „Requiem dla snu". Nie rozumiem, czemu Mixer i Larwa, nadworni producenci PDG, dali podkłady na coś takiego, bo przecież dbają o brzmienie, kombinują z naprawdę dobrym skutkiem, a nawet robią utwory z hitowym potencjałem (zwłaszcza „Te Klimaty" Larwy wpadają w ucho), więc powinni mierzyć wyżej. Nie rozumiem, jak mogło im się przydarzyć takie „Wybacz" – słabe, a według okładki robione wspólnie. Nie rozumiem, jak można się jarać tą płytą, nawet jeśli żyje się po to, by słuchać poznańskiego hip-hopu. Subiektywizm też ma swój kres.

KLIMAT
RAP WRACA DO PARKU
POLEJ.COM

Pabianicki Klimat jest w tej chwili duetem, ale pozostał w nim lepszy MC. Ma Finker flow, ma fajne wersy drwiące ze słabego rapu („Panny na to lecą? Chyba, kurwa, jak się potkną"), z tym że ma też ten głos, który faluje mu jak niegdyś Dużemu Pe, i tendencje

INNA STRONA MUZYKI
HEAVEN SHALL BURN

Nie ma lekko! Heaven Shall Burn to jeden z najlepszych w Europie zespołów metalcore'owych. Ta niemiecka bestia gra muzyką ciężką jak dywizja czołgów, a zarazem pełną finezji i technicznej biegłości. Na krótko przed premierą czwartej płyty HSB, „Deaf To Our Prayers", zamieniłem kilka słów z gitarzystą Maikem Weichertem

rozmawiał Sebastian Rerak

Heaven Shall Burn to zespół hardcore grający metal. Dla kogoś niezorientowanego w specyfice sceny HC może to być zaskakujące.
Punk i hardcore zawsze były otwarte na różne wpływy. Już Agnostic Front, Sick Of It All czy SOD łączyły hardcore z metalem, a metalowe grupy takie jak Anthrax flirtowały z punkiem. Takie połączenie nie jest więc niczym nowym.

Wasz nowy album nosi intrygujący tytuł „Deaf To Our Prayers".
Zaczerpnęliśmy go z poematu Heinricha Heinego, dziewiętnastowiecznego poety – niemieckiego Żyda. Heine pisał o sytuacji robotników żyjących na Śląsku w epoce industrializacji. Ci ludzie, wykorzystywani przez bogatych przemysłowców, nie mieli dosłownie nic. Mogli jedynie modlić się do Boga w nadziei na poprawę swojego losu. Tytuł płyty jest więc metaforą skrajnej sytuacji, w której nikt nie jest w stanie pomóc człowiekowi, oprócz niego samego.

To nie jedyne odniesienie do historii w Waszych tekstach. Dla Polaków szczególnie ważny musi być utwór „Armia", opowiadający o Powstaniu Warszawskim.
Myślę, że rola, jaką Polska odegrała w II wojnie światowej, nie została należycie doceniona. Każdy wie, że Rosjanie czy Francuzi cierpieli pod jarzmem nazizmu, ale nigdy nie mówi się o Polsce. Będąc w Warszawie odwiedziłem muzeum Powstania Warszawskiego. Zawsze imponowało mi to, że nawet kobiety, dzieci i młodzież potrafili walczyć o wolność. Pisząc utwór o powstaniu, chcieliśmy skupić się na położeniu ludzi, którzy w nim uczestniczyli. To także część niemieckiej historii, o której powinniśmy wspólnie rozmawiać.

Pochodzicie ze wschodniej części Niemiec. Pewnie nie pamiętacie czasów NRD i rządów Honeckera, ale czy Twoim zdaniem wschodnioniemieckie pochodzenie ma wpływ na Wasz sposób myślenia?
Coś tam pamiętam. Przypominam sobie nawet waszego byłego przywódcę Jaruzelskiego, ale tej paskudnej gęby w ciemnych okularach nie da się zapomnieć (śmiech). To pochodzenie na pewno odgrywa ważną rolę w naszym sposobie myślenia. Kiedy upadł mur berliński, miałem jakieś dziesięć lat. Praktycznie w ciągu jednej nocy nastąpiła zmiana systemu, co nie pozostało bez wpływu na światopogląd ludzi. Pewnie dlatego Niemcy ze wschodnich landów żywo interesują się polityką i są bardzo sceptyczni. Zawsze podważamy autorytety, bo wiemy, że łatwo mogą one zbankrutować.

Niemiecka scena metalcore'owa wydała wiele świetnych zespołów – Heaven Shall Burn, Maroon, Caliban. Czy taki rodzaj muzyki jest u Was popularny?
Jest całkiem popularny, nie tylko zresztą wśród hardcore'owców, ale i fanów metalu. Często zdarza nam się zresztą grywać na metalowych festiwalach. Także kilka polskich zespołów odniosło tu sukcesy, np. Sunrise i Faust Again.

Podobno mieliście pewne zabawne przejścia z południowoamerykańskimi hardcore'owcami?
Tak! Graliśmy na jednym festiwalu z zespołami z Argentyny i Brazylii. Kiedy tylko ich członkowie dowiedzieli się, że jesteśmy Niemcami, od razu chcieli z nami zagrać w piłkę nożną. Zapewne dlatego, że niemiecka drużyna narodowa jest jedną z niewielu zdolnych do pokonania południowoamerykańskich ekip. Swoją drogą, uwielbiamy grać w piłkę.

Mam nadzieję, że kiedy po raz kolejny odwiedzicie Polskę, zagracie kilka koncertów, a przy okazji może i odbędziecie sparing z miejscową załogą (śmiech).
Oczywiście, bardzo chcemy przyjechać i zagrać z Polakami w piłkę. Niekoniecznie może poszedłbym z wami na mecz trzeciej ligi, bo podobno chuligani potrafią nieźle dymić (śmiech). Mamy nadzieję zagrać w przyszłym roku w Polsce razem z Daymares (nowy zespół członków Sunrise – przyp. aut.) i Faust Again. To wstyd, że do tej pory częściej wizytowaliśmy Grecję czy Islandię. Musimy coś z tym zrobić i jak najszybciej odwiedzić Polskę.

do szczebiotania ginącego gdzieś pośród beatów. Ta jego bezczelność przypomina też trochę urzędnika, który na bankiecie wychylił jedną lampkę szampana za dużo i szaleje. W podkładach LK chce być amerykański, nie ciąć za mocno. Lepiej wychodzi to Urbowi z Dinala, a tu zbliżamy się raczej do starego Ośki. Jest miękko i miluchno. Jeżeli Klimat chce sprowadzać rap do parku, to chyba takiego, gdzie psom nie wolno wejść na trawnik, dzieci biegają z balonikami, a ławki znikają tylko do renowacji. Na pewno za to nie można przegapić „Zgliszcz" – dobry powrót Reno, Finker w najlepszej formie i beat-petarda w stylu „Push It" Ricka Rossa.

KOEL/HYBRIS
EMOCJE
WWW.KOELHYBRIS.PL

Jeśli trafia się świeży nielegal, to zwykle świeżość ta polega na szokowaniu odbiorcy ekstremalnym stylem czy ekshibicjonizmem. Od lubelskiego duetu Koel/Hybris dostałem płytę normalną, dopracowaną w detalach i zupełnie własną. Podkłady Hybrisa są wyjątkowo szybkie, niespokojne, aranżowane i robione tak, jakby producent nie myślał o tym, by tworzyć hh, a po prostu tworzyć muzykę. Szybkie i skomasowane jest flow Koela. Z całym szacunkiem, ale odbieram to głównie jako bardzo przyzwoite środki pozwalające błyszczeć osobowości rapera. Tak mocno i trafnie jak w „Długu", „Apokalipsie" i „Szczękościsku" o Polsce mówił chyba tylko Koterski, bo z rapu nikogo sobie nie przypominam. Oby więcej wersów takich jak: „Po co inwestować w młodych? / Lepiej szczuć nas psami i więcej nas robić". „Sito" – pochwała konformizmu, oczywiście zarymowana ironicznie – porywa. „Burdelcytadela", krótka historia o zmienianiu mieszkań, również. Dostaliśmy gniewnego, celnego i wszechstronnego rapera z producentem stroniącym od banału. To bardzo dużo. Sprawdzajcie koniecznie płytę. Za miesiąc będziemy mieli dla was wywiad.

SPIKE LEE

AAAABY SPIKE

Gdyby nie został reżyserem, światowa kinematografia straciłaby zawodnika ze swojego podstawowego składu. Czy tym samym społeczeństwo afroamerykańskie utraciłoby najbardziej zatwardziałego bojownika o prawa czarnych od czasu Malcolma X? A skąd, ten dumny Murzyn nawet pozbawiony kamery walczyłby zawzięcie z białym systemem. Zamiast prezentować wam kolejny podręcznikowy portret artysty, jaki z łatwością możecie sobie sami „wyguglać", proponuję subiektywny przegląd tych zawodów, w jakich Spike Lee sprawdziłby się doskonale, jak i tych, którym by nie podołał, niekiedy nawet mimo najszczerszych chęci

tekst Piotr Dobry
rysunek Scott Newman

SPORTOWIEC

Spike jest obsesyjnym fanem New York Knicks. Od lat z góry wykupuje bilety na wszystkie mecze ukochanej drużyny. Z obejrzenia jej w akcji na żywo zdarza mu się rezygnować jedynie w przypadku spotkań wyjazdowych, a i to tylko wtedy, gdy musi dopiąć terminy w związku z pracą nad filmem. Niemniej harmonogram ustawia sobie zawsze tak, by móc chociaż śledzić poczynania swoich faworytów w telewizji.

Sam o karierze zawodowego koszykarza nie miał co marzyć – natura obdarzyła go nikczemną posturą (1,65 m), a co gorsza poskąpiła również na mięśnie, czym rozwiała jego szanse na powodzenie w innej dyscyplinie, którą ubóstwiał jeszcze bardziej niż basketball – baseballu. Spike bowiem nie od razu odkrył swoje powołanie. W młodości widział siebie oczyma wyobraźni na drugiej bazie w nowojorskich Metsach i był zdeterminowany do tego stopnia, że zapisał się nawet na siłownię, by ten cel kiedyś urzeczywistnić. Swą pierwszą kamerę 8mm kupił dopiero w wyniku rozczarowania faktem, że już w college'u trener WF-u częściej sadzał go na ławkę niż pozwalał grać, a koledzy nie umieli powstrzymywać się od śmiechu na widok rachitycznego okularnika próbującego machać kijem ważącym prawie tyle, co on sam. Marzenia prysły, ale uwielbienie pozostało. Do dziś Spike zdziera gardło na meczach baseballu, jednym z jego znaków rozpoznawczych stała się czapka baseballówka, zaś w 1997 roku napisał opasłą książkę poświęconą tej grze.

Co nietypowe, reżyser nie przepada za najpopularniejszą ze stricte jankeskich dyscyplin sportowych – futbolem amerykańskim. Woli bardziej finezyjną piłkę nożną. Gorąco kibicuje Arsenalowi, także ze względu na przyjaźń z kapitanem londyńskiej jedenastki, Thierrym Henry.

ŁOWCA TALENTÓW

W tej niszy mógłby zyskać miano jednego z najwybitniejszych fachowców. Przyciąga talenty jak magnes. Wypromował niemal całą obecną czołówkę czarnoskórych aktorów. To rolami w jego filmach dzisiejsi megagwiazdorzy jak Denzel Washington, Samuel L. Jackson czy Lawrence Fishburne zwrócili na siebie uwagę hollywoodzkich magnatów. To u niego Wesley Snipes i Halle Berry (z którą zresztą prowadzał się przez jakiś czas) grali role na poziomie, do jakiego nigdy już później nie dobili. To on odkrył dla kina Delroya Lindo, Mekhiego Phifera, Giancarla Esposito, Johna Turturro, którzy do aktorskiej pierwszej ligi nie trafili tylko dlatego, że z drugim planem bardziej im do twarzy. Miłośnikom niebanalnych smaczków z pewnością zafascynuje zaś wiadomość, iż w roku 1983, gdy reżyserował swą przełomową, obsypaną później nagrodami etiudę studencką „Joe's Bed-Stuy Barbershop: We Cut Heads", asystował mu – no właśnie, nie imiennik, przy okazji wychodzi, że właściwego słowa jeszcze nie wymyślono (nazwiśnik?) – niejaki Ang Lee, dziś światowej sławy reżyser („Przyczajony tygrys, ukryty smok", „Tajemnica Brokeback Mountain").

KIEROWCA

Taksówkarzem, dostawcą bądź kurierem nie mógłby zostać. Z prostej przyczyny: nie posiada prawa jazdy. Czym zjednuje sobie jeszcze większą sympatię autora tekstu, bowiem nie ma większej frajdy nad świadomość, że coś cię łączy z kultową postacią. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, że autor tekstu podchodził do egzaminu 8 razy, zaś Spike nie podchodził wcale – po umiłowanym Nowym Jorku porusza się głównie autobusami (ale nie dlatego nakręcił w 1996 r. „Autobus"), dzięki czemu pozostaje, jak twierdzi, „w jeszcze większej symbiozie z najcudowniejszym miastem świata". To wersja oficjalna, zaś mamy jeszcze humorystyczną, wyciągniętą ze starego numeru magazynu filmowego „Empire", według którego „Lee nie sięga po prostu do pedału gazu i tyle".

DZIENNIKARZ

Na tym poletku zrobiłby błyskotliwą karierę. I to na kilku płaszczyznach. Z pewnością byłby znakomitym felietonistą – jako osoba kontrowersyjna, znana z ciętego języka (mama nie na darmo przezwała małego Sheltona Jacksona „Spikiem", czyli „Zadziorem") i krótkich, celnych ripost. Na zarzuty o idealizowanie czarnych i poświęcanie im bez reszty swego nietuzinkowego warsztatu przez kilkanaście lat kręcenia filmów (dopiero w 1999 r. zrobił „Mordercze lato" z białą obsadą), co dla części krytyków było jawnym rasizmem i szowinizmem, Spike odpowiadał: „Dlaczego nikt się nie dziwi, iż w filmach Woody'ego Allena występują sami biali". Zaś krytykowany za rzekomy antysemityzm, ucinał krótko: „Moja żona jest Żydówką".

Od lat, czy to w swoich filmach, czy podczas publicznych wystąpień, mocno angażuje się w politykę USA, toteż sprawdziłby się też jako dziennikarz polityczny, choć jedynie w jasno zdeklarowanym na antybushostwo piśmie, bo w tej kwestii nie potrafiłby zdobyć się na cień obiektywizmu. Nienawidzi Busha równie mocno, jak kocha Knicksów. Ciężko znaleźć wywiad, w którym nie dopuszczałby się uszczypliwości czy nawet obelg pod adresem prezydenta. Nie dziwi więc, że jest zagorzałym fanem Michaela Moore'a, a „Zabawy z bronią" wymienia wręcz jako swój ulubiony film roku 2002. I jeśli z nienawiści może w ogóle wyniknąć coś dobrego, to tutaj jest to fakt, że Lee zaczął wreszcie zauważać, iż wewnątrzpaństwowe podziały nie wynikają wyłącznie z niemożności porozumienia się różnych kultur. „Przedtem sądziłem, że wszystkie problemy kręcą się wokół ras. Teraz widzę, że najistotniejszy jest podział klasowy. Nieważne, czy jesteś czarnym, białym, Latynosem. Jeśli jesteś biedny, administracja Busha będzie cię miała w dupie tak czy siak".

Załóżmy hipotetycznie jeszcze taki nierealny wariant, że Spike odcina się od całej swej filmowo-polityczno-społecznej działalności. I co wtedy? Ano to, że i tak zarobiłby bez problemu na chleb, pisząc recenzje muzyczne. Jego ojciec Bill był jazzmanem, komponował zresztą do wczesnych filmów syna, póki ten nie poznał Terence'a Blancharda. Klasykę jazzu, bluesa i rapu Spike ma w małym palcu, zaś w swoim dużym domu ma w dodatku płytotekę składającą się z kilkunastu tysięcy winyli. Jeżeli chodzi o hip-hop, ze zrozumiałych względów najbardziej ceni twórczość Public Enemy i De La Soul, pogardza natomiast gangsta rapem (mistrzowski diss na 50 Centa w „Planie doskonałym") za wypaczanie i szkodzenie wizerunkowi czarnych.

DYPLOMATA

Co to, to nie. Broniący swoich filmów, zasad i przekonań „Zadzior" nie raz udowodnił, że gdy ktoś lub coś go zbulwersuje, nie potrafi zapanować nad emocjami. Gdy Will Smith zaproponował mu realizację „Alego" i przedstawił swoją wizję projektu, według której reżyser musiałby być tylko „podwykonawcą", Lee – nie bacząc na to, że Smith był jednym z finansistów jego „Autobusu" – wykrzyczał gwiazdorowi w twarz, że jest „jebanym gówniarzem", który film robi „nie z chęci oddania hołdu ikonie boksu, a z apetytu na Oscara".

Po głośnej tragedii w szkole w Columbine Spike ogłosił publicznie, że teraz ktoś powinien zastrzelić Charltona Hestona, prezydenta Narodowego Stowarzyszenia Broni. Zaś gdy na ubiegłorocznym Festiwalu Filmowym w Cannes niemiecki reżyser Wim Wenders skrytykował go za odejście od kina autorskiego na rzecz komercyjnego, wypalił: „Wenders powinien uważać, ponieważ od dawna szykuję się na jego dupę. Gdzieś głęboko w szafie trzymam bat niewolniczy z wygrawerowanym nazwiskiem Wendersa...".

SPIKE

Za pointę tego artykułu i zarazem podsumowanie całego fenomenu reżysera, niech posłuży stwierdzenie jednego z jego bliskich przyjaciół. „Gdziekolwiek by nie pracował, czegokolwiek by nie robił, i tak by osiągnął sukces i został zauważony, bo jest po prostu Spikiem. I jest w tym najlepszy".

SPIKE LEE A HIP-HOP

Można myśleć, co by się stało, gdyby Spike Lee nie był reżyserem filmowym. Jedno jest pewne – ucierpiałby na tym hip-hop. Kultura ta straciłaby mądrego, a co więcej uczciwego adwokata.

Najlepiej za Spike'a mówią kawałki, które wykorzystywał w swoich „gettocentrycznych" filmach. W „Do The Right Thing" z 1990 r. pojawił się numer „Fight The Power" Public Enemy – w sferze tekstowej rewolucyjny, podsumowujący historię Stanów Zjednoczonych jako 400 lat panoszenia się białych buraków. Kilka lat później Lee odda ekipie Chucka D całą ścieżkę filmową do „He Got Game", umożliwiając grupie udany powrót. W „Mo' Better Blues" między wirtuozerskim jazzem Branforda Marsalisa znalazło się trochę miejsca na „Jazz Thing" Gang Starra, co należy traktować jako wielką nobilitację. „Crooklyn" i „Clockers" pozwoliły przedstawić dwie odsłony niecodziennego tercetu Crooklyn Dodgers. Pierwsza obejmowała Masta Ace'a, Special Eda i Buckshota, druga – O. C., Jeru i Chubb Rocka. Jakby nie patrzeć, absolutne nowojorskie legendy. To nie koniec inspirowanych przez Lee kooperacji. Potrafił on również łączyć różne światy. Na ścieżce dźwiękowej „Bamboozled" Chuck D spotkał się z The Roots i Rage Against The Machine, a Mos Def z Canibusem i DJ'em Scratchem (pośród wielu innych).

Kolejny rozdział to klipy. Za najważniejszy uznać trzeba „Hip Hop Hooray" Naughty By Nature, bo to dowód na to, że można zrobić dobry osiedlowy klip bez spluw i agresji, a sam kawałek jest jak hymn. Nie można zapomnieć, też o „White Lines" Grandmaster Flasha i Melle Mela, oldschoolowym hicie z ważnym, antynarkotykowym przesłaniem i klipem nakręconym przez Spike'a na studiach.

Ostatnia rzecz to wizerunek. Z jednej strony reżyser daje aktorską szansę Q-Tipowi, by ten udowodnił swój uniwersalizm i pokazuje zaangażowanie Kanye Westa po nowoorleańskiej katastrofie. Z drugiej, piętnuje opartą na fascynacji mordercami, dilerami, dziwkami i alfonsami wizję świata, przedstawianą przez 50 Centa, Irva Gottiego czy Snoopa. Widać, że hip-hop naprawdę nie jest mu obojętny. (flint)

transfer nollie heel flip to fakie na naturalnej piramidzie w Berlinie
foto Gabor Nagy

Ollie w bank tuż nad Odrą
foto ralalwielgus.com

KTO? KUBA BĄCZKOWSKI

Kuba Bączkowski jest skaterem, który ma bardzo ściśle określoną selekcję trików. Robi głównie manuale i wszelkie wariacje z nimi. Nie boi się eksperymentować z kombosami, w czasie jazdy wykorzystuje też wyobraźnię i dlatego jego triki wyglądają trochę inaczej niż całej reszty Polski. Na co dzień piastuje on posadę trenera osiedlowego (tak to się nazywa) w skateparku na Placu Wolności, która to praca pozwala mu na zarabianie pieniędzy i dobrą zabawę. Oprócz tego, Kuba jest znanym miłośnikiem nikotyny i hazardu...

tekst TolOi

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
23 lata, na desce jeżdżę od grudnia '97, czyli jakieś 9 lat.

Skąd pochodzisz?
WrocLove.

Czy to gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na Twoją jazdę?
Myślę, że tak. Wiadomo, że w dużym mieście jest więcej ciekawych miejsc do jazdy, co daje mi większe możliwości rozwoju niż w małej mieścinie. W dużym mieście jeździ więcej ludzi, jest progres. Poza tym, Wrocław jest pięknym miastem, pełnym otwartych ludzi i naprawdę cieszę się, że właśnie tutaj mieszkam...

Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Najbardziej lubię to, że wychodząc na deskę zapominam o swoich problemach. Poznaję wielu ciekawych ludzi z całego świata. Ponadto deskorolka uczy determinacji, kształtuje charakter, co – jak myślę – będzie miało pozytywny wpływ na moje życie w przyszłości.

A czego w nim nie lubisz?
Zawiści, kontuzji, brudnego papieru, pierdzących kółek...

Twój ulubiony trik.
Nose manual, tre flip, sw. heel, bs tail.

Czego się teraz uczysz na desce?
Nie mam jakieś takiej akcji, że wychodzę na deskę z myślą: „o, dzisiaj się uczę salta na crooks" i katuję cały dzień. Po prostu idę na deskę i jeżdżę... Staram się próbować różnych trików. Jeśli coś wychodzi i czuję, że jest szansa, to staram się to zrobić, natomiast jeśli nie – to daję spokój, nic na siłę...

Osiągnięcia?
Nie wiem... To jakieś głupie pytanie. Może przejazd w Garażu #3?

Ulubiony film deskorolkowy.
Digital „Sane", TWS „First love", Aesthetics „Ride or die".

Ulubieni deskorolkowcy.
Brezinski, Appleyard, Greathouse, Welsh.

Ulubiona miejscówka.
Barcelona jest moją ulubioną miejscówką.

Co Cię inspiruje?
Filmy deskorolkowe, ludzie.

Jak przełamujesz strach? Czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Po prostu próbuję triku 2-3 razy i jeśli wiem, że jestem w stanie go zrobić, to się przełamuję i robię go do skutku. A co do drugiej części pytania, to niestety nie skaczę ze schodów, ponieważ moje nogi nie pozwalają już mi na to.

Zainteresowania.
Grafika komputerowa.

Muzyka.
Słucham bardzo różnej muzyki, zależy od nastroju i ochoty. Czasem jest to jakiś dobry rap francuski np. NTM, a czasem Bjork, Sade.

Film fabularny.
„Vanilla sky", „Kasyno", „Leon zawodowiec".

Switch czy normalnie?
Switch.

Skatepark czy street?
Zdecydowanie street.

Lubisz zawody?
Lubię pod względem ludzi, których spotykam na nich, ale nie lubię rywalizacji i stresu związanego ze startem.

Co to jest styl na deskorolce i kto go posiada?
Styl według mnie jest sposobem, w jaki ktoś robi triki. Styl jest niepowtarzalny, sprawia, że jaram się tym skaterem, a nie innym. Każdy ma styl, z tym że jednych styl się podoba, a innych nie, kwestia gustu.

A co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
Myślę, że to i to jest ważne. Obie te cechy są zależne od siebie, chociaż wydaje mi się, że styl bez umiejętności nie istnieje.

Co sądzisz o polskiej deskorolce?
Deskorolka w Polsce rozwija się w dobrym kierunku. Powstają skateparki, sponsoring jest coraz bardziej profesjonalny, coraz więcej ludzi zaczyna jeździć, wyłaniają się nowe talenty, poziom rośnie. Jednak myślę, że trzeba jeszcze kilku lat, żeby skateboarding polski był na poziomie europejskim – zarówno od strony biznesowej, jak i poziomu jazdy, bo w zasadzie te dwie rzeczy są ze sobą mocno związane.

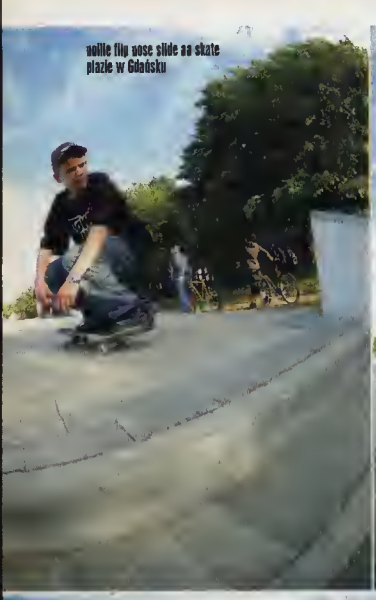
nollie flip nose slide na skate plazie w Gdańsku

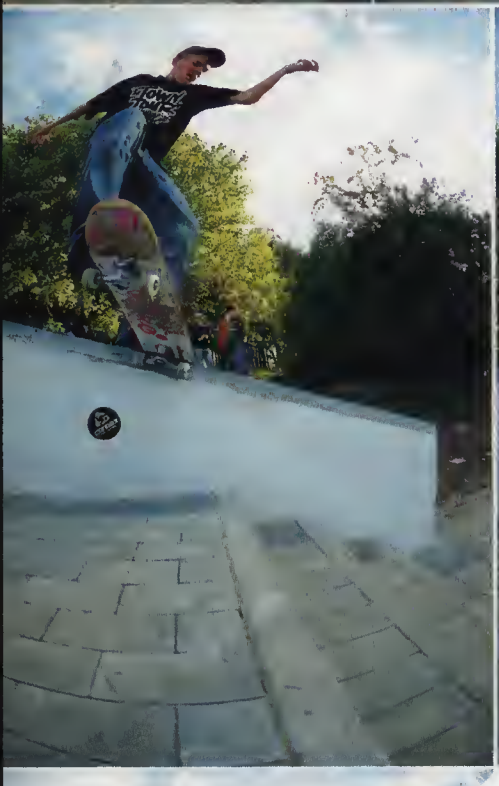

Nowa twarz
Karol Pelc

tekst Daniel Kanka
foto Gabor Nagy

Karol jest młodym, niepozornym i cichym zajawkowiczem, który zawsze i wszędzie jeździ ze swoimi ziomkami. Wzajemnie się motywują wspólną jazdą, grają w S.K.A.T.E. (przeważnie na drugą nogę – tak żeby było ciekawiej i trudniej). Wiadomo – w grupie raźniej.

Wracając do osoby Karola, to poznałem go dwa lata temu i przy każdym spotkaniu zaskakuje mnie on nowymi trikami. Od czasu, kiedy pierwszy raz wspólnie nagrywaliśmy, minęło trochę czasu. Nagrywek się uzbierało, więc postanowiłem zrobić mu osobny rookie part na filmie, żeby pokazać jego zasób trików. Niestety, podczas kręcenia do filmu nie dopisywało nam szczęście… To policja nas spisywała, to wyrzucali nas z miejscówek, to z kolei pogoda nie dopisywała. Jednak gdy udawało nam się nagrać jakąś sekwę lub pojedynczy trik, to nie mogłem wyjść z podziwu, co ten chłopaczyna umie i jak szybko się uczy nowych rzeczy, w dodatku na obie nogi.

Karol nie boi się wyzwań, często rzuca się na duże przeszkody, z niełatwymi trikami i przeważnie wychodzi z tej walki zwycięsko. I zawsze jest mu mało, chce robić coraz więcej lepszych, trudniejszych sztuczek. Myślę, że o Karolu usłyszycie jeszcze nie raz…

Obuwie Osiris dostępne również w salonach cropp town

Polski team: Kamil Piotrowski, Karol Furmańczyk, Janek Pietruczuk (BMX), Wojtek Pająk (SNOW)
Dystrybucja **Altex** Tel 061 8163400 Fax 061 8163408 e-mail: info@altexdist.com

Malowniczy fs. flip z fali stojącej dokładnie między Rynkiem a Świdnicką w wykonaniu Marcina Jakubowskiego

Wrocław

Maciek Rybiski często jeździ w skatepark na Placu Wolności i często tam robi takie triki jak pop shove it 5-0 fs. shove it out

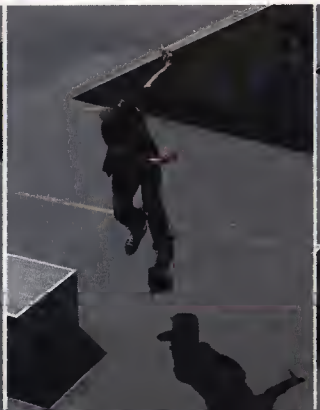
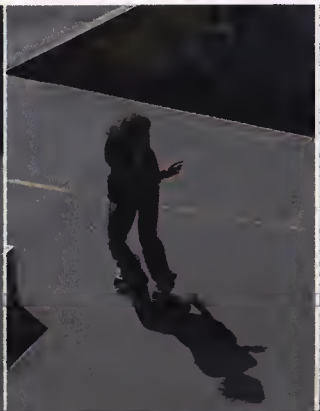

Wrocław znany jest głównie ze swoich towarzysko-kulturalnych atrakcji. Imprezy w tym mieście przeszły już do historii i zawsze będą niedoścignionym wzorem dla innych. Jednak na hasło „skateboarding we Wrocławiu" odzew nie jest już tak jednoznaczny

tekst pc skate
foto Wojtek Antonów

Do niedawna jedynym miejscem, gdzie jeździło się w stolicy Dolnego Śląska, był skatepark na Placu Wolności. Jednak z czasem obrzydł on zapewne każdemu deskorolkowcowi z Wrocławia i dlatego zaczęto szukać czegoś nowego. Po pewnym czasie okazało się, że i w tym mieście znajdują się całkiem dobre spoty, a oto one.

Świdnicka

Bardzo stara miejscówka, znana już od dawna, znajdująca się przy ulicy o tej nazwie. Jak mówili lokale, gdy kiedyś ktoś przyjeżdżał do nich zrobić zdjęcia albo nagrać na video jakieś triki, zawsze szedł właśnie tam. Kiedyś przez długi czas była to praktycznie jedyna miejscówka w mieście. Wyposażona jest w różnego rodzaju murki. Kreatywna osoba znajdzie tam raj dla siebie, ponieważ kombinacjom łączenia trików nie ma końca, wystarczy tylko dobrze pomyśleć. Wielkim minusem tej miejscówki jest to, że znajduje się ona w jednym z centralnych punktów Wrocławia i przechodzący ludzie skutecznie odbierają chęć do jazdy. O wiele lepiej jest wieczorami, ponieważ ulica Świdnicka jest dosyć dobrze oświetlona i można spokojniej pojeździć. Drugi minus tego miejsca to bardzo mała powierzchnia. Pomimo tego, że murków, schodków i innych rzeczy jest tam naprawdę dużo, to jednak całość jest bardzo ściśnięta.

Plac Wolności

Miejsce to okryte jest złą sławą zeszłorocznej tragedii (śmiertelny wypadek rowerzysty – przyp. red.) i od tamtej pory na torze należy jeździć w kaskach, czego pilnuje trener osiedlowy, Kuba Bączkowski. Street course składa się z różnych, mniej lub bardziej przydatnych dla deskorolki rzeczy. Niektóre z przeszkód nie nadawałyby się nawet na hulajnogę i ich obecność tam należy tłumaczyć tylko wysoką zawartością alkoholu we krwi architekta, bo żadna inna wymówka nie byłaby uzasadniona. Jednak część konstrukcji daje radę i można tam znaleźć coś dla siebie – jest niezła piramida, banki, niski quarter bowl, duży quarter pipe i luźno stojący wysoki murek. Reszta rzeczy bardziej nadaje się dla grotołazów i taterników. Wielkim atutem skateparku jest jego nocne oświetlenie. Dzięki temu w upalne dni można w późnych godzinach urządzać sobie sesje. Niedaleko znajduje się super-dyskoteka W-Z, gdzie przychodzi kwiat młodzieży podwrocławskiej i tamtejsze królowe piękności. Skatepark położony jest w centrum, dlatego jest to najlepsze miejsce do spotkania lokali, rozgrzewki i temu podobnych historii.

PKP

Ten spot został znaleziony, a właściwie oddany do użytku stosunkowo niedawno, jednak od razu stał się moim ulubionym we Wrocławiu. Posiada bowiem bardzo fajny klimat. Atmosfera przypomina brudne ulice z Nowego Jorku i Filadelfii. Teren jest starym obiektem PKP, który jeśli nie został opuszczony, to na pewno kolejarze bardzo mało się nim przejmują. Znajdują się tam rampy do wyładunku kończące się bankami, z których można się świetnie wybijać. Krawędź rampy, mimo że nie ma na niej klasycznego pomarańczowo-czarnego kątownika, z powodzeniem może służyć jako murek. Tak wyglądającą miejscówką zaopiekowali się BMX-owcy, którzy do starych elementów dodali kilka swoich i dzięki temu mamy tam bardzo szeroki bank, gdzie kocie łby zostały zalane śliskim betonem, a do tego kilka rurek i murków, które świetnie nadają się do wszystkiego. Bliskość peronów, budynki ze starej cegły i ogólny „nieporządek" tylko dodają miejscówce uroku.

„Grecja"

Nie wiem, jak naprawdę nazywa się to miejsce, ale pozwoliłem sobie mówić na nie „Grecja", gdyż w tle znajduje się budowla z kolumnami przypominająca mi antyczne budynki z tego właśnie kraju. Historia spotu była niestety krótka, ale za to bardzo burzliwa. O spocie słyszałem już dosyć dawno, jednak mojej wizycie tam zawsze coś stało na przeszkodzie. Poza tym, została mi ona opisana jako „zasyfiona i będąca w nieciekawej okolicy". Przypomniano sobie o niej gdzieś w okolicach wizyty Town Touru. Wyjazdowe chłopaki i lokale wysprzątali dokładnie cały teren z kilku warstw butelek, śmieci i ziemi, i oczom ich ukazała się miejscówka marzenie – duży plac marmurowy z okrągłą fontanną (której środek tworzył zajebisty zakręcający murek) i pefekcyjnymi

Na Dolmedzie są bardzo fajne, długie i niskie schody, z których Artur Grzejdak zrobił pop shove it

PKP oferuje wiele możliwości, można na przykład zaaleźć poręcz, przez którą da się zrobić takie ollie jak Marcin Zapotoczny

Wrocław

Kuba Bączkowski robi flipa to fakie przez kocie łby na PKP

jedenastoma schodami. Możliwości przebudowania spotu było tysiące. W momencie zaopiekowano się leżącymi płytami marmurowymi i wzorem Stalina powstały tam murki i wybicia, które szybko uczyniły „Grecję" najlepszą miejscówką tego typu w Polsce.

Po kilku dniach przyszedł tam jednak pewien pan, który zaproponował skaterom opuszczenie miejsca, gdyż – jak twierdził – to jego własność, a oni właśnie ją niszczą. Pan został oczywiście zignorowany, nikt z nim nie chciał rozmawiać, typowa skate'owska akcja. Okazało się, że zupełnie niesłusznie, gdyż następnego dnia lub dwa dni później na miejscówkę przyjechał kto inny. Był to słusznej budowy człowiek w butach Gucci, prowadzący BMW i mówiący z rosyjskim akcentem, który w kilku słowach i gestach wyjaśnił lokalom, co z nimi zrobi, jak ich spotka następnym razem w tym samym miejscu. Oczywiście obok takich argumentów nikt nie przeszedłby obojętnie i dzięki temu najlepszy spot w Polsce umarł tak szybko, jak się narodził. A szkoda...

Dolmed

Jest to duży marmurowy teren, na którym znajdują się schody. Ich stopnie nie są wysokie, ale za to długie, dlatego nie skacze się z nich jak z normalnego setu, a raczej jak przez długi gap. Miejsce to ma oczywiście minus, a jest nim ochrona, która często bardzo wczuwa się w swoją rolę. Jednak nauczony doświadczeniem wiem, że nie pracują tam najbardziej rozgarnięci ochroniarze na świecie i da się ich wyprowadzić w pole. Wystraczy tylko znaleźć sposób, a to prawdę warto, bo miejscówka jest całkiem, całkiem...

To są (lub były) główne miejsca do jazdy (tzw. „main spots), gdzie zbierają się skaterzy i jeżdżą wspólnie. Jednak oprócz nich Wrocław ma do zaoferowania wiele miejscówek na jeden trik. Przejeżdżając ulicami miasta natknęliśmy się na kilka niezłych rzeczy, wystarczy więc tylko dobrze poszukać.

Za niedługo miasto to będzie słynne jeszcze z jednego miejsca. Będzie nim największy w Polsce kryty skatepark, na planie przypominający zachodnie obiekty. Prace nad nimi trwają już od dawna i z tego, co wiem, są już w zaawansowanej fazie. Z okazji otwarcia mają się odbyć międzynarodowe zawody, więc będziecie mogli tam wpaść i przekonać się sami. Miejmy nadzieję, że przykład Wrocławia będzie bodźcem dla urzędów innych miast i podobne kryte skateparki powstaną przynajmniej w każdym większym mieście w Polsce, a póki co sprawdźcie na własne oczy miejscówki we Wrocławiu.

PODIUM
Footwear and apparel

Mistrzostwa Polski dirtMTBMX

Rowery to nie tylko Tour de France czy Tour de Pologne, to także zajawkowy freestyle, którego jedną z najbardziej widowiskowych dyscyplin jest dirt. Jeśli usłyszycie, że taka impreza odbywa się gdzieś koło was, a chcecie zobaczyć, jak to wygląda, walcie jak w dym...

foto Wojtek Antonów

W pierwszy weekend września w podwarszawskim Milanówku odbyły się Mistrzostwa Polski w Dirt MTBMX. Dla zawodników – a praktycznie wszyscy jeżdżący dirt w Polsce stawili się na miejscu – przygotowano tor złożony z trzech skoczni. Choć pogoda nie do końca dopisała i padający deszcz skutecznie zmienił cały tor w małe bagienko, to jednak same hopy udało się uchronić od powodzi i gdy po południu wyszło słońce, pomimo głosów, że jest miękko i wolno, spokojnie można było rozegrać zawody.

Eliminacje do finałów rozegrano w formie jamu, w trakcie którego wyłoniono sześciu zawodników na mountain bikach i na bmx-ach. Całość urozmaicał swoim trafnym i przezabawnym komentarzem znany w środowisku Rudy.

W finałach MTB startowali na zmianę z BMX-ami i trzeba powiedzieć, że naprawdę postarali się zapewnić wysoki poziom. Posypało się całe mnóstwo kozackich trików, wszyscy chcieli się jak najlepiej zaprezentować. W rezultacie, w BMX pierwsze miejsce zajął Janek Pietruczuk, drugi był Sokół (nie, nie ten z WWO), trzeci Czyngis, a czwarty Piret. W MTB kolejność była następująca: pierwsze – Paweł, drugie – Nypel, trzecie – Papa, czwarte – Waldek. Po zakończeniu zawodów rozegrano jeszcze best trick, w którym zawodnicy naprawdę rzucali się konkretnie. Wygrał go Nypel robiąc backflip x up no foot.

Poza atrakcjami sportowymi, na Mistrzostwach można było też posłuchać dobrej, hardcore'owej muzyki z namiotu postawionego tuż przy torze, ewentualnie poszwendać się po wiejskim festynie, bo w tym samym miejscu zorganizowane były Dni Milanówka, oldirirdi oldiridi rajtajtaj.

Cóż można dodać jeszcze? Całość byłaby naprawdę bardzo udana, gdyby nie nieszczęsna pogoda i błoto, które zrobiło się wokół toru. Na szczęście, sami rowerzyści skutecznie zadbali o to, żeby nikt nie zwracał uwagi na ziemię: wszyscy patrzyli na hopy i latających na nich gości.

411
14.3

Nowy magazyn 411 skupia się raczej na młodych talentach, to właśnie oni mają dłuższe przejazdy. W chaosie mamy do czynienia jak zwykle z totalnym miszmaszem. Każdy znajdzie tam coś dla siebie, ponieważ przekrój styli skateboardingu jest w nim ogromny. Pierwszy dłuższy przejazd w tym 411 ma Richie Belton, reprezentant Hellrose. Od czasu filmu Adio podrósł bardzo, wydziarał się i stał się bardzo niegrzecznym deskorolkowcem. Zobaczcie koniecznie, jak katuje swoje ciało w walce ze skarpami i schodami. Następny, czyli Ted de Gros, prezentuje odmienny skateboarding – spokojny, pełen techniki, również bardzo miły dla oka. Zdobywcy nagrody TWS dla najlepszego teamu – Cliche – wybrali się na Sycylię i reportaż z ich wyjazdu można zobaczyć właśnie w tym numerze. Sprawdźcie, jak Daclin i spółka radzili sobie w krainie mafii. Dalej mamy dwa profile – na pierwszym jest Ben Gore, jeżdżący po wszystkim gość z World Industries, a drugi jest wspólny dla Emanuela Guzmana, który robi w skateparkowych quarterach, co tylko chce, i jego zioma Sida Melvina. Firma Duffs ma solidny team, w skład którego wchodzą m.in. Jason Adams, Louie Barletta i Adam Alfaro, i właśnie ten team jest bohaterem kolejnego działu w opisywanym przeze mnie filmie. Chłopaki jeżdżą, po czym się da. Szczególnie blunt z zejściem flip Louiego jest niewyobrażalny... Na koniec został Don Nguyen, koleś, który jest w stanie skoczyć z największego drapacza chmur. Widząc niektóre jego przeszkody, naprawdę się bałem o jego życie. **Pc skate.**

ALMOST
CHEESE AND CRACKERS

Nowa produkcja Almost jest zdecydowanie dziwna pod każdym względem. Po pierwsze, nie występuje tam cały team tej firmy tylko dwóch skateboarderów – Chris Hasłam i Daewon Song. Po drugie, cały film nagrany jest w jednym miejscu – na minirampie w jakiejś starej hali. Po trzecie, na minirampie tej zamontowano szereg dziwnych urządzeń takich jak drzwi donikąd, liczne równoważnie, manuale, rurki, dziwne ścieżki dookoła minirampy. Po czwarte i najważniejsze, poziom jazdy na tych konstrukcjach jest po prostu chory. Szalona dwójka robi tam dosłownie, co chce. Niech przykładem będzie następująca sekwencja Haslama – blunt flip out, później blunt doubte flip out i na koniec blunt 360 flip out. Dodać muszę, że sekwa ta ginie wśród innych i lepszych, a wymieniłem ją, żeby nie psuć wam zabawy i nie opowiadać o lepszych trikach, których tam jest mnóstwo. Video to w pewnym momencie może nużyć, bo przez cały czas widzimy jedną miejscówkę, ale wynagradza to poziom i kreatywność prezentowanego tam skateboardingu. **Pc skate**

BLACK LABEL
BACK IN BLACK

Czarne szatany z Black Label powracają w nowym składzie. W stosunku do ostatniego filmu zaszły poważne zmiany kadrowe w teamie. Pozbyto się starych riderów na rzecz nowych, obiecujących talentów. Cóż, amerykański skate biznes jest okrutny i podobnie jak w przyrodzie, starszy i słabszy osobnik musi odejść. Nowe twarze nijak nie zmieniły oblicza firmy. Nadal w video oglądamy głównie oldschoolową jazdę i dziwne triki. Większość kolesi ma długie włosy i ubiera się podobnie, dlatego miałem wrażenie, że przez trzy czwarte filmu jeździ ten sam gość. Zdecydowanie wyróżniają się: Kyle Leeper, który ma nagrany part w Barcelonie, i Matt Mumford, który na początku jeździ w poolu z siekierą i maską Jasona z „Piątku Trzynastego". Bardzo fajnie jeździ też Adam Alfaro, który przestał się upodabniać do TNT, wyrobił sobie swój własny styl, a jego arsenał trików powalił mnie na kolana. **Pc skate**

COLORBLIND
ARMY

Belgijsko-holenderska firma Colorblind produkująca deskorolki wydała swoje pierwsze oficjalne video pt. „Army". Team tejże firmy składa się z przedstawicieli (a także przedstawicielki!) wyżej wymienionych krajów Beneluksu. Po obejrzeniu całego filmu w pamięci utkwiły mi tylko fragmenty. Na pewno na uwagę zasługuje przejazd Geoffreya van Hove, który sypie trikami na prawo i lewo. Jest starym, europejskim wyjadaczem, swego czasu był w teamie Cliche, więc wie on, co zrobić, aby przejazd się podobał. Zapamiętałem również part Luisy Menke, najlepszej obok Evelien Bouliard dziewczyny na deskorolce w Europie. Gdybym nie wiedział, że to kobieta, spokojnie mógłbym pomy-

FINGERBOARD CONTESTS

W ostatnią sobotę sierpnia we wrocławskim skateshopie „Scandal" odbyły się międzymiastowe zawody fingerboardowe „Scandal Fingerboard Contest". Startowało 18 zawodników, w tym polska czołówka

Początek zaplanowany był na godzinę 14:00, a profesjonalny fingerpark przygotowany przez organizatorów czekał w skateshopie na chętnych już od 10:00. W ramach imprezy zaplanowane były 3 oddzielne konkurencje: na najlepszy przejazd, „Game of S.K.A.T.E."oraz „Best Trick".

W pierwszej z nich, każdy z zawodników startował z dowolnie wybranego przez siebie miejsca na fingerparku i miał 45 sekund, aby przekonać do siebie sędziów, którzy oceniali startujących pod względem poziomu tricków, skuteczności, stylu jazdy i czystości przejazdu. Najlepszy okazał się Krzysztof Godek, zgarniając główną nagrodę. Drugi był Michał Ciucias, trzeci Łukasz Czarnecki.

„Game of S.K.A.T.E." kipiało emocjami. Każdy z uczestników musiał udowodnić, że jest w stanie wykonać trick, którego nie będzie potrafił powtórzyć jego przeciwnik i tym samym awansować dalej. Zwyciężył Michał Ciucias przed Tomkiem Barabaszem. Nie brakowało zdrowej sportowej rywalizacji i zacięcia. Zawody wzbudziły wiele zainteresowania, często ze strony osób zupełnie niewtajemniczonych.

Konkurencja „Best Trick" ukazała, jaki potencjał tkwi w zawodnikach. Każdy z nich miał opracowaną do perfekcji jedną skomplikowaną ewolucję, której efektowność i efektywność była biletem do kolejnego etapu. Spotykały się coraz bardziej zaawansowane i często freestyle'owe kombinacje. Ostatecznie zwyciężył trick „kickflip manual kickflip manual kickflip nosegrind" wykonany przez Cypriana Bazydło.

Pracownicy sklepu Scandal i sponsorzy zadbali o atrakcyjne nagrody dla uczestników. Impreza była w 200% udana i już zapowiada się jej zimowa edycja, na którą serdecznie wszystkich zapraszamy.

Pełna galeria z imprezy do obejrzenia na stronie skateshopu Scandal: www.scandalsnow.com

LISTA ZWYCIĘZCÓW:

Najlepszy przejazd: Krzysztof Godek
Best Trick: Cyprian Bazydło
Game of S.K.A.T.E.: Michał Ciucias

śleć, że triki wykonuje koleś. Trzecią osobą, która zapadła mi w pamięć, jest posiadacz ostatniego przejazdu w filmie, Ricardo Paterno. Muszę powiedzieć, że ten chłopak ma skillsy. Z naturalną lekkością robi triki na murkach i schodach. Nic dziwnego, że znalazł się w europejskim teamie E's. Ogólnie film nie należy do rewelacyjnych, ale zawsze można sprawdzić scenę deskorolkową w Holandii i Belgii. **Pc skate**

KROOKED
KROOKED KRONICHLES

Właściciel firmy Krooked, legenda deskorolki Mark Gonzales, nie należy do typowych zjadaczy chleba. Jego humor, sztuka, a przede wszystkim ogromna inwencja na deskorolce są znane każdemu deskorolkowcowi. Film sygnowany przez jego firmę nie mógł być więc typowym skate video, tak jak np. TWS. „KK" jest zajebistym materiałem, w którym oprócz deskorolki znajdziecie mnóstwo humoru Marka, różnych wyjebek artystycznych, a także bardzo dobrą jazdę. Cały team (Van Wastell, Bobby Worrest, Dan Drehobl i Mark Gonzales) przyłożył się bardzo do nagrywek. Dwójka młodszych skaterów (Van i Bobby) prezentuje nowoczesny skateboarding pełen flipów i slide'ów, jednak oglądając ich przejazdy nie ma się wrażenia, że robią to samo, co reszta ich rówieśników. Gonzales wiedział, co robi, zapraszając ich do teamu. Dan Drehobl jest mistrzem copingu, co udowadnia na tym filmie. Niestraszne są mu najbardziej strome quartery i banki. Wszystko wykonuje na maksymalnym luzie, sprawia, że wszystko wydaje się zbyt łatwe. W video tym można obejrzeć jeszcze dwa montaże z gośćmi – przyjaciółmi firmy. Są to na ogół znane nazwiska, szczególnie w latach 90.: Guy Mariano, Chad Muska, Pat Duffy, Shiloh Greathouse. Gonzales ma przejazd na samym końcu i trzeba przyznać, że dziadek trzyma się całkiem nieźle. Oczywiście, głównie są to numery okraszone jego szalonym poczuciem humory połączone z artystycznymi performance'ami, ale wszyscy właśnie za to lubimy Marka G. Film polecam każdemu. **tOi Oi**

TRANSWORLD SKATEBOARDING
TIME TO SHINE

Po rocznej przerwie Transworld Skateboarding znowu nas uraczył swoją produkcją. Film otwiera przejazd goszczącego niedawno w Polsce Coopera Willt. Gość ten bardzo starannie wybiera sobie miejsca do jazdy. Nie ma tam zwykłych spotów, widzimy za to puste kanały, dziwne, powykręcane budowle. Cooper pokonuje je bardzo pomysłowymi trikami i jest to moja ulubiona część filmu. Następną osobą pokazującą swoje umiejętności jest Chris Roberts, którego part mocno odstaje poziomem od reszty. Koleś najbardziej jara się manualami i nose grindami, które wykonuje na zmianę. Dalej następuje montaż różnych deskorolkowców, z których najbardziej zapamiętałem dwa triki: drop in z pionowej ściany Shane'a Crossa i wallride na suficie Danny'ego Gonzalesa. Później oglądamy część Ronsona Lamberta, który bardzo chciałby być jak P.J. Ladd. Zaraz po nim wchodzi Chad Tim Tim, który jeździ głównie po murkach, jednak robi to bardzo ładnie i stara się też trochę eksperymentować. Trójka złotych dzieciaków – Paul Rodriguez, Jereme Rogers i Mike Taylor – niestety nie zachwyciła mnie niczym. Fakt, że poziom ich jazdy miażdży, jednak spodziewałem się czegoś innego po ich przejeździe na filmie TWS. Chłopaki skaczą ze schodów, jeżdżą po murkach i poręczach, jednak jak dla mnie zabrakło pomysłu na jazdę – ot, zwyczajny przejazd pełen hammerów. Na koniec pozostał Dylan Rieder, koleś do tej pory nieznany szerszej widowni, jednak – jak to zwykle bywa – po video TWS znajdzie się on w elitarnym gronie. Chłopak jest na maksa wszechstronny, jeździ dosłownie po wszystkim – zaczynając na murkach na poolach skończywszy. „Time To Shine" to kolejny bardzo solidny, świetnie nagrany film TWS. **tOi Oi**

STREETS OF MELBOURNE

„Streets of Melbourne" jest już trzecim filmem Satvy Leunga, w którym przedstawia on dokładnie najważniejsze miejscówki danego miasta. Po S.F. i Barcelonie przyszedł wreszcie czas na Melbourne. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem praktycznie nic o tamtejszych spotach, dlatego z tym większą ochotą obejrzałem to video. Po odpaleniu filmu okazało się, że są tam doskonale znane miejsca, które często przewijają się w amerykańskich filmach. Dzięki Satvie można je dokładnie zobaczyć. Spoty opisują znani prosi z Antypodów, m.in. Matt Mumford, Lewis Marnell czy Renton Millar. Po obejrzeniu filmu stwierdziłem, że Melbourne jest wprost wymarzone dla deskorolki. Chłopaki mówią ponadto, że nie ma większych problemów z ochroną czy policją, pogoda jest cały rok idealna, więc nie pozostaje nam nic innego, jak spakować się i wybrać autostopem do Australii... **Pc skate**

2 września w Warszawie odbyła się kolejna edycja fingerboardowych zawodów pod nazwą Kamuflage Fingerboard Session #2. Głównym sponsorem był Skateshop Kamuflage, który postarał się o zapewnienie nam jak najlepszego klimatu i atmosfery na zawodach. Tak samo jak w czerwcu, do Blue City przyjechała cała czołówka polskiego fingerboardingu (mniej znane osoby również). Wszyscy bawili się wspaniale, a imprezę umiłała muzyka. Rozegrane zostały 3 konkurencje zawody z przejazdami, S.K.A.T.E. i best trick. Wszystko przebiegło zgodnie z planem organizatorów, którzy przyczynili się do tego, że Kamuflage Fingerboard Session można spokojnie nazwać najlepszymi zawodami w Polsce.

WYNIKI
Contest:
1. Krystian Kornowski
2. Marcin Gębczyk
3. Krzysztof Godek

S.K.A.T.E.
Krzysztof Godek

Best Trick:
Krystian Kornowski

skimboard

Pomysłów na imprezę promującą skimboarding, tak mało jeszcze znany w Polsce, zawsze jest mnóstwo. Sytuacja jest podobna, jeśli chodzi o popierających te pomysły. Problem pojawia się wraz z gorącym, lipcowym słońcem

tekst Radek Rybnik
foto Krzyś Bochra

Chcąc wykorzystać panujące warunki, rozleniwieni pomysłodawcy jak i zwolennicy wstają z plażowego piasku jedynie w celu ochłodzenia organizmu kilkoma długimi ślizgami na linii brzegowej. Spontaniczność i zdecydowanie Pabla (flip.pl) któregoś dnia położyły kres marzeniom. I tak hasło: „może byśmy zrobili imprezę skimboardowa?" zmieniło się w największe zawody w krótkiej historii tego sportu na polskiej scenie.

Ultimate Skimboard Jam Dębki 2006 – taka informacja latała po internetowych łączach, sprowadzając finalnie zwolenników z różnych zakątków naszego kraju. Wyznaczona została data. Nagrody dla zwycięzców utworzyły pokaźną kupkę, za co dziękujemy sponsorom. Niewiadomymi pozostały pogoda i miejscówka. Jedynie pierwsza z nich postanowiła nie stanąć po naszej stronie, chcąc zniszczyć wszelkie starania. Waleczność i zapał przybyłych zawodników wskazało pogodzie miejsce, w które mogła nas pocałować.

Godzinny jam, podczas którego sypały się przeróżne triki na płaskiej wodzie, railu i boxie, wyłonił zwycięzców w kategoriach: chłopaczki (zwyciężył Paweł a.k.a. Fishmac Jr. – Gdynia), kobietki (Grażyna, też z Gdyni), najlepsze glebowania (Andrzej z Warszawy), najmłodszy zawodnik (Świstak z Warszawy – 6 lat), najlepiej wykonany trik (Mateusz z Wrocławia za frontside boardslide na railu w max stylu).

Niesamowita atmosfera z zawodów przeniosła się na następny dzień, który dał nam idealną miejscówkę i dużą dawkę słońca sprzyjającą sesji foto. Sukces imprezy, jeśli można to tak nazwać, zawdzięczamy przybyłym miłośnikom skimboardingu – zjawiska, które z każdym rokiem staje się większe i silniejsze. Do zobaczenia w przyszłym sezonie.

Dębki 2006

FACTION

etnies

BROWN / GUM

STEP UP

ETNIES PRO RONNIE CREAGER SWITCH HARDFLIPS IN THE GRAND CANYON STATE.
SIT TIGHT... THE FUTURE IS BRIGHT!
WWW.ETNIESSKATE.COM TODAY!

stiFOAM systemG2 SKATECHNOLOGY

ACTION PHOTO: MATT PRICE

Willy Akers z Trójmiasta wrócił ze zdjęciem fs. nose slide

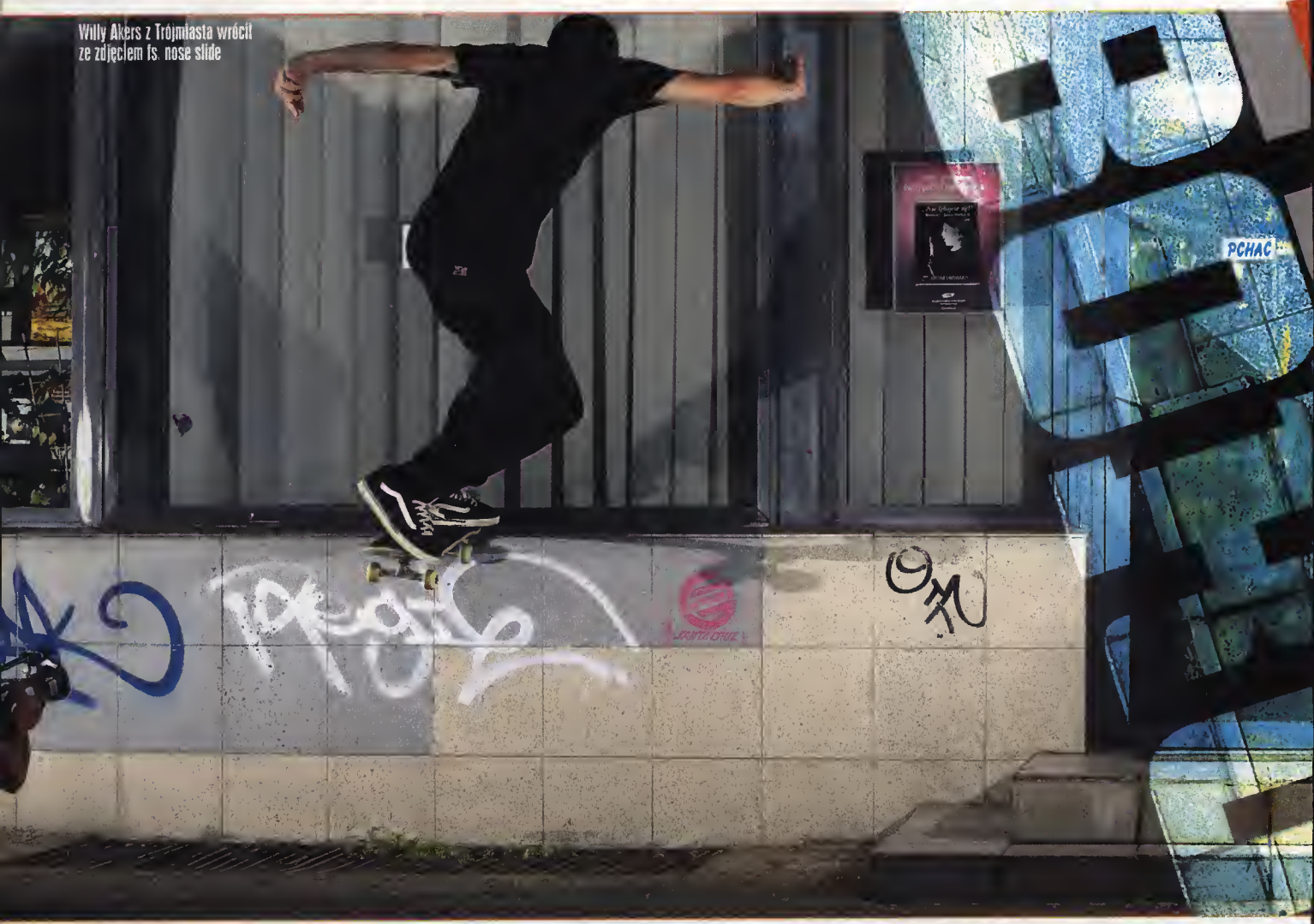

Pensyl nie boi się stromych kątów. Pod Universusem czuł się bardzo dobrze i nie miał problemów z kick flipem to fakie.

5 BORO
W PIĘCIU MIASTACH

Pod koniec czerwca gościliśmy już po raz drugi w Polsce team 5 Boro. W tym roku do naszego kraju przyjechała większa niż poprzednio reprezentacja – oprócz Willy'ego Akersa i Joeya Tookmaniana przyjechali Danny Falla, Robert Lim i pro z najdłuższym stażem, Dan Pensyl

tekst Pc skate
foto Gabor Nagy

Prezentują oni bardzo charakterystyczny styl jazdy wywodzący się prosto z zakorkowanych ulic Nowego Jorku i Filadelfii. Kontynuują tradycję deskorolki typowej dla wschodniego wybrzeża, gdzie oprócz poziomu trudności trików liczą się też ciekawe miejscówki, jazda po zatłoczonych samochodami ulicach, downhille i wallride'y. Takich właśnie dziwnych spotów nowojorczycy szukali u nas. Nie interesowała ich jazda po naszych „main spotach" takich jak Witos czy jemu podobnych marmurowych placach, tylko szukali czegoś surowego, klimatycznego i odpowiadającego im w stu procentach.

Ich pobyt w Polsce polegał więc na ciągłej jeździe samochodem, w czasie której chłopaki oglądali każdy milimetr miejskiej architektury. Kiedy coś znaleźli, głośno krzyczeli, żeby się zatrzymać. Najlepsze oko do tego miał Dan Pensyl i trzeba przyznać, że znalazł w ten sposób w Warszawie kilka niezłych miejsc, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia.

Team 5 Boro był chyba wprost stworzony do polskich warunków. Nasze nierówne ulice, kostka brukowa, dziury w chodnikach i temu podobne rzeczy tylko bardziej motywowały ich do robienia trików. Najbardziej jarało ich właśnie to, że nasze miejscówki nie były idealne, bo w Nowym Jorku jeżdżą po podobnych, więc są przyzwyczajeni do takich warunków. W Warszawie przemierzyli wzdłuż i wszerz najbardziej niebezpieczną dzielnicę, czyli Pragę. Byli chyba pierwszymi deskorolkowcami, którzy jeździli w tamtych rejonach i wrócili cało i zdrowo. A znaleźli tam całkiem przyzwoite spoty. Gdyby ktoś zobaczył je na filmie, to pomyślałby, że znajdują się one w samym centrum Brooklynu.

Oprócz Warszawy chłopaki z 5 Boro zwiedzili też Toruń, gdzie część ich ekipy wystartowała w zawodach Adio Mentor Session. Jednak samej imprezy nie potraktowali zbyt poważnie, zdecydowanie bardziej zajarali się w mieście Kopernika schodami z lądowaniem w bardzo nierówny bank. Tam Willy skleił fs. flipa, a Pensyl mało nie dostał apopleksji po nieudanym fs. big spinie. Nowojorczycy pokazali się również w Trójmieście, jednak tam nie znaleźli niczego specjalnego dla siebie. Wyjątkiem była hubba, którą Lim i Willy po prostu zniszczyli swoimi trikami.

Chłopaki najbardziej chcieli pojawić się w Częstochowie, którą znali już z zeszłorocznego wyjazdu. Pomnik przy Pałacu Ślubów jest wprost stworzony dla skaterów takich jak oni. Mogli tam dać upust swojej wyobraźni i robić cokolwiek chcieli. Miejscówka ta na zdjęciach i video wygląda naprawdę imponująco, szczególnie gdy wykorzystuje się ją w zaskakujący sposób. W „Świętym Mieście" znaleźli jeszcze inny ciekawy spot, gdzie Pensyl jak gdyby nigdy nic robił ollie przez gap z lądowaniem w bardzo wąski, śliski i podwójnie łamany metalowy murek. Kiedy zobaczyłem tę miejscówkę, wprost nie mogłem uwierzyć, że to jest możliwe.

Razem z Amerykanami nasz kraj zwiedzali również przedstawiciele polskiego teamu 5 Boro – Michał Juraś i Przemek Cymbalski. Podczas jazdy z gośćmi ze Stanów udowodnili, że nie znajdują się w ekipie przez przypadek i są prawdziwymi żołnierzami 5 Boro. Amerykanom Polska bardzo się podobała, więc nie zdziwię się, kiedy zobaczę ich na naszych miejscówkach już za rok.

AFGANISTAN. ROK 1979
♪ ПУСТЫ ВСЕГДА ДУЮТ СОЛНЦЕ! ПУСТЫ ВСЕГДА ДУЮТ НЕБО! ♪
<ZAPALISZ, WOWA?>*
<DZIĘKI. W KOSZARACH SIĘ ODWDZIĘCZĘ - W NAJBLIŻSZYM CZASIE NIE BĘDĘ NARZEKAŁ NA BRAK FAJEK.>
<OOO? A JAKIM CUDEM?>
<TO PROSTE. WYGRAŁEM OD PAWŁOWA MIESIĘCZNY PRZYDZIAŁ PAPIEROSÓW. KARTA SZŁA MI JAK NIGDY!>
<A ŻEBYŚ WIEDZIAŁ, STIOPA! ŻEBYŚ WIEDZIAŁ!>
<ECH! Z CIEBIE TO FARCIARZ, WOWA! CHYBA ŻEŚ DUSZĘ DIABŁU SPRZEDAŁ, BO ZAWSZE JEST NA TWOIM>
WTEM!
PIERDUT!
CR

SCENARIUSZ: RAFAŁ SKARŻYCKI   RYSUNKI: TOMEK LEŚNIAK

<PIETIA!>
<AŁ!>
<TE SKURWY-SYNY ZABIŁY NASZYCH! WOWA, STIOPA! WSZYSCY NIE ŻYJĄ!>
<PAWŁOW?... CO CI?...>

WARSZAWA.
CZASY OBECNE.
NiiiiEEEEEEEm
CHU...
CHU...
CHU...
GYM
<DROGI PRZYJACIELU! OD PONAD 20 LAT
"JESTEŚ MOIM DŁUŻNIKIEM. NAJWYŻSZY
CZAS SIĘ ROZLICZYĆ. DAM CI ZNAĆ KIEDY
I JAK.
WOWA>"

W TYM SAMYM CZASIE, ZUPEŁNIE GDZIE INDZIEJ...
OCH! OCH! OOOOOOOH! ...
ACH! ACH! AAAAAACH! ...
SALON
ECH! ECH! EEEEECH! ...
MASAŻ
AŁĆ! OJ! AŁA! BLIAD'! ALE TY OSTRYJ JESTEŚ!
SIE WIE, MALEŃKA... OSTRZEJSZEGO ODE MNIE TU NIE BYŁO...
RE LAX XXX
SALON ODNOWY BIOLOGICZNEJ
ALE CHYBA JAKOŚ SOBIE PORADZIMY, CO?
HI! HI! HI! HI! KANIESZNO!
WTEM
KURWA! PO POLSKU MÓW! PO POLSKU!
MASAŻ
IZWINITIE! JA NIE PANIMAJU!
?!?

C.D.N.

WWW.TOPLOGO.PL

toplogo

WYŚLIJ SMS 7316

SUPER TRUETON KONJO

nr melodii

Mega show... PHASL.651166

HASL.261893 PHASL.256585

TRUE TONY SMS 7316

Wiadomość dla Ciebie	PHASL.650026
Imprezka	PHASL.650754
Krowy na pastwisku	PHASL.650263
Zegar z kukułką	PHASL.650269

Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki True Tone. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat.0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

UPER DZWONKI MONO 7216 POLI 7516 REAL SOUND 7316

POLECAMY	MONO	POLI	REAL SOUND
estem szejkiem	PHASL.212483	PHASL.6062S2	
namy się mało	PHASL.212482	PHASL.606251	
aką siłę ma tajemną...	PHASL.212480	PHASL.606249	
`m bored, człowieku	PHASL.212477	PHASL.606246	
o to za miejsce	PHASL.212468	PHASL.606237	
ara Z Zielonej Herbaty	PHASL.211813	PHASL.605702	
en Czas W Tym Miejscu	PHASL.211812	PHASL.60S701	
yć albo nie być	PHASL.211797	PHASL.605686	

SUPER HITY	MONO	POLI	REAL SOUND
późniona Kolacja	PHASL.211506	PHASL.605453	
ummer Patrol	PHASL.211606	PHA5L.605531	PHASL.6S1609
dealu potęga	PHASL.206178	PHASL.601498	
alo kochanie	PHASL.211070	PHASL.60S119	PHASL.6S1317
o dla słuchaczy	PHASL.206220	PHASL.601456	PHA5L.651448
ak zapomnieć		PHASL.601346	PHASL.651429
okaut techniczny	PHASL.206773	PHASL.601935	
Vhen I`m Gone	PHASL.212662	PHASL.606373	PHASL.651318

wonek monofoniczny: SMS 7216 dostępne na telefony: Nokia PHASL.numer_obiektu, Siemens PHASL.Snumer_obiektu, Motorola PHASL.Mnumer_obiektu, dzwonek monofoniczny EMS PHASL.Enumer_obiektu. Koszt SMS'a: 2,00 - 2,44 PLN z VAT 0-281-750 (1,05 -1,20 PLN/min z VAT)

wonek polifoniczny: SMS 7516 dostępne na telefon obsługujący dzwonki polifoniczne. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści ASL.numer_obiektu (np. PHASL.605896) Koszt SMS'a: 5,00 - 6,18 PLN z VAT. 0700-508-508 (koszt: 3,00 - 3,66 PLN/min z VAT)

al Sound: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki Real Sound. Aby pobrać dzwonek wyślij SMSa o treści: ASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat. 0700-380-705 (1,69 -2,06 PLN/min z VAT)

TY TRUE TONE SMS 7316

OLECAMY	NR MELODII	TOP HITY	NR MELODII
ielefon gamoniu!	PHASL.650972	Nie chcem ale muszem	PHASL.650977
głuchłeś czy co?	PHASL.650957	Nie masz litości....?!	PHASL.650960
e pal głupal	PHASL.650967	Do it! Matołku Do it!	PHASL.650954
e masz wyjścia...!	PHASL.650951	Aaaaa tam cicho być !	PHASL.650966
ja sobie robisz?!?	PHASL.650959	Dam Ci radę koleżko...!	PHASL.650953

True Tone: SMS 7316 dostępne na telefon obsługujący dźwięki [illegible] PHASL.numer_obiektu. Koszt SMS'a: 3,00 - 3,66 PLN z Vat 0700-380-[illegible]

OLOROWE TAPETY SMS 7516

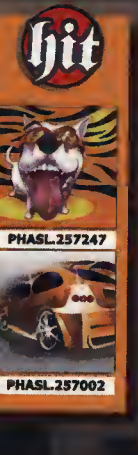

PHASL.257247

PHASL.257002

PHASL.256160 PHASL.256730 PHASL.260225 PHASL.258403 PHASL.256618

PHASL.259815 PHASL.255164 PHASL.263767 PHASL.258863 PHASL.263765 PHASL.260630

PHASL.256841 PHASL.256788 PHASL.256174 PHASL.258717 PHASL.259809 PHASL.257011

PHASL.260042 PHASL.257060 PHASL.256817 PHASL.257250 PHASL.263764 PHASL.256587

e Tapetki: SMS 7516 Tapety dostępne na telefon z kolorowym wyświetlaczem. Aby pobrać tapetkę wyślij SMSa o treści: mer_obiektu (np. PHASL.257076). KOSZT SMS'a: 5,00 - 6,18 PLN z Vat. 0700-508-50 (koszt: 3,00- 3,66 PLN/min z VAT)

AT SP. Z O.O. Informacje o promocjach: SMS o treści ZGDDA na numer 3232. Chcesz zrezygnować z otrzymywania ofert: SMS o treści WYPISZ 3232. Reklamacje: 0700 188-506 lub biuro@phonesat.pl

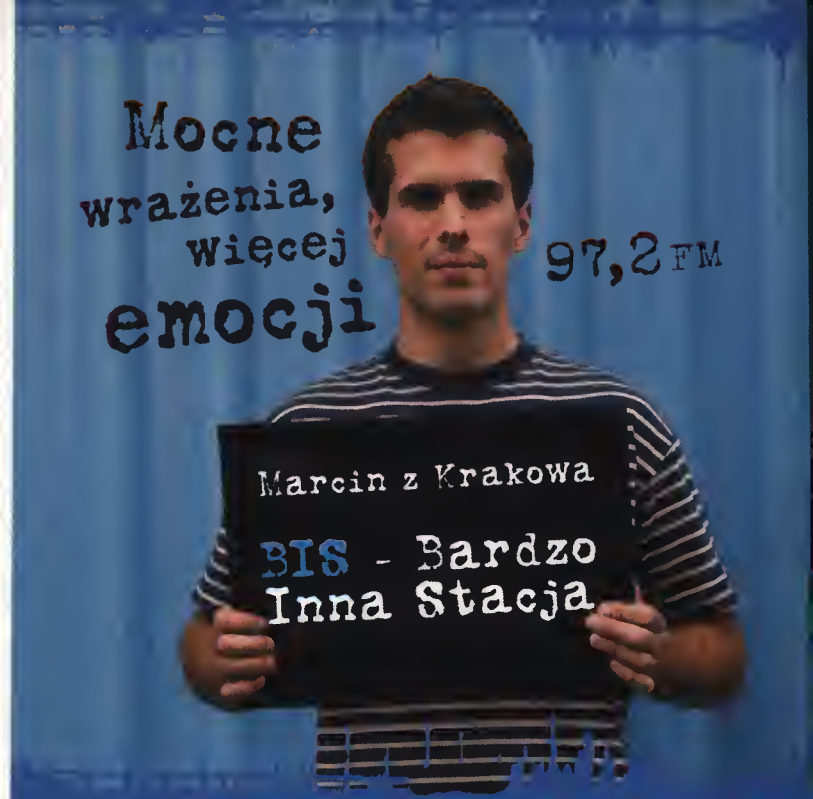

Białogard 106,0/Białystok 91,1/Bielsko Biała 104,5/Bogatynia 92,8/Bydgoszcz 106,6/ Ciechanów 95,5/Częstochowa 87,5/Elbląg 101,2/Gdańsk 93,4/Giżycko 92,6/Iława 102,7/ Kędzierzyn - Koźle 97,3/Kalisz 94,2/Katowice 105,6/Kielce 87,6/Kłodzko 97,6/ Kraków 97,2/Krynica 98,4/Lębork 107,5/Lublin 99,0/Łowicz 101,6/Łódź 107,8/ Olsztyn 97,9/Poznań 100,2/Płock 92,2/Rabka 93,4/Radom 104,6/Ryki 88,7/ Rzeszów 91,5/Siedlce 88,3/Słupsk 106,8/Stalowa Wola 97,7/Szczecin 88,4/Tarnów 91,1/ Wałbrzych 87,9/Warszawa 104,9/Wrocław 107,5/Zamość 87,6/Zielona Góra 105,0/ Żagań 104,7/

BISMS 2100
• polskieradio.pl/bis

bis POLSKIE RADIO

recenzje wszelakie

AZUMI

REŻYSERIA: RYUHEI KITAMURA

ANIME GATE

W feudalnej Japonii pod okiem starego mistrza miecza grupa młodzieży szkoli się na perfekcyjnych zabójców. Razem mają powstrzymać trzech możnowładców, usilnie knujących wojnę. Najpojętniejszą adeptką morderczego rzemiosła jest Azumi – drobna dziewczynka, która z pozoru wygląda na niewinną lolitkę, lecz wkrótce skąpie we krwi całe tuziny wrogów. Zrobi to zresztą w imię pokoju. Niezły paradoks. Na pierwszy rzut oka „Azumi" to takie japońskie „Hero", olśniewające spektakularnymi scenami walki i pięknymi plastycznie kadrami. Film Kitamury nie ma jednak ambicji stania się wielkim orientalnym moralitetem. To po prostu zrealizowana z kolosalnym rozmachem, pełna akcji feeria. Maniacy japońskiego kina oglądają ją na klęczkach, ale ja sugeruję raczej wygodnie rozsiąść się w fotelu i zanurzyć w na poły fantastycznym, na poły realnym świecie „Azumi". Tym bardziej, że mimo fontann krwi i stosów trupów, jest w tym obrazie wiele scen autentycznie pięknych. /Sebastian Rerak/

FURY, CZĘŚĆ 4

SCENARIUSZ: GARTH ENNIS
ILUSTRACJE: DARICK ROBERTSON, JIMMY PALMIOTTI

MANDRAGORA

komiks

Nick Fury jest byłym asem wywiadu, zgorzkniałym mężczyzną po przejściach, dla którego czas stanął w miejscu jeszcze przed końcem Zimnej Wojny. Tymczasem nadarza się sposobność odzyskania dawno utraconej chwały w wielkiej misji, a raczej prywatnej wojnie z pewnym niecnym wichrzycielem. Jeśli to brzmi zachęcająco, to spieszę już z kubłem zimnej wody. Mini-seria „Fury" to zdecydowanie najsłabsze dzieło Ennisa, który kiepski, jakby napisany na kolanie scenariusz stara się rekompensować epatowaniem przemocą i wynaturzeniami. Koszarowe słownictwo też nie zaszokuje nikogo, kto choć raz nie przechodził obok placu budowy. Miał być ostry komiks sensacyjny, wyszło stuningowane „G.I. Joe" dla czytelnika o silnym żołądku i pustej głowie. /Sebastian Rerak/

PREY

HUMAN HEAD STUDIOS / CENEGA

No i doczekaliśmy się, chciałoby się powiedzieć. Tylko że pewnie 99 procent graczy zapyta się: ale na co? To prawda, pierwsze zapowiedzi „Prey" pojawiły się tak dawno (około 10 lat temu!), że nikt o zdrowych zmysłach nie pamiętał już nic. Bo co tu pamiętać: jakieś screeny, krótkie info? No, może fakt, że przy tej grze maczały swe lepkie palce firmy odpowiedzialne za nieukazanie się nigdy gry Duke Nukem Forever (ktoś jeszcze na nią czeka?). Wracajmy jednak do „Prey". Nie ma co ukrywać, gra wymiata. Choć i komputer, który wymiata, też się przyda. Prey to fps z bardzo interesującym scenariuszem, fajnym bohaterem z niekonwencjonalnymi tekstami (kłania się Duke Nurem; zresztą kilka innych rzeczy w Prey też przypomina Księcia, jak np. mini-gierki), super grafiką – co by nie mówić, w końcu to silnik Dooma 3. Nic, tylko tę grę kupić, choć cena najniższa nie jest... Gad

GARFIELD. SKARBIEC, TOMY 3 & 4

SCENARIUSZ I ILUSTRACJE: JIM DAVIS

EGMONT

komiks

Garfield jaki jest, każdy wie. Krnąbrny, leniwy, pyskaty, niezdyscyplinowany, złośliwy, gruby itd. Prawdziwa kocia zmora dla swojego właściciela, Jona Arbuckle'a i całego otoczenia. Pomimo tylu przywar (a może właśnie dzięki nim), Garfield jest – jak wieść niesie – najsłynniejszym kotem świata. Jim Davis, autor postaci rudego kocura, pracował na popularność swego bohatera tysiącami komiksowych pasków, zamieszczanych przez ponad 25 lat na łamach różnych tytułów prasowych. Cykl „Skarbiec" kompletuje mini-historyjki powstałe w latach 80., zazwyczaj niepublikowane wcześniej w Polsce. Dla „garfieldologów" wielka gratka. Pozostali powinni przeczytać, zanim wybiorą się do kina, by obejrzeć kolejną nieudaną próbę przeniesienia Garfielda na srebrny ekran. Rudzielec o wiele lepiej sprawdza się jednak w komiksie. /Sebastian Rerak/

KOBIETA W BŁĘKITNEJ WODZIE

REŻ M. NIGHT SHYAMALAN

WARNER CINEMA

M. Night Shyamalan tym razem nie chce nas zbytnio wystraszyć. Nie będę streszczał akcji, bo tego z jego filmami się po prostu nie robi, by nie psuć widzom zabawy. Powiem tylko, że reżyser tradycyjnie zrobił kino obyczajowe z dużą dawką niesamowitości, ale w familijnej prawie, bliskiej baśni estetyce. Ten film z pewnością podzieli jego fanów, nie tylko nawet dlatego, że nieoczywistość jest już zupełnie oczywista, a fabuła nasuwa na myśl stare gry przygodowe, gdzie rozwiązania problemów są tyle ciekawe, co skrajnie naciągane. Bardzo ryzykowne jest poczucie humoru: sięga mocnej autoironii, prześmiewa zarówno krytykę filmową, jak i gamoni notorycznie

czarno widzę

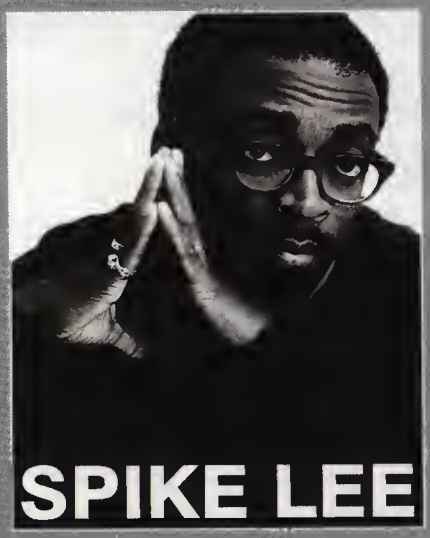

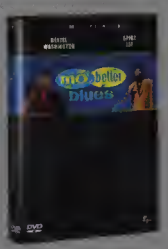

MO' BETTER BLUES

REŻ. SPIKE LEE

ITI

Kiedy „Mo' Better Blues" i recenzowany obok „Crooklyn" pojawiły się w ofercie wakacyjnej firmy ITI, w środowisku krytyków filmowych zorientowanych na kulturę afroamerykańską (czyli mnie i Sztybora) zawrzało. Okładki obu filmów są utrzymane w identycznej tonacji, na obwolutach widnieje napis „Kolekcja Spike'a Lee", toteż przypuszczaliśmy, że wraz z planowanym na wrzesień wydaniem „Planu doskonałego" wejdą one jeśli nawet nie w skład większej kolekcji, to chociaż trójpaku. Niestety, niedługo po tych domysłach ITI pokazał publicznie okładkę „Planu..." i już stało się jasne, że najnowszy film Spike'a nie będzie w żaden sposób powiązany z „Crooklynem" i „Bluesem". Zasięgnąłem języka u rzeczonego dystrybutora i na dobitkę okazało się, iż poza tymi trzema tytułami firma nie planuje na razie wypuszczenia na nasz rynek innych filmów reżysera – ani oddzielnie, ani w zestawie. Tymczasem 18 września na zachodzie (i częściowo wschodzie) Europy ukazał się wypasiony „The Spike Lee Joint Collection" z pięcioma filmami bodaj najbardziej reprezentatywnymi dla twórczości Spike'a. I co się okazuje? Polskie wydania „Mo' Better Blues" i „Crooklyn" pochodzą właśnie z tego box setu! Dlaczego więc dystrybutor nie ściągnął pozostałych, czyli „Do The Right Thing", „Jungle Fever" i „Clockers"? Dlaczego wszędzie, tylko nie do nas? Czysta granda i kolejny dowód na pokrętną, niezrozumiałą logikę i logistykę rodzimych molochów dystrybucyjnych (jesteśmy bodaj jedynym krajem, w którym wydaje się sequele przed pierwowzorami, a serie filmowe rozpoczyna często od części trzeciej). Rozpisałem się na temat w sumie tylko okotofilmowy, ale żal ścisnął mi dupę tak mocno, że nie widzę już rowka, a poza tym postanowiłem wyjątkowo zrezygnować z pełnoprawnej recenzji w „Czarno widzę" i zapewnić Spike'owi prócz artu także hattrick w dziale DVD. Słów więc kilka o samym „Mo' Better Blues", który jest na szczęście filmem na tyle nieskomplikowanym, że prawdę mówiąc nie wymaga szczegółowej analizy. Tak jak

„Crooklyn" stanowi odę do rodziny, tak „Mo' Better...", czego nietrudno się domyślić już po samym tytule, jest przede wszystkim peanem na cześć muzyki. Dramatyczne, zabawne i milosne (Denzel rozdarty pomiędzy dwiema kobietami) perypetie bohaterów są tylko pretekstem służącym reżyserowi do oddania hołdu ukochanemu jazzowi oraz odwzorowania klimatu muzykowania w zadymionych klubach. Żeby dobrze się na tym filmie bawić, musisz po prostu... czuć bluesa! W przeciwnym razie możesz sobie śmiało odpuścić zakup.

CROOKLYN
REŻ. SPIKE LEE
ITI

Nieformalna autobiografia Spike'a Lee, najbardziej osobisty z jego filmów. Opowieść o przeciętnej afroamerykańskiej rodzinie – matce nauczycielce, ojcu niespełnionym muzyku jazzowym i piątce dzieci – która dzieli ze sobą troski i radości dnia codziennego na Brooklynie lat 70. Scenariusz napisał reżyser wraz ze swoim rodzeństwem – Joie i Cinqué Lee, których zresztą od początku kariery regularnie umieszcza na drugim planie swych dzieł. Nie ma w „Crooklynie" takich emocjonalnych wstrząsów i powalających kreacji aktorskich jak w „Rób, co należy", są natomiast jak zwykle celne obserwacje społeczne, jest hołd dla rodzinnych wartości i wyśmienita muzyka (Sly Stone, Curtis Mayfield, Smokey Robinson, Stevie Wonder). Nawet jeżeli nie wychowało się w nowojorskich slumsach, ogląda się to i słucha tego z przyjemnością i nostalgią. Oczywiście jeśli tylko posiada się wrażliwość estetyczną wykraczającą ponad telediyski Gosi Andrzejewicz. Dla fanów kina czarnych – obowiązek, dla reszty – na własne życzenie.

PLAN DOSKONAŁY
REŻ. SPIKE LEE
ITI

„Plan doskonały" jest takim „Bez przebaczenia" filmów o napadzie na bank. Czyli obraz wywracający do góry nogami założenia gatunku, pozostający jednocześnie wręcz wzorcowym jego przykładem. To wszystko dzięki błyskotliwemu scenariuszowi Russella Gewirtza, który wodzi widza za nos do ostatniej chwili, co i rusz zastępując spodziewane szablony nieoczekiwanymi zwrotami akcji. A także dzięki talentowi Spike'a Lee, który nawet do stricte rozrywkowego filmu potrafi wpleść – w ironicznych, dowcipnych dialogach bohaterów, w niby nieznaczących scenkach obyczajowych, nawet w muzyce Terence'a Blancharda – kolejny odcinek swej niekończącej się sagi o Nowym Jorku. Osobom zarzucającym reżyserowi, że się sprzedał, proponuję strawesfowanego one-linera, jaki wypowiada grany przez Denzela Washingtona detektyw Frazier: „Nie bierzcie tego do siebie, ale możecie mnie pocałować w moją czarną dupę". Równie bezkompromisowe i w stylu dawnego Spike'a, co – wbrew pozorom – sam film.

recenzował Piotr Dobry

nadużywających zielonych specyfików czy stereotypy rasowe. Zabawne, ale jak ma się to do klimatu filmu? No, nijak właśnie. Z tym że nawet jeśli Shyamalan robi bałagan, to jest to bałagan sprawny warsztatowo i oparty na dobrych aktorach. Giamatti i Howard błyszczą na pierwszym planie, Bałaban na drugim. Jeżeli widz odporny jest na naiwność i podejdzie do tej produkcji z dystansem, naprawdę nie ma powodu, by wyszedł z kina niezadowolony. **(flint)**

KARAS
REŻYSERIA: KEIICHI SATO
ANIME GATE

Szefostwo wytwórni Tatsunoko (która wyprodukowała m.in. „Załogę G" i „Teknomana") odgrażało się, że „Karas" będzie pierwszym w historii serialem anime o budżecie filmu kinowego. Zapowiadano także przełom w łączeniu technik animacji 3D z klasyczną „dwuwymiarówką", ale ten mariaż okazał się znacznie mniej intrygujący niż fabuła serii. Pod powierzchnią prostej i nieco infantylnej opowieści o Karasie – nadludzkim, robotopodobnym obrońcy Tokio – i jego walce z geniuszem zła, Lordem Eko, kryje się intryga tak skomplikowana i wielopoziomowa, że gdyby był to komiks, nie obyłoby się bez specjalnych didaskaliów (jak np. w „Ghost in the Shell"). Autorom scenariusza, Masayi Hondzie i Shinowi Yoshidzie, udało się połączyć w zgrabną całość wątki horroru, kryminału i fantasy, odwołać się do japońskiej mitologii i współczesnej popkultury, a całość uczynić przystępną zarówno dla piętnastoletniego fana gier na Playstation jak i doktoranta w instytucie japonistyki. I szczerze mówiąc, to stanowi siłę tego filmu, a nie bajeranckie sceny, w których Karas i Lord Eko biorą się za łby. Z niecierpliwością czekam na kolejne odcinki, bo to, co widziałem do tej pory, robi wrażenie. **/Sebastian Rerak/**

SANDMAN. PRELUDIA I NOKTURNY
SCENARIUSZ: NEIL GAIMAN
ILUSTRACJE: SAM KIETH, MIKE DRINGENBERG, MALCOLM JONES III
EGMONT

Zbiorcze wydanie dwóch pierwszych historii o Władcy Snów czyta się z zapartym tchem. Ale tylko ze względu na scenariusz, bo ten – jak to u maga Gaimana jest w zwyczaju – ociera się o geniusz. Autor przedstawia nam Sandmana (a przy okazji i Śmierć, jedną z jego sióstr), mamy okazję odwiedzić go w jego krainie, to znowu wizytujemy wraz z nim Piekło. Gaiman bezbłędnie swata ze sobą elementy horroru i fantasy, a przy okazji przyzywa ducha tradycyjnych „opowieści niesamowitych" czy nawet angielskiej powieści gotyckiej. Przy całej mnogości nawiązań kulturowych i religioznawczych komiks o Sandmanie okazuje się także wyjątkowo atrakcyjną rozrywką. Jedyne co psuje przyjemność z jego czytania, to fatalne ilustracje, o których lepiej pisać jak najmniej, bo rozdźwięk między nimi a scenariuszem jest ogromny. „Preludia i nokturny" są więc jednym z tych komiksów, które czyta się dla samej treści, bo choć koszmarnie ilustrowane, mają do opowiedzenia wspaniałą historię! **/Sebastian Rerak/**

RED ORCHESTRA: OSTFRONT 41-45
TRIPWIRE / CENEGA

Dawno nie miałem okazji popisać sobie trochę o Unrealu (a nowy Tournament dopiero w 2007...). Przy Red Orchestrze przynajmniej będę mógł wspomnieć, iż bazuje ona na silniku UT2k3. Bez wątpienia starym unrealowcom tytuł ten wcale nie jest obcy, a to dlatego, że tak właśnie nazywał się mod do tej gry rozgrywający się na froncie wschodnim podczas drugiej wojny światowej. Mod okazał się na tyle interesujący, że ukazał się w wersji komercyjnej (cena naprawdę przystępna), oczywiście z odpowiednio podrasowaną grafiką, dźwiękiem itd. Red Orchestra to sieciowy fpp osadzony w realiach drugiej wojny światowej i... bardzo realistyczny. Tak więc zwolennicy czystej i nieskrępowanej rzezi a la Unreal Tournament czy Quake raczej powinni troszkę potrenować z botami, zanim wejdą na jakiś serwer. W samej grze zwraca uwagę na siebie strefa trafień – dobrze dopracowano system trafień w nogi, czyli dostajesz w główkę to trup, w nogi – ledwo się wleczesz itp. Cóż więcej rzec? Myślę, że jeśli ktoś będzie zainteresowany, to może też ściągnąć gdzieś z sieci starsze, darmowe wersje RO. **Gad**

SIN CITY. TRUDNE POŻEGNANIE / GIRLSY, GORZAŁA I GIWERY
SCENARIUSZ I ILUSTRACJE: FRANK MILLER
EGMONT

Czy po premierze filmowej adaptacji „Sin City" jest jeszcze ktoś, dla kogo ten komiks jest kompletną enigmą? Jeżeli tak, to najwyższa pora na zawarcie znajomości z wielkim dziełem Franka Millera. „Sin City" to komiksowy czarny kryminał, napisany według chandlerowskich kanonów, ale przeniesiony do współczesnej betonowej dżungli tytułowego grzesznego miasta. Miasto owo zaludnia cała galeria tragicznych postaci – sterani życiem mężczyźni i złe kobiety. Mroczna zawiesina dusznego klimatu przesiąkniętej zbrodnią metropolii dosłownie sączy się z kadrów, wspaniale odmalowanych przez Millera w czerni i bieli. Obie recenzowane tu części cyklu zostały właśnie wznowione w edytorsko wypasionej edycji. Tu nasuwa się pytanie do wydawcy – czy nie można było przy okazji postarać się o nowy przekład, skoro nad tym (zanadto swobodnym) ubolewało tylu czytelników? Mimo tego zastrzeżenia, absolutny klasyk. **/Sebastian Rerak/**

recenzje muzyczne

DINAL
W STREFIE JARANIA I STREFIE RYMOWANIA
DINAL1982.COM

Winyl, który przywraca rapowi jaja, zajawkę i szacunek do samego siebie. Wanxx, naczelny raper opolskiej grupy, ma swój zestaw patentów na akcentowanie i zabawę słowem (mówi wam coś słowo „homonimia"?). Ma też ten leniwy flow, który lubisz albo nie, ale wreszcie jest w nim charyzma. I co ważne, osobowość. Rezultat jest świetny – nikt tak logicznie i precyzyjnie nie łączy techniki z treścią. Prostota beatów Urba jest równie pozorna jak chaos tych Meja. Pięknie to wszystko płynie, a co więcej, jest świeże, nieskażone polskim podejściem. Zabrzmi banalnie, ale dużo w tym rytmu i muzyki. Niestety, kolejny raz Dinal daje materiał nienajlepiej zrealizowany – zdarza się, że sample są za głośno, cuty za cicho, a wokale bywają nie do końca czytelne. Ci, których nie porwie klimat płyty, mogą irytować się, że poza Wanxxem, raperzy w Dinalu nie wydają się traktować swojego rapu zbyt serio. Może pocieszy ich gościnna zwrotka Lilu (dawno nie miała lepszej) i Zkibwoya? Ja cieszę się, iż słychać tu, że rap to zabawa wciąż. **(flint)**

METHOD MAN
4:21... THE DAY AFTER
DEF JAM / UNIVERSAL

Charyzma, wielki talent, niesamowity, zapadający w pamięć głos i niegłupie wersy to niestety nie wszystko. Method Man wykazuje – niezwykłą wręcz jak na typa z takim potencjałem – przypadłość nagrywania przeładowanych, nudnych płyt. Co z tego, że mamy tu dużo świetnych bitów Ericka Sermona, RZY i innych mistrzów, skoro sprawę psują Scott Storch (przesyt!), Havoc i grupka mniej znanych producentów? Co z tego, że są tu momenty wręcz rozsadzające głośniki („Problem", „The Glide", „Got To Have It"), jeśli chwilę później słyszymy zamulacze z domieszką kiepskiego r&b i nudnawego rymowania?! W sumie nic z tego, tyle że mi się tej płyty słuchać nie chce. Zdecydowanie za długa, zdecydowanie za rzadko pochlaniająca naszą uwagę w całości, zdecydowanie za słaba w kontekście związanych z nią oczekiwań. **Andrzej Cała „Machina"**

BOOT CAMP CLICK
THE LAST STAND
DUCK DOWN

Miał być wielki powrót z brzmieniem prosto z początku lat 90., a dostaliśmy płytę, gdzie mc's – którzy przecież, do cholery, są powyżej „średniej krajowej" – raczej ścigają się ze sobą zamiast porządnie płynąć, komponować się w kawałki i tworzyć zwartą całość. Zdecydowanie natomiast powyżej średniej krajowej są niewątpliwie bity na tym albumie. Sięgnięcie po undergroundowe zaplecze w postaci Marco Polo czy Illminda i dorzucenie kilku mistrzów bitmaszyn jak Pete Rock czy Beatminerz uratowało tę płytę od klapy. Podkłady bujają jak trzeba, głowa kiwa się aż miło, a melodie zostają w niej na dłużej niż czas słuchania. Jednak główni bohaterowie raczej zawiedli. Zdarzają się mistrzowskie pancze, flow daje radę (choć mogło być lepiej), ale ogólne wrażenie mocno rozczarowuje. Niestety. Powrót niezłym albumem i nic więcej. **Med**

MISSY ELLIOTT
RESPECT M.E.
WEA

Takie płyty recenzuje się najlatwiej. Nie dość bowiem, że jest to składanka największych przebojów Missy Elliott, to nie ma na niej ani jednego premierowego tracku, nad którym można by się ewentualnie dłużej zatrzymać – co niewątpliwie jest minusem tej kompilacji. Jedynym minusem. Mamy tu albowiem przegląd niemal wszystkich (oprócz czterech) singli raperki z jej dotychczasowych sześciu solówek. Od „The Rain" począwszy, poprzez „She's A Bitch", „4 My People" aż po świeższe kawałki w stylu „Lose Control". Pozycja ze zrozumiałych względów nie jest raczej skierowana do fanów raperki, bo ci przecież wszystkie zgromadzone tu numery posiadają na poprzednich płytach, ale ktoś, kto chce mieć wszystko co najlepsze od Missy, powinien sobie sprawić prezent w postaci „Respect M.E." Warto. **GRB**

OBIE TRICE
SECOND ROUND'S ON ME
SHADY RECORDS

Obie daje radę. Płyta jest całkiem miła i słucha się jej z przyjemnością. Inna sprawa, że nie wyróżnia się zupełnie niczym spośród tysiąca podobnych mainstreamo-

newsy

Witam. Wiecie, co jest straszne? Że nie przyszło mi do głowy nic wystarczająco głupiego, by zasługiwało na publikację we wstępie do niniejszej, najbardziej poczytnej części „Ślizgu". O jakiś pikantny żart o Flintstonie postaram się za miesiąc, bo chłopaka nie będzie w redakcji przy zamykaniu numeru, stąd nie zaingeruje w zamieszczane treści. Tymczasem nie przedłużam, bo i informacji do przekazania jest całkiem sporo. Jot.

Nową płytę **Peji** będziecie mogli nabyć już niebawem, bo mniej więcej w połowie października. „Szacunek ludzi ulicy" zawierać będzie około 80 minut różnorodnego muzycznie i tekstowo materiału w większości wyprodukowanego przez DJ'a Decksa. Oprócz niego za produkcję odpowiadają Magiera, L.A., Sqra, Waco, DJ Zel i inni. Gości żadnych nie będzie – poza wokalistką o pseudonimie Layla. Wydawcą i dystrybutorem materiału będzie Fonografika. SLU powraca, dzieciaku.

Powraca również **Ewenement/Molesta**. Po długim oczekiwaniu, kiedy wszyscy zastanawiali się, co, gdzie, kiedy i jak, możemy przedstawić wam szczegóły. Vienio (na zdjęciu), Pelson, Włodi i Wilku planują wydanie płyty „Nigdy nie mów nigdy" na początek listopada. Krążek ukaże się nakładem Respekt Records. Na featuringach mamy Eldo, Jamala, Korasa, Pjusa i Setkę, a wśród producentów można wymienić choćby Wicha, Mazsę, Erio czy White House. Niedowiarków zaś zapraszamy serdecznie na zerknięcie na 77 stronę naszego magazynu.

A teraz oddaję na moment lamy redakcyjnemu koledze. Kiedy czytacie te słowa, w sklepie już jest sampler prosto z **Waco Records**. 8 kawałków za 8 pln. Bardzo uczciwa propozycja, zwłaszcza że beaty są bardzo dobre. Ucieszą fanów starego Waco, ale i klimatów będących obecnie na fali. To brzmienie kopie w tyłek. Producent wyjął dwa fajne, nagrane na swoich podkładach numery z płyt Hardkorowego Brzmienia i Wojtasa, dorzucił prawdziwą petardę w postaci numeru z Wilkiem i Włodkiem, udaną, męską kooperację Peji z Instynktem, przebojowe ragga Junior Stressa. Co jeszcze? KS76, Wysoki Lot i Łukasyno – to akurat dobre dla tych, którzy patrzą na rap głównie przez pryzmat hardkoru, ulicy i prawdziwości. **(ef)**

Ciekawy krążek szykuje dla nas **ZagMadFany**, znany niegdyś z Parafuna. Już kiedyś o tym wspominałem na łamach newsów, ale teraz mam dla was konkrety, bo płyta powinna ukazać się już całkiem niedługo. Jej tytuł to „The Dobrze", a promować ją będzie singiel „Reaguje" oparty na samplu z kawałka „Nie wolno" z repertuaru grupy Daab. Na albumie pojawią się gościnnie chłopaki z Hemp Gru, Siła Dźwięku, Numer Raz, Marika i Dr. Ko (czyli były partner Fanego z Parafuna, Zwierzak). Do tego skrecze od DJ'a DFC i bity Mario, Tresperros i Roberta D.

Nowy album zapowiedział również **Fu**. Raper nie będzie już wydawał w Baza Label, bo od tej pory jego materiałem zajmie się – co nie stanowi raczej niespodzianki – wytwórnia Prosto. Krążek ma już tytuł, będzie nazywać się „Krew i dusza". Jego producenci to Siwers, WRB, Sherlock, Jamal, Dreadsquad i inni, a na majku gościnnie wystąpią Koras, Juras, Rocca, Sokół, Peja, Chada, Miodu, Czarny, Siwers i inni.

Biedny **Lil' Flip** po raz drugi nagrywa swój krążek „I Need Mine". Jego pierwsza wersja tradycyjnie dla amerykańskich płyt wydawanych w majorsach przeciekła do Internetu, kiedy raper był akurat w trakcie negocjowania warunków kontraktu z nowym wydawcą (zmienił Sony na Warnera, a dokładnie jego sub-label Asylum). W związku z tym płyta, na którą czeka wielu fanów Flipa, nie otrzymała jeszcze nowej daty premiery.

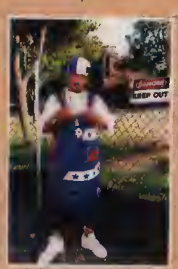

Peedi Peedi, wokół którego powstało ostatnio zamieszanie w związku z jego rzekomym dołączeniem do składu The Roots (wciąż nie ma na ten temat oficjalnego komunikatu ani sprostowania), nie bacząc na nic nagrywa solowy album. Krążek ma wyjść w przyszłym roku, a póki co musimy się zadowolić singlem „Take Me Home" w duecie z Megan Rochell. Płytę Peediego wyda Def Jam.

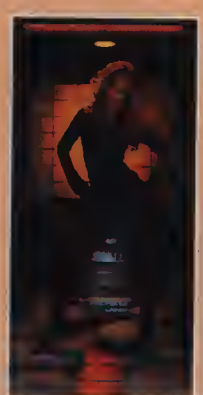

Ostatniego dnia sierpnia na wielkiej gali w Nowym Jorku rozdano nagrody **MTV Video Music Awards**. Nagrodę za najlepsze video rapowe niespodziewanie otrzymał Chamillionaire (za „Ridin' Dirty"), który był tak zaskoczony, że wyglądał, jakby się miał zaraz popłakać ze wzruszenia. Najlepszym teledyskiem w kategorii r&b wybrano „Check On It" Beyonce (na zdjęciu), a w kategorii hip-hop wygrali Black Eyed Peas ze swoim numerem „My Humps". Ktoś w MTV najwyraźniej nie odrobił lekcji – oddzielne kategorie dla rapu i hip-hopu?!

wych albumów, no może jest odrobinę ponad przeciętną. Trice potrafi fajnie pokombinować flow, zdarza mu się konkretny punchline, ale co z tego, kiedy każdy z gości zaproszonych na ten album (50 Cent, Eminem, Big Herk) zjada go na jego własnej płycie. Krążek jest przebojowy, ale produkcje Eminema naprawdę potrafią wkurzyć, bo nie różnią się od siebie prawie w ogóle. Na pochwałę zasługują takie kawałki jak „Violent", „Wanna Know" (produkcja Emile'a) czy „All Of My Life" (na bicie Trella), ale dużo kawałków jest też upchniętych i niepotrzebnych. No i taka to jest właśnie płyta... Niezła i nic więcej. Ot, do posłuchania 2, 3 razy i odstawienia na półkę. **Med**

RICK ROSS
PORT OF MIAMI
DEF JAM

Co z tego, że Ross mocno koloryzuje rzeczywistość, skoro przenosi nas do właśnie takiego Miami, jakim ekscytujemy się tylko w grach i filmach, i możemy wspaniale poczuć ten klimat. Co z tego, że nawija rzeczy takie jak „the world fucked up / that's why I stay fucked up / don't get fucked up / fuck with me, ya fucked up"? Z tak dobrym, głębokim głosem i uniwersalnym flow wolno mu. To nie jest rap do podziwiania, tego ma się przyjemnie słuchać. I słucha się – tak bezczelnie przebojowej płyty nie słyszałem od czasu „The Documentary" The Game'a. Skoro raper ma zadziorność, mistrzowskie wyczucie podkładu i poczucie humoru (posłuchajcie choćby, jak autoironicznie nawiązuje do swojej wagi), beaty płynnie przechodzą od słodkiego plastiku, przez funky, po miażdżące syntetyki (Cool & Dre dokonują tu cudów), to zupełnie nie przeszkadza mi jaranie się muzyką, przy której z powodzeniem mogą baunsować gospodynie domowe. Zgoda, może i „White House" to zbędny numer, a Rick potrafił już bardziej kombinować z nawijkami (np. przyspieszać je). Ale „Port of Miami" to i tak „Rosspierdol". **(flint)**

THE ROOTS
GAME THEORY
DEF JAM

Siódma studyjna płyta filadelfijskiego kolektywu ukazuje jego nowe/stare oblicze. Nowe, bo jeszcze nie było albumu The Roots, który byłby tak mroczny, przesycony pesymizmem i głębszymi przemyśleniami, jak ten. Funkcjonowanie mediów i amerykańskiego rządu, smutna rzeczywistość ulicy i przede wszystkim śmierć J Dilli wywarły najwidoczniej ogromny (może nawet zbyt duży) wpływ na członków zespołu, bo zdominowały tematykę „Game Theory". Stare - pod względem muzycznym, bo mamy tu do czynienia z perfekcyjnie dopracowanym żywym brzmieniem, którego starym fanom nieco brakło na ostatnich dwóch płytach kolektywu. Bębny ?uestlove'a (i w mniejszym stopniu Knucklesa), klawisze Kamala, bas Huba i gitara Kirka idealnie współgrają, przenosząc nas na powrót w lata 90., kiedy to The Roots szczycili się najlepszymi recenzjami, grali najbardziej „organiczną" muzykę i na wielu płaszczyznach stanowili awangardę mainstreamowego hip-hopu. Gdy do tego obrazu dodamy bodaj najlepsze w karierze zwrotki Black Thought'a, powrót w dobrym stylu Malika B i świetne gościnne występy choćby Dice'a Raw i Peediego – to otrzymujemy kolejny klasyk od The Roots. **Grabiszczy**

T.I.
KING
ATLANTIC / WEA

Samozwańczy król południa wraca z nowym albumem, o niebo lepszym od „Urban Legend". W sferze tekstowej nie należy się jednak spodziewać jakichkolwiek rewelacji. T.I. nie zmienił się nagle w uwrażliwionego emo hip-hopowca, tylko dalej robi swoje zmiatając wszystkie bity niepowtarzalnym flow. Na dolnej części mapy USA może się z nim równać tylko Big Boi. Snuje swoje opowieści o hustlerce, udanym życiu i niszczy wacków, którzy śmieją wątpić w jego legendarny status. Można by rzec, że nie wychodzi poza dobrze znany już słuchaczom schemat, ale on sprawia w tym wszystkim wrażenie autentycznego dużo bardziej niż na przykład taki 50 Cent. Docenił to nawet Common udzielając się gościnnie w jednym z kawałków. Żeby było ciekawiej T.I. dostał doskonałe bity. To co Just Blaze wyprawia w tytułowym numerze, to masakra. Mannie Fresh doskonale wypadł w „Top Back", a DJ Toomp zapewnił hitowy singiel, który wbija się do głowy i pozostaje w niej na bardzo długo. „King" to nie tylko doskonała uczta dla fanów brudnego południa, bo osoby omijające ten gatunek szerokim łukiem też znajdą tu coś dla siebie. Raper postawił na muzyczną uniwersalność i dlatego płyta się nie nudzi. **dill-o**

OUTKAST
IDLEWILD
LAFACE / ARISTA

Daleki jestem od nazywania tej płyty rozczarowaniem, ale nie do końca jest to krążek, na jaki czekali fani duetu. Po raz kolejny nie dostaliśmy albumu Outkastu, bowiem Andre 3000 i Big Boi na dobrą sprawę dali nam kompilację swoich solowych (lub w kolaboracjach z innymi wykonawcami) numerów, razem pojawiając się jedynie na 4 trackach. Takie małe oszustwo, mające na celu otarcie łez sympatyków zespołu, już rozpaczających nad nieuchronnym rozstaniem chłopaków z Atlanty. Widać bowiem postępujące różnice w ich podejściu do muzyki. Andre nadal brnie w swoje fascynacje funkiem i bluesem (to oczywiście nie grzech) i rzadko kiedy decyduje się na rapowanie, zdecydowanie częściej próbując ekspery-

mentalnych wygrzewów, które, niestety, stanowią najsłabsze ogniwo „Idlewild" (to już jednak grzech). Gwoli usprawiedliwienia warto dodać, że nie zatracił przy tym umiejętności tworzenia nowatorskich, przebojowych bitów – wystarczy posłuchać choćby singlowego „Morris Brown". Big stąpa z kolei twardo po ziemi, doskonaląc się nie tylko jako emce, ale i coraz wszechstronniejszy producent (numer „The Train"). To on i jego współdziałanie ze Sleepy Brownem i całym Organized Noize dźwiga ciężar jakościowy płyty. Może powinno być więcej współpracy między Dre i Big Boiem, może płyta powinna być krótsza... A może pora na solowe kariery? **GRB**

ALIAS & TARSIER
BROOKLAND / OAKLYN
ANTICON

Ech, Anticon... Zdziwaczali MC sporadycznie nagrywający wielkie płyty (jak „Selling Live Water" Sole'a) i wielcy producenci sporadycznie nagrywający zdziwaczałe płyty. Telephone Jim Jesus, Jel, a przede wszystkim Alias to naprawdę duże talenty. Ten ostatni tym razem wziął sobie do pomocy Tarsier – nowojorską wokalistkę grającą na instrumentach klawiszowych. Sam wykorzystuje żywe brzmienia, elektronikę, sample i nie uznaje gatunków, więc nie miał problemu. Na tej płycie komponuje ładne melodie, po czym zaburza sielankę – niespokojną rytmiką, brudem, niespodziewanym przejściem. Specjalizuje się w gwałtownej zmianie klimatów, bawi ze słuchaczem w piekło-niebo. Często więcej niż raz w jednym utworze. Tarsier zaś gra i miło nuci, z tym że przez całą płytę w ten sam sposób. Najwyraźniej treść jest dla niej ważniejsza. Tę trudno docenić, bo śpiewa wolniuteńko, zawsze z nałożonym pogłosem i krótkie wiersze rozciąga do minimum czterech minut. Składa się to wszystko na fantastyczną płytę na noc. Takie kołysanki dla socjopatów. Sądząc po wysłanym mi promo, wreszcie dostępne w Polsce. **(flint)**

CUT CHEMIST
THE AUDIENCE'S LISTENING
WARNER

Podobno dla tego krążka Cut Chemist porzucił Jurassic 5. Czy było warto? Raczej tak. Od kilku lat odczuwamy niedosyt dobrych albumów turntablistycznych. Oczywiście nie jest to płyta, która po włączeniu zacznie piszczeć, trzeszczeć i zgrzytać przez następną godzinę, wręcz przeciwnie. Popisy gramofonowe są jej olbrzymim atutem, jednak nie występują w nadmiarze. Całość jest utrzymana w klimatach znanych zarówno z albumów J5, jak i z innych projektów Chemista. Utwory są dynamiczne, łączą stylistykę elektro, tłustych podfunkowanych brzmień i gorących latynoskich rytmów ze świetnymi breakbeatami. A ciekawi goście (np. Mr. Lif czy Hymnal) stanowią raczej smaczek niż danie główne. Jest to doskonała pozycja dla miłośników klasycznego hip-hopu instrumentalnego spod znaku cut&paste. **cess**

JUSTIN TIMBERLAKE
FUTURESEX / LOVESOUNDS
SONY BMG

Nie waham się tego napisać – jesteśmy świadkami kolejnego przełomowego wydarzenia w dziejach współczesnej muzyki. Oto chłopiec kojarzony jeszcze kilka lat temu z N'Sync nagrał z pomocą Timbalanda odważny i wręcz genialnie eklektyczny album. Chwilami nawiązujący swoją stylistyką do estetyki Motown, nierzadko zahaczający o kiczowate, ale jakże chwytliwe, motywy plastikowego rocka lat 80., a wszystko to spięte klamrą futurystycznego r&b spod znaku Missy Elliott i Aaliyah. Obłędny singiel „Sexyback", dirty-southowe „Chop Me Up" z Three 6 Mafia i funkujące „Sexy Ladies" są najmocniejszymi punktami programu. Niewiele ustępują im „Damn Girl" – kolejny klubowy wymiatacz autorstwa Will.I.Am'a – oraz rozpoczynające album, tytułowe nagranie. Nie zdziwię się jednak, jeśli każdy z was znajdzie na tej płycie swojego faworyta zupełnie innego niż te wymienione przeze mnie. Justin Timberlake nie zmarnował czasu na warsztatach wokalnych i frywolnie bawi się formą, za nic mając jakiekolwiek szufladki i kanony. Genialne! **Andrzej Cała „Machina"**

BEENIE MAN
UNDISPUTED
VIRGIN RECORDS

Jak zły, wraca Beenie Man ze swoim nowym materiałem. Jest tu niesamowite nagromadzenie bangerów: „Dutty Wine Gal" (produkcja Scotta Storcha), „Girls" (produkcja Akona i jego wokal), „Chaka Dance", „Heart Attack" czy reggaetonowy „Fire" (z gościnnym udziałem Voltio). Produkcją oprócz wspomnianego Storcha zajął się również m.in. Don Corleone, znany choćby z riddimów dla Sizzli. Całe ciało zaczyna rytmicznie wibrować, a muzyka nie daje spokoju – ciężko rozstać się z tym uczuciem podczas słuchania „Undisputed". Do momentu... wyłączenia i posłuchania sobie chociażby poprzednika albumu, „Back To Basics". Nie ma tu takich hitów jak pamiętny „Dude". Podczas gdy tamten krążek był absolutnym klasykiem, ten jest po prostu bardzo dobrą produkcją. Powinni się chować Elephant Many, Ms. Thingi i wszelkie tego typu gwiazdy, bo prawdziwy król dancehallu nazywa się od lat Beenie Man. **(EST)**

Tymczasem na zewnątrz Radio City Hall, w którym odbyła się gala, działał **Mos Def**. Raper (a ostatnio coraz częściej aktor) został aresztowany po tym, jak zapodawał freestyle na ciężarówce dla tłumu zgromadzonego przed budynkiem. Policji się to nie spodobało (być może z powodu tematyki, jaką poruszał krytykujący w swoim freestyle'u politykę Busha Mos Def) i wezwała rapera do zaprzestania tych niecnych praktyk. Nie zaprzestał, więc został zawinięty. USA – kraj wolności słowa?

Kontynuując wątek nagród, przejdźmy do Billboard R&B/Hip-Hop Awards przyznawanych przez najbardziej znany magazyn muzyczny. Najwięcej statuetek zgarnęła tu **Mariah Carey** (pięć, w tym za album roku dla „The Emancipation Of Mimi"). Jermaine Dupri został wyróżniony nagrodą dla najlepszego producenta i twórcy tekstów, a najlepszym nowym artystą wybrano Young Jeezy'ego.

Flava Flav, który wciąż produkuje się w przeróżnych reality shows, postanowił wrócić do muzyki i jeszcze na jesieni wyda solowy album. Przynajmniej taki ma plan, bo akurat w jego przypadku trzeba poczekać na konkretne efekty – Flav nagrał już w karierze kilka płyt, ale żadna z nich nie została nigdy wydana. Krążek będzie nazwany ksywką rapera, który wyda go własnym sumptem we własnym labelu Draytown Records.

50 Cent konsekwentnie buduje image gangstera. Tym razem w niewłaściwy sposób zmieniał pas podczas jazdy swoim nieoznakowanym, nieubezpieczonym Lamborghini po Manhattanie, a dodatkowo nie miał przy sobie prawa jazdy. Muszę dodawać, że wredni policjanci zaaresztowali gwiazdora? Tak, tak, życie na ulicy jest ciężkie, o czym na pewno dowiemy się z następnej płyty Fiddy'ego.

A jeśli już jesteśmy przy największych gwiazdach rapu, to pozwólmy zadebiutować na łamach „Ślizgu" **Kevinowi Federline'owi**, facetowi Britney Spears, który zaczyna swoją muzyczną przygodę. Właśnie podpisał kontrakt z firmą Sony BMG, która wyda jego debiutancki album „Playing With Fire". Płyta w sklepach będzie 31 października. Ciekawe, ile bitów podklepie K-Fedowi Scott Storch...

Bardzo prawdopodobne jest, że problemy ze słuchem **Foxy Brown** negatywnie wpływają na jej stan emocjonalny. Jak bowiem doniosła amerykańska prasa, raperka dostała ataku szału w butiku Limpasse, którego była częstą klientką. Pokłóciła się ze sprzedawcą o cenę paska, po czym wyszła ze sklepu zabierając ze sobą tenże pasek, przy okazji wynosząc jeszcze jeden. Tego samego dnia Foxy chciała pobić 17-letnią dziewczynę, w którą chwilę wcześniej prawie wjechała samochodem. Narwana sztuka, nie ma co.

Również **Busta Rhymes** jest nerwowym typem. Rap biznes męczy chyba jednak bardziej niż fitness... Pewien chłopak miał pecha, bo kiedy splunął przechodząc przez ulicę, nie zauważył, że akurat przejeżdżał koło niego maybach, w którym był raper. Obstawa Busty przywołała młodzieńca do porządku obalając go ciosem w twarz, a następnie sam raper sprzedał mu serię kopniaków w głowę. Stąd prosty wniosek – nie pluj, chamie, na ulicy. Co do Rhymesa, to został kilka dni później aresztowany i toczy się przeciwko niemu sprawa.

Nowy album nagrywa **Trina**. Ukaże się jakoś w 2007 roku, a jego planowany tytuł to „Rock Starr". Przy okazji warto napomknąć, że raperka nie chce już współpracować z labelem Atlantic Records i szuka nowego dystrybutora. A wszyscy i tak wiedzą, że ten newsik powstał tylko po to, żeby zamieścić zdjęcie Triny ze szlaufem.

CHERISH
UNAPPRECIATED
SHO'NUFF RECORDS / CAPITOL

Cztery młode czarnoskóre dziewczyny śpiewające przebojowe r&b. Zdaje się banalne, ale Cherish (Neosha, Farrah, Felisha i Fallon) starają się poza ten banał uciekać i nagrały z pomocą Jazze Pha oraz Don Vita całkiem zjadliwy kąsek muzyki. Nie sugerowałbym się jednak wszechobecnymi porównaniami kwartetu do Destiny's Child, bo trochę jednak dziewczynom do nich brakuje. Przede wszystkim, tak jak trudno rozróżnić je wizualnie, tak i ich głosy trudne są do zidentyfikowania z powodu niedoboru cech charakterystycznych u każdej z wokalistek. To mają zdecydowanie do nadrobienia. Teksty? Niewykraczające poza standard komercyjnego r&b, ale też nie tak głupiutkie jak choćby u Christiny Millian i w większości pisane przez same dziewczyny. Muzyka? Przebojowa, to na pewno, wszak zespół pochodzi z Atlanty, a tam wiedzą, jak rozruszać klub (i głowy recenzentów). Przyszłość? Całkiem świetlana, jeśli tylko panny z Cherish nie spoczną na laurach. **GRB**

PARIS HILTON
PARIS
WARNER BROS. RECORDS

Materiał będący dowodem na to, że dysponując odpowiednią ilością gotówki nagrać jako taką płytę może niemal każdy. Paris zatrudniła czołówkę fachowców stojących za sukcesami wielu przeróżnych hitów, stawiając im jeden cel – nagranie albumu, który udowodni, że najsłynniejsza i najbardziej znienawidzona dziedziczka w dzisiejszym showbusinessie nadaje się nie tylko do prezentowania swych wdzięków w najlepszych klubach. Udało się średnio. Muzycznie jeszcze nie jest tak najgorzej. Produkcja waha się między przebojowym – aczkolwiek nie wyróżniającym się niczym szczególnym – R&B (klania się Scott Storch, odpowiedzialny za brzmienie większości kawałków z krążka) a standardowym pop-rockiem, który pasowałby równie dobrze do jakiejś Jessiki Simpson na przykład. Wszystko ładnie, bez zgrzytów i miłe dla uszu „Eskosłuchaczy"... A sama Paris? Cóż, jej wysoki głos męczy bardzo szybko, brak jakiegokolwiek doświadczenia słychać od razu, a przyzwoite dwa single zaciemniają tylko obraz. Nie da się zrobić z kaktusa szczoteczki do zębów... **GRB**

KELIS
KELIS WAS HERE
EMI

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Kelis popełniła błąd kilka lat temu decydując się na zakończenie współpracy z The Neptunes i oddanie produkcji kawałków całej masie innych ludzi. Już na „Tasty" słychać było brak opieki Pharrella i Chada w roli producentów wykonawczych (mieli tam jedynie kilka bitów), ale album bronił się świetnymi singlami i swoim przebojowym charakterem. Tym razem dobrych numerów jest więcej, płyta aż kipi od pomysłów, muzycznych klimatów, ale jako całość sprawia wrażenie nie do końca przemyślanej składanki, w dodatku ma fatalnie ułożoną tracklistę. Nic to jednak, bo gdy słyszymy takie numery jak „Trilogy" czy „Bossy", to łeb sam zaczyna się mimowolnie kiwać w różne strony, a zapadające w pamięć refreny jakby same się nam nucą. To jedynie początek przygody z tym albumem, bo jak da mu się z dziesięć szans, to w pewnym momencie możemy załapać, że tu jednak wszystko ma sens, trzyma się kupy i brzmi doprawdy wybornie. Jak znajdziecie czas na to – nie pożałujecie. Ale też świat nie wywróci się do góry nogami, a wasze życie się nie załamie, jeśli po pierwszym przesłuchaniu rzucicie krążek w kąt. **Andrzej Cała „Machina**

BUGZ IN THE ATTIC
BACK IN THE DOG HOUSE
V2

Sprawa z pierwszą w pełni autorską płytą Bugz In The Attic ma się podobnie do debiutu solowego Pharrella. Jest dobry z małymi „ale". O ile album z remiksami ich autorstwa był – mimo swojego składankowego charakteru – świetny, to „Back In The Dog House" zdecydowanie zawodzi nadzieje wielu. Bogowie broken-beatu, jak potocznie mówi się o londyńskim kolektywie, żerują na swoich starych sprawdzonych patentach. Oczywiście każdy utwór jest dopieszczony, a powalające „Redhanded" czy „Knocks Me Off My Feet" można uznać za jedne z najlepszych produkcji BITA. Pozostaje jednak niedosyt, bo oczekiwaliśmy nieco więcej świeżości czy kreatywności. Pocieszający i w sumie rozwiewający wszystkie zarzuty w tym wszystkim pozostaje fakt, że wydawanie swoich produkcji na CD to nie priorytet BITA, a ci, którzy mieli okazję widzieć ich gig na żywo (chociażby na Summer of Music Festival), wiedzą, że BITA to w dalszym ciągu mistrzowie muzyki dla tańczących inaczej. **Tymoteusz Kubik**

BEYONCÉ
B'DAY
SONY BMG

Narzeczonej Jaya-Z życzymy wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Moim osobistym życze-

niem dla Beyoncé jest to, by w końcu odnalazła swoją muzyczną ścieżkę i wykorzystała w pełni drzemiący w niej potencjał. Nowy album ikony Destiny's Child pozostawia bowiem pewien niesmak. Z jednej strony wszystko jest tu świetnie wyprodukowane, dopracowane do cna i brzmi kapitalnie, ale pozostawia przy tym wrażenie, jakby Knowles bardziej skupiła się na nagraniu jak największej singli i wrzuciła je obok siebie jak leci, niż chciała oddać w nasze ręce całkowicie spójne i będące zamkniętą całością wydawnictwo. Śpiewa pięknie, ale za często krzyczy i irytuje. Za często w tekstach balansuje pomiędzy byciem ukochaną damą u boku swojego wyśnionego mężczyzny a byciem wciąż przecież młodziutką, szaloną panienką, która w życiu chce się bawić i czerpać z niego jak najwięcej przyjemności. To nie razi jakoś zdecydowanie, ponieważ za sprawą m.in. Swizz Beatza (ten rok należy zdecydowanie do niego, Timbo i Jermaine'a Dupriego), The Neptunes i Richa Harrisona krążek wręcz poraża muzycznie. Tyle że pewien niesmak pozostaje. Po raz kolejny więc wypada napisać – dzieło życia jeszcze przed nią. **Andrzej Cała „Machina"**

MARYSIA SADOWSKA
TRIBUTE TO KOMEDA
SONY BMG

Marysia Sadowska zagrała wszystkim na nosie i wbrew sceptycznym głosom nagrała świetny album z własnymi interpretacjami tematów Krzysztofa Komedy, jednej z ikon polskiego jazzu. Zaskakuje na nim taneczną energią zgrabnie połączoną z jazzową finezją. Marysia śpiewa rewelacyjnie. Cieszą utwory z polskim tekstem – dawno nie słyszałem rodzimej wokalistki śpiewającej tak klarownie i po prostu przyjemnie. Świetnie wypadają goście – m.in. Jan Ptaszyn, Michał Urbaniak czy tata Marysi, Krzysztof. Wokalistka odważnie odkurzyła kompozycje Komedy, tchnęła w nie bardzo dużo życia, optymizmu, radości, w większości zachowując ich pierwotny charakter. Nieważne jest, jak rozkładają się zasługi za ten album między Marysią i Komedą. Jest on bowiem po prostu świetny. **Tymoteusz Kubik**

2ND DISTRICT
EMOTIONAL SUCIDE PEOPLE LIKE YOU
JIMMY JAZZ

Punk'n'roll ma się dobrze, mieszka za naszą zachodnią granicą, a 2nd District jest jednym z jego ukochanych dzieci. Do takich wniosków można dojść po przesłuchaniu nowego albumu niemieckich desperados, którzy posiedli chyba licencję na wszystko, co w prostym rwaniu strun najlepsze. W zbożnym dziele wygrywania fantastycznie aroganckich, melodyjnych piosenek na kilka akordów patronują im pospolu Sex Pistols, Undertones i T. Rex. Pan gitarzysta zapodaje szybkie solówki, pan wokalista fachowo zawodzi wysokim głosem (są tacy, którym ten androgyniczny wokal się jednak nie podoba), a panowie z sekcji rytmicznej pompują puls w tę rock'n'rollową maszynę. Rezultatem jest superprzebojowy, żywiołowy punk rock ze znakiem jakości Q, skłaniający do podskoków i machania czerepem. A że ruch to zdrowie, to polecam 2nd District tym bardziej. **/Sebastian Rerak/**

AGAINST ME!
AMERICANS ABROAD!!! AGAINST ME!!! LIVE IN LONDON!!!
FAT WRECK CHORDS

Koncertówka po trzech płytach studyjnych? Mam wrażenie, że florydzkie punki chciały tym krążkiem przede wszystkim ładnie pożegnać dotychczasowego wydawcę (podpisali już jakiś czas temu kontrakt z Sire), niekoniecznie zaś udowadniać, jak sprawni są na żywo. Spokojnie jednak, słuchanie zapisu koncertu, jaki Against Me! zagrało w londyńskim klubie Mean Fiddler przykrości nie sprawia. „Amerykanie zagranicą" dali angielskiej publice posmakować swej wybuchowej mieszanki punk rocka, folku i country. W programie gigu znalazły się utwory z całej, prawie dziesięcioletniej historii zespołu, m.in. liczna reprezentacja świetnego albumu „Searching For a Former Clarity", który onegdaj zachwalałem oraz jeden kawałek dotąd nieobecny na żadnym nośniku. Energia bije z głośników, brzmienie jest nienaganne. Czepiać się nie ma czego, ale ja bym wolał jednak takiego koncertu doświadczyć osobiście. **/Sebastian Rerak/**

P. PAUL FENECH
THE „F" WORD
PEOPLE LIKE YOU / JIMMY JAZZ

Zachrypnięty głos, wygląd psychopaty z kiepskiego horroru i mniemanie o sobie wysokie jak Mount Everest. Oto znaki rozpoznawcze P. Paula Fenecha, frontmana The Meteors, zespołu-protoplasty muzyki psychobilly. Przewodzenie legendarnym Meteorom najwyraźniej Fenechowi nie wystarcza, bo swą wielkość stara się także udowodnić nagraniami solowymi. „The F Word" jest już szóstą taką samodzielną produkcją demonicznego lysola. Za bazę całego przedsięwzięcia służą rzecz jasna brzmienia okolopsychobillowe, ale Fenech całkiem nieźle czuje też country (np. w kawałku „Jackson", rozsławionym niegdyś przez Johnny'ego Casha), flamenco („Agarrando La Guitarra Del El Diablo"), a nawet coś pomiędzy szantą i piosenką z westernu („The Hangman's Daughter"). No dobrze, panie Fenech, zaczynam przekonywać się, że tron królestwa obłąkanego rock'n'rolla, do którego uzurpujesz sobie prawo, legalnie ci się należy. **/Sebastian Rerak/**

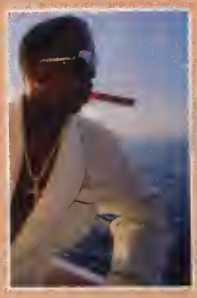

17 października ukaże się nowy album **Diddy'ego**. Chłopak nie nagrał pełnowymiarowego krążka od pięciu lat! „Press Play" szczycić się będzie gościnnymi występami m.in. Nasa, Christiny Aguilery, Mary J. Blige, Jamiego Foxxa, Fergie, Brandy, Ciary, Keyshii Cole i Big Boia oraz produkcją Kanye Westa, Pharrella, Just Blaze'a, Richa Harrisona, will.i.am'a, Havoca i naturalnie Scotta Storcha. Sam jestem ciekawy, co też z tego wyjdzie...

Ogłoszono listę najbogatszych ludzi związanych z hip-hopem. Czołowe miejsce zajął na niej właśnie Diddy z majątkiem wartym 346 milionów dolarów. Zaraz za nim plasuje się Jay-Z z 340 milionami, a potem. Russell Simmons (325 milionów). W pierwszej dziesiątce są jeszcze: Damon Dash, Neptunes, Dr. Dre, **Ice Cube** (na zdjęciu), Eminem, 50 Cent i Nelly.

Pojawiły się nowe szczegóły na temat tajemniczego dotychczas nowego albumu **Jaya-Z**. Ma on mianowicie nosić tytuł „Kingdom Come", a produkcją zajmują się rzekomo Dr. Dre, Timbaland i Kanye West. Jay póki co koncertuje sobie po świecie, ale krążek – według niejasnych doniesień – miałby jakoby pojawić się już w listopadzie.

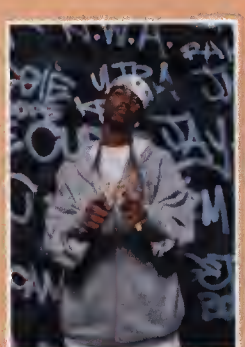

Juelz Santana (na zdjęciu) i Lil' Wayne nagrywają wspólny album. Ma być on rozwinięciem mixtape'u raperów „I Can't Feel My Face" i ukaże się najpewniej na początku przyszłego roku. Tymczasem obydwaj raperzy pracują również nad swoimi kolejnymi solówkami, a Wayne dodatkowo wydaje w październiku krążek w duecie z Babym, „Like Father, Like Son".

przygotował Grabiszczy

ERRORCLOTHEZ.COM

Info handlowe :
(042)6371972 fax
(042)6373740
603199388
607630700

SEASON 2006 CLOSED

SOUTHSIDE CAPITAL RESUME

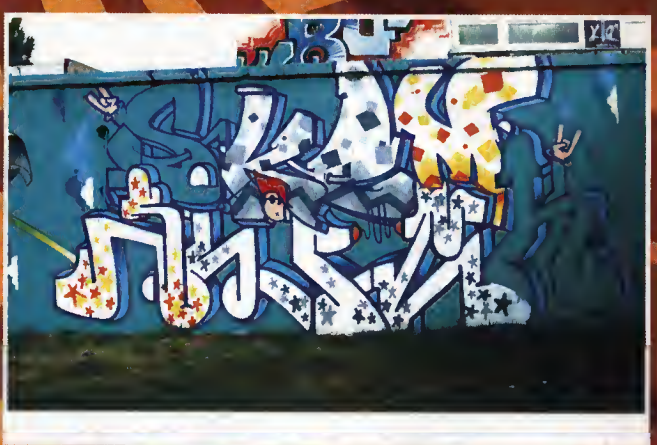

SENSI

SEASON 2006 CLOSED

SOUTHSIDE CAPITAL RESUM

NIE LEJ TU
WALĘ KURĘ

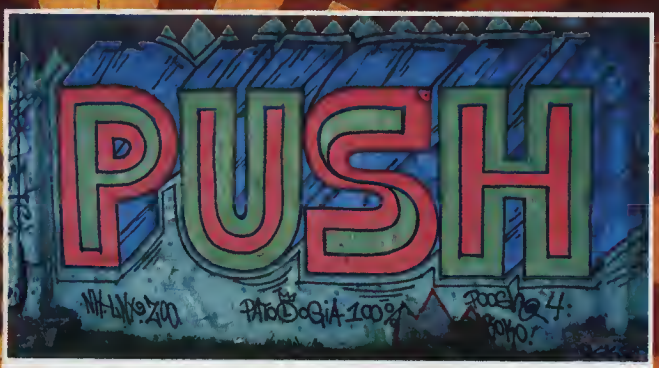
PUSH

SEASON 2006 CLOSED

SOUTHSIDE CAPITAL RESUM

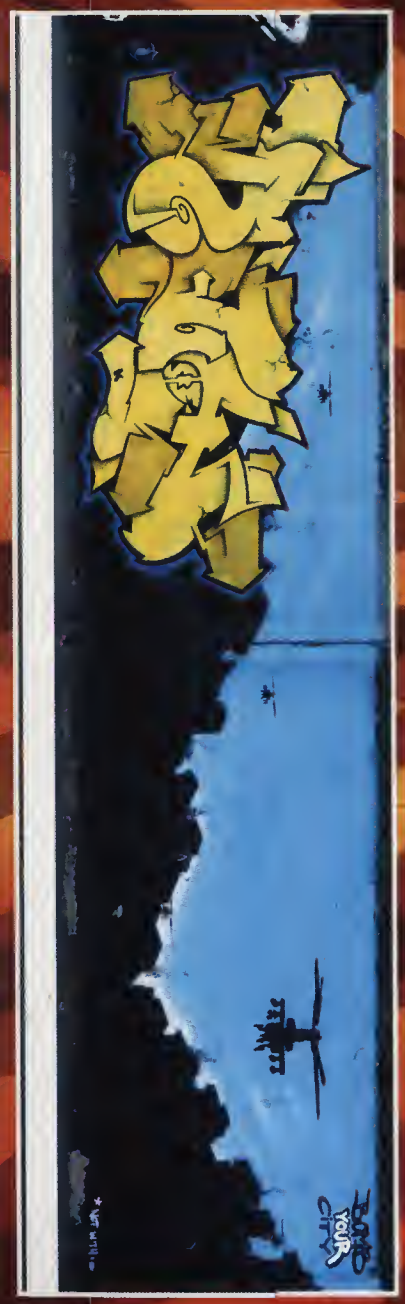

ALBUM

NIGDY NIE MÓW NIGDY

LISTOPAD 2006

GOŚCINNIE: JAMAL, KORAS, ELDO, PJUS, SETKA

PRODUKCJA: FUSO, SZCZUREK, WICH, ERIO, DIES, TEKJEN, WHITE HOUSE, MAZSA, i inni...

WWW.MOLESTA.PL

ANONIM www.anonimgrupa.pl RESPEKT REC 5g HIP-HOP.pl cgm.pl Codzienna Gazeta Muzyczna ŚLIZG

na deser

Beyonce i Kelis łączy parę rzeczy. Świetne ciało, pretendenci do rapowego tronu Nowego Jorku przy boku, szalone rotacje klipów i właśnie wydane nowe albumy

tekst Flint i Cess

Beyonce

Kiedy wije się do rytmu swoich piosenek, wielu facetów przestaje reagować na inne bodźce. Kiedy na listach przebojów pojawiają się jej kolejne single, ona już szykuje miejsce na nową nagrodę. Kiedy wychodzi na scenę, dziesiątki tysięcy ludzi piszczą lub wzdychają głośno z zachwytu... Nic dziwnego – Beyonce Giselle Knowles ma bez wątpienia wszelkie atuty przydatne w szołbiznesie. Jest kobietą obdarzoną świetnym głosem i niezłym ciałkiem. W dodatku ma obrotnych rodziców, którzy potrafili doskonale pokierować jej karierą.

Beyonce od najmłodszych lat ćwiczyła swój wokal i biegała na kursy tańca wszelkiego rodzaju. Wszystko to przydało się jej, kiedy podbijała serca jurorów kolejnych okręgowych konkursów. Między występami oczywiście znajdowała czas na naukę, no i przede wszystkim na spotkania z koleżankami. Kiedy miała 9 lat, wraz ze swoją najlepszą przyjaciółką LaTavią założyła zespół. Potem dołączyły do nich Kelly Rowland i LeToya i tak powstało Girl's Tyme.

Na początku lat 90. dziewczyny wspierane przez rodziców Beyonce wystartowały w popularnym telewizyjnym konkursie talentów „Star Search". Niestety przegrały, ale przecież mała Knowles była ukochaną córusią tatusia, więc ten nie myślał długo, tylko rzucił swoją dobrze płatną pracę w Xeroxie i zajął się managementem zespołu. Tak narodziło się Destiny's Child, ale ponieważ w tym miesiącu nie serwujemy wam na deser czerstwych ciastek, szybciutko przeskoczymy do roku 2002, kiedy to panna Knowles zaczęła karierę solową, bo choć przez cały okres istnienia zespołu była jego nieformalną liderką, dopiero samodzielne kroki po scenie przyniosły jej oczekiwany rozgłos. Najpierw singiel „03 Bonnie & Clyde" z Jayem-Z (to musiała być miłość od pierwszego wejrzenia, bo są razem do dziś, a pogłoski o ślubie w listopadzie nie wydają się bezpodstawne), potem występy w filmach. No i kolejne trofea zdobyte własnymi rękami – Billboardowe, Grammy, krajowe i zagraniczne, za najlepsze teksty, single, debiut, nagranie roku, najgorętszy występ, wideo...

Jedno jest pewne. Im Beyonce jest starsza, tym lepiej wygląda. Nie wiadomo, czy wzrasta jej asertywność, czy gust, ale porzuciła ostatnio strój bat-motyla i jarmarczne fatałaszki, które zdecydowanie nie służyły jej pupie w klipie „Crazy In Love" (OK – jeśli lubicie mieć dziewczynę z kanapą na plecach, nie przypadną wam do gustu te zmiany). Warkocze w klimatach Kelly Familly czy Pokahontaz, w których dziarsko hasała na planie hip-hopery „Carmen" zostały starannie rozczesane, włosy rozjaśnione (nie dajcie sobie wmówić, że są takie dzięki słońcu), a odstraszający makijaż z „Bonnie i Clyde" (polecam uwadze sceny w białych pantalonach) zmyty... Jasne, że ładną dziewczynę trudno oszpecić, ale po co próbować. Być może to tajna zmowa jej siostry Solange (także wokalistki i aktorki) i matki, która ponoć od zawsze jest jej wizażystką – w celu usunięcia starszej siostry z pierwszych stron gazet. Wydaje się jednak, że pozycja Beyonce jest niezagrożona. Po dwóch albumach, występach w filmach (upodobała sobie zwłaszcza szpiegowskie parodie – zadebiutowała na wielkim ekranie w „Austinie Powersie", a ostatni film z jej udziałem to kolejny odcinek przygód detektywa Clouseau) i licznych akcjach promocyjnych z Pepsi i Tommym Hilfigerem wszyscy kochają Beyonce. No, prawie wszyscy. Po tym jak razem z matką stworzyły własną linię odzieżową House of Dereon, na Beyonce skupiła się nienawiść związku ochrony zwierząt. Chodziło o elementy futerkowe wykorzystane w ciuchach szytych w HD oraz o sesję zdjęciową na potrzeby nowej płyty. Panna B. pozowała do nich trzymając na smyczy dwa młode aligatory, co wywołało liczne protesty i obok listów błagalnych – o randkę, o zdjęcie albo chociaż o pukiel włosów – otrzymywała pełne wzburzenia listowne opinie ekspertów od gadów:

Beyoncé

A nowa płyta jeszcze nie zdołała na dobre zagrzać miejsca na półkach sklepów, gdyż ukazała się, jak sam tytuł („B'Day") wskazuje, w urodziny wokalistki, 4 września. W stylistyce przypomina poprzednią „Dangerously In Love", z tym że oczywiście zamiast modnych wtedy dźwięków orientalno-dancehallowych, mamy tu świeżutkie brzmienia rodem z południa z gościnnymi wokalami Slim Thuga i Buna B. Poza tym, nie mogło zabraknąć obłubieńca Beyonce, Wbrew pogłoskom o kolejnym zakończeniu kariery, Jay-Z rapuje aż w dwóch utworach.

Kelis

Znakiem rozpoznawczym Kelis od początku było afro. Afro z gatunku tych, na których widok mniej obeznani z fryzjerską ekstrawagancją mogą wrzasnąć „To żyje!!!" i poszukać kawałka dechy, by celnym uderzeniem obezwładnić potwora. Afro przypominające ukwiały czy też węże zaludniające głowę mitycznych meduz. Ostatnio afro zabito z premedytacją, mimo że to właśnie ono ukradło Ol' Dirty Bastardowi część show w klipie do „Got Your Money", kawałka, dzięki któremu Kelis się wybiła. Afro nie żyje, a bohaterka naszego skromnego artykułu w ostatnim klipie do nagranego z Too $hortem „Bossy" jest bardzo słodka. Baaaardzo słodka. I nie chodzi tylko o to, że do twarzy jej z krótkimi, prostymi, ciemnymi włosami. Na zawsze już żegnamy tenisówki Conversa i białą bluzeczkę w niebieskie, marynarskie pasy znane z okładki do „Wanderland". Nie to, żeby na późniejszym „Tasty" było źle. Już wtedy było wiadomo, w czyjego milkshake'a jest sens wbijać rurkę... Pomalowane na krwistą czerwień paznokcie u stóp, ażurowe szpilki, „mistyczny" tatuaż na pięknie eksponowanej lewej łydce i kostium kąpielowy z dekoltem tak głębokim, że nie wiadomo, czy jest jeszcze sens mówić o jakimkolwiek dekolcie. Teraz jest jednak lepiej. Na czym to więc skończyłem? Ano, witamy demona seksu. Cześć, kochanie!

Niestety, do Kelis może zwracać się tak jedynie Nas – o ile nie narusza to jej kobiecej godności, bo jest czuła na tym punkcie. Nic nie zapowiadało, że ów mały brzydal stanie się mężczyzną jej życia. Prędzej powinien być to Pharrell Williams, bo to on (wraz z Chadem Hugo) jest ojcem jej sukcesu. Gdyby nie świeżość patentów w kompozycjach The Neptunes, mogłaby to być „kolejna taka wokalistka" – z ogniem, bez kontraktu. Panowie wzięli na barki produkcję na dwóch pierwszych płytach, mocno odcisnęli swoje piętno także na trzeciej (na czwartej nie ma ich w ogóle, są za to m.in. will.i.am, Scott Storch, Cee-Lo i Cool & Dre). Poza tym, Kelis miałaby z Pharrellem co robić – wspólne spacery w japonkach, chwile spędzone razem przy goleniu pach, podskubywaniu brwi, manicurze i makijażu... A Nas? Miał tylko zwrotkę na „Tasty". Andre 3000 z Outkastu też miał. Z obu gości ten sam pożytek – panna może kupować sobie futra i ściemniać, że to dla nich.

Istnieje też szansa, że jeśli ktoś nagrał takie coś jak „Nastradamus", to najpewniej wytrzyma liryczne wycieczki Kelis. Choćby takie jak w „Shooting Stars" – z białymi, szerokimi anielskimi skrzydłami i cherubinami. Akceptowalna cena za nieskończenie długie nogi zakończone proporcjonalnym tyłeczkiem, nie zaś tradycyjnym dla czarnych pań mięsistym, gigantycznym zadem, który cały czas trzęsie się jak posłowie PiS przy lekturze komentarzy w prasie zagranicznej.

Od stycznia 2005 Nas i Kelis są małżeństwem. Kiedy panna Rogers wypuszczała w 1999 r. debiutanckie „Kaleidoscope", krytycy pisali o tym, że to gniewny, czarny feminizm, r'n'b z nowymi pomysłami i że „dziewczyna ma więcej jaj od Boyz II Men". Przy „Wanderland" z 2001 r. mówiono o „księżniczce alternatywnego soulu" i najlepszej wokalistce, jaka przytrafiła się hip-hopowi. Przedostatnie „Tasty" (2003 r.) dało awans na „królową getta" przenoszącą klimat zadymionych brooklyńskich barów na dźwięk, a zarzuty o komercyjność szły w parze z radością, że tak szybko można złapać szotbiz za dupę. Można było się obawiać, czy „piorunująca suka" (określenie ś. p. ODB, jak zwykle pełne wdzięku) nie stanie się miłą żonką, która kiedyś krzyczała z całych sił, jak nienawidzi swojego faceta, a teraz nuci u Busty Rhymesa „kocham mojego czarnucha, tak, tak, kocham mojego chłopca". Reakcje na ostatni album „Kelis Was Here" świadczą jednak, że nie straciła tego, co w niej najciekawsze. I nie chodzi tu o ciało. No, nie tylko o nie.

tu kupisz Slizg

Jeśli chcesz zamieścić
na tej stronie logo
swojego sklepu,
skontaktuj się z nami
pod numerem
022 635 84 10 wew. 131
lub na mail
monika@slizg.com.pl

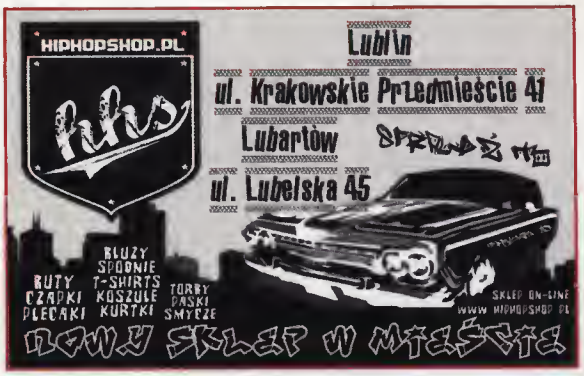

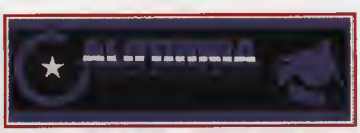

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5
w sklepie sportowym na I piętrze
tel. 041 344 37 62

STAWOWA 3
KATOWICE
Fridays

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

MENTOR SKATESHOP
ul. Panny Marii 13
87-100 Toruń
tel.: 56 621 10 12

NOWY SKLEP INTERNETOWY
frontside
SKATESNOWBMX
www.frontside.pl
ROCES HYPER valo KRYPTONICS AMOK Skip
TRANS Arbor FORCE Senate

SKATESHOP
SIXTYNINE
OPOLE
UL. KRAKOWSKA 38
Z TĄ ULOTKĄ ZNIŻKA 10% !!!
WWW.69.COM.PL
OPOLE
UL. OZIMSKA 25 OF KASKADA
HARLEM
SKATESHOP

NEW ERA

CITY GROOVE
EXCLUSIVE CITY SHOP
Al. NMP 53 Częstochowa

HIGH SIERRA
SPORT COMPANY
ADVENTURE PACKS
Warszawa:
al. KEN 35 lok. 105a
(Galeria Ursynów)
tel. (22) 859 04 04
Olsztyn:
ul. Wańkowicza 2a
tel. (89) 542 07 34
FUNWORX
www.funworx.pl

FLOW
HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

WWW.LAFANQUE.COM
HAWELAŃSKA 4 GORZÓW WLKP.

filutshop.pl
STREETWEAR DISTRO
WEŁNIANY RYNEK 2A
CM PARK 111
GORZÓW WLKP

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.
Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.

Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp

W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

022 635 84 10, wew. 131.

MOROWE PRODUKCJE

WILD STYLE OST, 1983

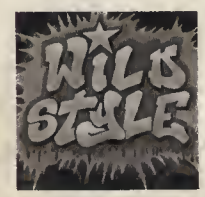

Nie ma w historii rapu bardziej klasycznego filmu niż ten Charlie'ego Ahearna z 1982 roku. Tylu kultowych scen jak ta w klubie Dixie, koncert w amfiteatrze czy scena pojedynku ekip The Cold Crush Brothers i The Fantastic Fresh na boisku do kosza nie miały ani „Beat Street", ani „Krush Groove", ani tym bardziej ostatni podobny film, czyli „Scratch". Tylu kultowych postaci, jakie się tam przewijają, także nigdzie indziej nie znajdziemy, a na pewno nie w takim zestawieniu. Dondi, Zephyr, Daze, Grandmaster Caz, Double Trouble czy Busy Bee i Fab 5 Freddy – to powinno przyprawić o zawrót glowy. Siłą rzeczy, soundtrack do tego obrazu musi być wyjątkowy. I jest. To istna bomba. „Subway Theme" autorstwa ojca scratchingu DJ'a Grand Wizard Theodore'a to jeden z najbardziej rozpoznawalnych hip-hopowych kawałków tej ery. Takie cuty jak „Get Ready On The Right" (z „Military Cut") czy „Here's A Little Story" (ze „Stoop Rap") na stale zagościły na deckach DJ'ów, którzy regularnie je wykorzystują (żeby wspomnieć tylko „DJ Premier In Deep Concentration" Gang Starra, „Johny Ryall" Beastie Boys czy nawet „Watching Windows" Roniego Size'a). Słuchając tego, ma się ochotę założyć superstary, stary dres Adidasa, wyjść i malować wholecary, walnąć freeze'a, trzasnąć skrecza czy pojedynkować się na wolny styl. Kwintesencja czterech elementów. **(EST)**

LAMUSY Z LAMUSA

DR. ALBAN

Studiujący w Szwecji stomatologię Nigeryjczyk nie ma hajsu na czesne za uczelnię i zaczyna zajmować się muzyką, żeby zarobić. Udaje mu się. W ciągu kariery opycha na całym świecie ponad 5 milionów płyt.

Dr. Alban niewątpliwie zjawiskiem był ciekawym. Niezgrabnie poruszający się Murzyn z fryzurą na cebulę, usiłujący nieudolnie rapować i pośpiewywać do tanecznych podkładów, popularny był również i w naszym kraju.

Wypromował go Deniz Pop, skandynawski, nieżyjący już producent, który na pierwszych dwóch płytach Albana wykonał jako taką robotę (taki pierwszy hit „Hello Afrika" był wszak pod względem muzycznym całkiem znośny), podczas gdy jego podopieczny przekonywał, że robi „hip-hop-reggae w stylu dancehall".

Potem dzialo się już tylko gorzej. Polecam wszystkim skombinowanie sobie klipu do „Sing Hallelujah" (swoją drogą – niezlej

padaki) z 1993 roku i zczekautowanie błękitnego wdzianka Dr. Albana. Słuchania jakiejkolwiek płyty dentysty – może poza pierwszymi dwoma, które tu i ówdzie mają status kultowy, więc wypada się przemęczyć – zdecydowanie z kolei nie polecam.

Teraz prawie 50-letni Nigeryjczyk już nie nagrywa, skupiając się na koncertowaniu w krajach, gdzie się go jeszcze pamięta. Nie tak dawno zrobił furorę na Słowacji. Funky Filon się chowa. **(grb)**

ZAGINIONY W AKCJI

WZOROWY

Wzorowy to fotograf, sportsmen i brawurowy dziennikarz, w swoim czasie zaś writer oraz raper. Zacznijmy jednak od 1996 r. Wtedy to część związanej z graffiti warszawskiej formacji NBK, a konkretnie Wzorowy i Rzemysz, postanowila sprawdzić się za mikrofonem. Planów bylo wiele, rezultat to trzy znane szerzej utwory: „Pierwszy" ze składanki „Enigma vol. 1", „Każdego dnia" z „Kompilacji" Ośki i „Zaczęło się i do dzisiaj trwa" z „Hip-hop Produkcji" DJ'a 600V.

Do dzisiaj jednak nie trwa – z paru powodów. „Rzemysz jest leń śmierdzący (...). On zawsze na ostatnią chwilę", żalil się w „Klanie" Wzorowy, osoba z kolei bardzo obowiązkowa i sumienna. Dla niego „ważne, żeby dnia bożego nie zmarnować." WZR rozwijal się jak rzeżucha na mokrej ligninie. Jak sam rymuje: „Na dwadzieścia, szesnaście lat spokojnie w domu spędziłem". Wbrew pozorom, hardcore nie jest mu jednak znany jedynie z nagrań. Doskonale pamięta np. chuligańskie czasy Molesty. Siedzial na lawce i chłonął. Rap byl tu więc naturalną koleją rzeczy. Być może rzadko trafial w nim w beat, ale często w sedno. Kiedy więc go zobaczycie, zamiast prosić o autograf, zacytujcie dla zachęty: „Ej, Wzorowy, złap dużą chmurę i lap się za hip-hop kulturę". **(pc raper)**

DESKA Z BRODĄ

MATT HENSLEY

Na przelomie lat 80. i 90. Hensley byl znany z umiejętności, ale również z charakterystycznego sposobu życia, prawdziwych skinheadowych (nienazistowskich oczywiście) korzeni i latwości w przyswajaniu nowych trików. Każdy film z jego udziałem byl wydarzeniem (m.in. „Shackle me not", „Hokus Pokus", „Bootleg").

Matt nigdy nie byl tzw. „American Hero". Unikal zawodów i rozgłosu, interesowal go skateboarding w jego niezależnej postaci. Kojarzony zawsze byl z firmą H-Street. Jednak w końcu zdecydował się przejść do nowopowstalej firmy Plan B, której stal się współwlaścicielem. Wydarzenie to zbiegło się z końcem „wielkiego skateboardingu" Hensleya. Na pewien czas przestal jeździć, co mialo związek z osobistą tragedią rodzinną. Nigdy już nie osiągnął takiego poziomu jak wcześniej.

W tej chwili prowadzi wlasną firmę ubraniową Innes i dalej jeździ, choć jego zdjęcia nie pojawiają się już tak często w magazynach. Spowodowane na pewno jest to jego drugą pasją – muzyką. Matt gra w zespole Flogging Molly na akordeonie. Jest to kapela grająca muzykę folk, przypominająca jego ulubiony zespół, The Pogues. **Pc skate**

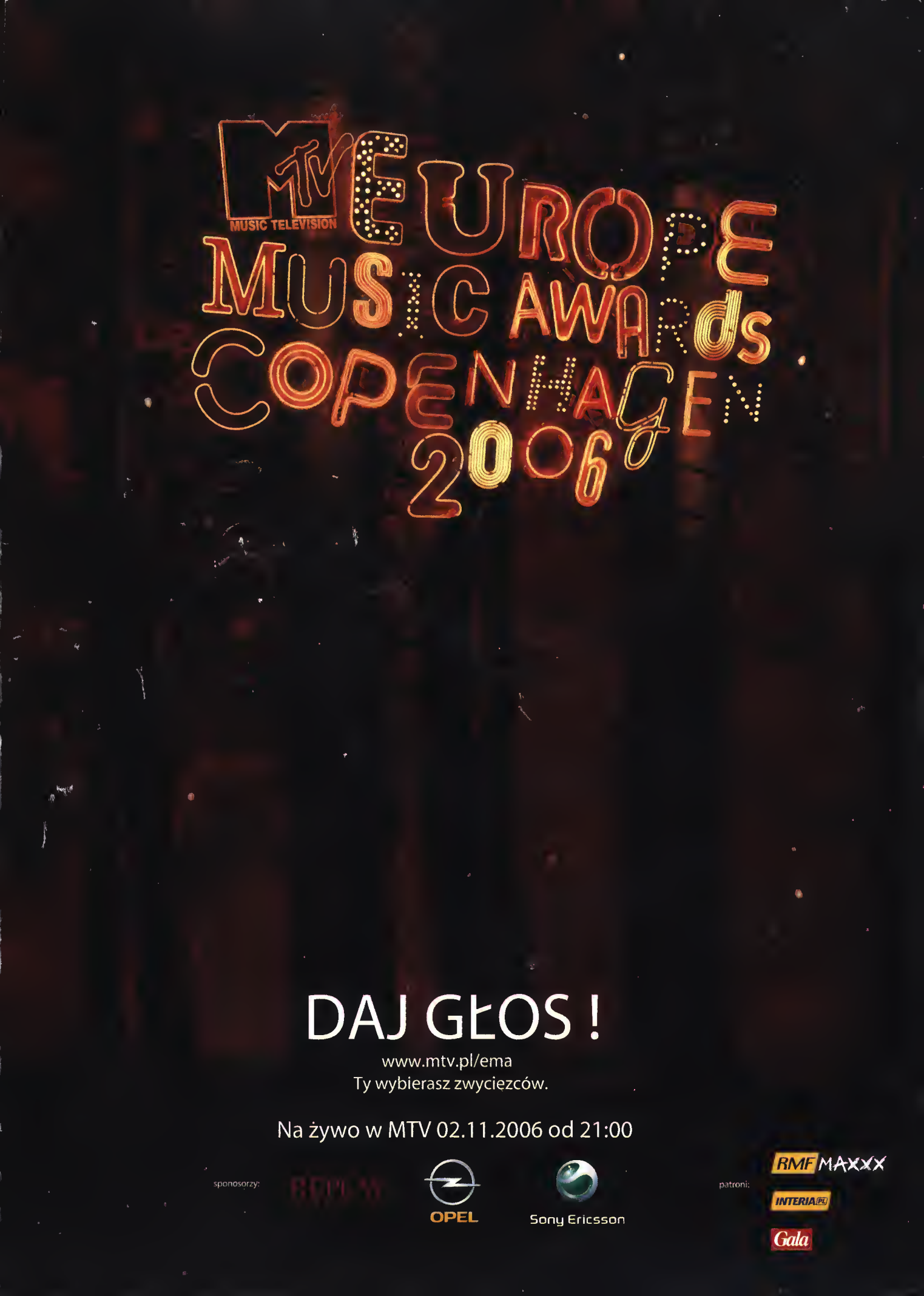
MTV
MUSIC TELEVISION
EUROPE
MUSIC AWARDS
COPENHAGEN
2006
DAJ GŁOS !
www.mtv.pl/ema
Ty wybierasz zwycięzców.
Na żywo w MTV 02.11.2006 od 21:00
sponosorzy:
OPEL
Sony Ericsson
patroni:
RMF MAXXX
INTERIA.PL
Gala

emeric front
revolution
QUIKJEAN
quiksilver.com
adresy sklepów
www.pmsport.com.pl